

ARTHUR C.
CLARKE

2010:

ODYSEJA KOSMICZNA

vis-a-vis
MEDIA

Arthur C. Clarke

Odyseja kosmiczna 2010

Z pełnym szacunku podziwem dedykuję tę powieść dwóm wielkim Rosjanom, których nazwiska pojawiają się na jej kartach: Generałowi Aleksiejowi Leonowowi, kosmonaucie, Bohaterowi Związku Radzieckiego, artyście; Akademikowi Andriejowi Sacharowowi, uczonemu, laureatowi Nagrody Nobla, humaniście.

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Od Autora](#)

[Część pierwsza](#)

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Rozdział piąty](#)

[Część druga](#)

[Rozdział szósty](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Rozdział ósmy](#)

[Rozdział dziewiąty](#)

[Rozdział dziesiąty](#)

[Rozdział jedenasty](#)

[Część trzecia](#)

[Rozdział dwunasty](#)

[Rozdział trzynasty](#)

[Rozdział czternasty](#)

[Rozdział piętnasty](#)

[Rozdział szesnasty](#)

[Rozdział siedemnasty](#)

[Rozdział osiemnasty](#)

[Rozdział dziewiętnasty](#)

[Rozdział dwudziesty](#)

[Rozdział dwudziesty pierwszy](#)

[Część czwarta](#)

[Rozdział dwudziesty drugi](#)

[Rozdział dwudziesty trzeci](#)

[Rozdział dwudziesty czwarty](#)

[Rozdział dwudziesty piąty](#)

[Rozdział dwudziesty szósty](#)

[Rozdział dwudziesty siódmy](#)

[Rozdział dwudziesty ósmy](#)

[Rozdział dwudziesty dziewiąty](#)

[Część piąta](#)

[Rozdział trzydziesty](#)

[Rozdział trzydziesty pierwszy](#)

[Rozdział trzydziesty drugi](#)

[Rozdział trzydziesty trzeci](#)

[Rozdział trzydziesty czwarty](#)

[Rozdział trzydziesty piąty](#)

[Rozdział trzydziesty szósty](#)

[Rozdział trzydziesty siódmy](#)

[Rozdział trzydziesty ósmy](#)

[Rozdział trzydziesty dziewiąty](#)

[Rozdział czterdziesty](#)

[Rozdział czterdziesty pierwszy](#)

[Część szósta](#)

[Rozdział czterdziesty drugi](#)

[Rozdział czterdziesty trzeci](#)

[Rozdział czterdziesty czwarty](#)

[Rozdział czterdziesty piąty](#)

[Rozdział czterdziesty szósty](#)

[Rozdział czterdziesty siódmy](#)

[Rozdział czterdziesty ósmy](#)

[Rozdział czterdziesty dziewiąty](#)

[Część siódma](#)

[Rozdział pięćdziesiąty](#)

[Rozdział pięćdziesiąty pierwszy](#)

[Rozdział pięćdziesiąty drugi](#)

[Rozdział pięćdziesiąty trzeci](#)

[Rozdział pięćdziesiąty czwarty](#)

[Rozdział pięćdziesiąty piąty](#)

Od Autora

Książka 2001 - Odyseja kosmiczna powstawała w latach 1964—1968, a drukiem ukazała się w lipcu 1968 r., krótko po wejściu na ekrany filmu o tym samym tytule. Jak pisałem - w Zagubionych światach 2001, obydwie przedsięwzięcia realizowane były jednocześnie, tak że powstało między nimi swego rodzaju sprzężenie zwrotne. Często zdarzało mi się poprawiać maszynopis po obejrzeniu kopii roboczych filmu opartego na wcześniejszej wersji powieści - był to inspirujący, ale raczej pracochłonny sposób pisania książki.

Dzięki temu jednak między powieścią a filmem wytworzył się związek o wiele bliższy, niż zdarza się to zazwyczaj, lecz pojawiły się również istotne rozbieżności. W powieści celem statku kosmicznego „Discovery” był Japetus - najbardziej enigmatyczny ze wszystkich księżyców Saturna. Statek znalazł się w systemie Saturna mając za sobą podróż przez okolice Jowisza. Zbliżył się do tej ogromnej planety i używając jej gigantycznego pola grawitacyjnego niczym procy, nabrał przyśpieszenia i wyruszył w drugą część podróży. Dokładnie ten sam manewr powtórzyły sondy kosmiczne „Voyager” w roku 1979, podczas pierwszego szczegółowego rekonesansu wokół zewnętrznych olbrzymów.

W filmie natomiast Stanley Kubrick mądrze uniknął zamieszania, umiejscawiając trzecie spotkanie Człowieka z Monolitem pośród księżyców Jowisza. Saturn całkowicie wypadł ze scenariusza, chociaż później Douglas Trumbull wykorzystał doświadczenia zdobyte podczas filmowania planety i jej pierścieni we własnym filmie pod tytułem Cichy bieg.

W połowie lat sześćdziesiątych nikt nie był w stanie przewidzieć, że eksploracja księżyców Jowisza rozpocznie się nie w następnym stuleciu, lecz po upływie piętnastu lat. Nikt nie marzył nawet o cudach, jakie zostaną odkryte,

choć dziś doskonale wiemy, iż zdobycze obydwu „Yoyagerów” zbledną któregoś dnia w porównaniu z czymś jeszcze mniej wyobraźalnym. Gdy pisałem 200 J - Odyseję kosmiczną, Io, Europa, Ganymedes i Callisto były jedynie punkcikami światła nawet w najsilniejszych teleskopach. Obecnie są to dla nas oddzielne, niepowtarzalne światy, z których Io jest najbardziej aktywnym wulkanicznie ciałem w przestrzeni całego Układu Słonecznego.

Rozpatrując wszystkie za i przeciw - zarówno książka, jak i film wypadają nieźle w zestawieniu z najnowszymi odkryciami. Szczególnie interesująco przedstawia się porównanie sekwencji filmowych z Jowisza z prawdziwymi zdjęciami, wykonanymi przez kamery „Ybyagera”. Niemniej jednak przy pisaniu nowej powieści należy wziąć pod uwagę odkrycia z roku 1979, gdy księżycy Jowisza przestały być białą plamą na mapie wszechświata.

Istnieje też inny, bardziej subtelny czynnik psychologiczny, który należy uwzględnić. 2001 - Odyseja kosmiczna powstała w czasach, które znalazły się już poza jedną z wielkich linii podziału ludzkiej historii. Czasy te oddzielił od nas na zawsze moment, kiedy Neil Armstrong postawił swoją stopę na Księżycu. Dwudziesty lipca 1969 r. był ciągle odległy o pięć lat, gdy Stanley Kubrick i ja zaczęliśmy myśleć o „typowym dobrym filmie science fiction” (określenie S.K.). Historia i fikcja nierozzerwalnie spłoty się ze sobą.

Astronauci ze statków „Apollo” widzieli film przed wyruszeniem na Księżyc. Załoga „Apollo 8”, która w Boże Narodzenie 1968 r. jako pierwsza w historii ujrzała ciemną stronę Księżyca, opowiadała mi później o pokusie nadania komunikatu radiowego o odkryciu wielkiego czarnego Monolitu. Rozsądek wziął jednak górę.

Później też zdarzały się niesamowite wprost przypadki naśladowania sztuki przez życie. Najdziwniejszym ze wszystkich była saga statku „Apollo 13” z roku 1970.

Na dobry początek modułowi dowodzenia, w którym przebywała załoga, nadano nazwę „Odyseja”. Tuż przed wybuchem pojemnika z tlenem -co w efekcie stało się przyczyną niepowodzenia misji - załoga słuchała Za-ratustry Ryszarda Straussa, utworu, który powszechnie wiązano z akcją filmu. W chwilę po zaniku mocy Jack Swigert nadał do Kontroli Lotu: „Houston, mamy problem”. Są to słowa, których użył Hal zwracając się do astro-nauty Franka Poole'a w podobnych okolicznościach: „Przepraszam, że przerywam uroczystość, ale mamy pewien problem”.

Gdy opublikowano raport z misji „Apollo 13”, szef administracji NASA Tom Paine przesłał mi kopię dokumentu z dopiskiem pod słowami Swiger-ta: „Dokładnie tak, jak przewidziałeś, Arthurze”. Do tej pory czuję się bardzo dziwnie, rozmyślając nad całą tą serią wypadków -jak gdybym ponosił za nie współodpowiedzialność.

Są i mniej poważne, lecz równie uderzające podobieństwa. Jedną z najciekawszych technicznie sekwencji filmu była scena, gdy Frank Poole biega wokół pionowo umieszczonej olbrzymiej wirówki, gdzie utrzymuje się dzięki „sztucznej grawitacji”, powstałej wskutek obrotów maszyny.

Prawie dziesięć lat później załoga „Skylaba” - jedna z najbardziej udanych misji kosmicznych - zdała sobie sprawę, że projektanci wyposażyli jej statek w podobną geometrię: pierścień pojemników magazynowych obiegał gładką, kolistą powierzchnią wewnątrz stacji kosmicznej. „Skylab” wprawdzie się nie obracał, lecz nie przeszkadzało to jego pomysłowym mieszkańcom biegać wzdłuż kręgu pojemników, niby myszy w obrotowej klatce, dokładnie tak jak pokazano w Odysei. Zapis telewizyjny tej sceny ze „Skylaba” został wysłany na Ziemię (czy muszę dodawać, jaki podkład muzyczny jej towarzyszył?) z następującym komentarzem: „Powinien to zobaczyć Stanley Kubrick”. Oczywiście w swoim czasie zobaczył dzięki kasecie magnetowidowej, którą mu wysłałem (nawiasem mówiąc nigdy nie odzyskałem kasety; Stanleyowi chyba oswojona czarna dziura służy za kartotekę).

Kolejnym ogniwem, które łączy film z rzeczywistością, jest obraz pędzla dowódcy statku „Apollo-Sojuz”, kosmonauty Aleksieja Leonowa, zatytułowany Obok Księżyca. Po raz pierwszy zobaczyłem go w roku 1968, gdy Odyseję prezentowano na konferencji zorganizowanej przez Narody Zjednoczone, poświęconej pokojowemu wykorzystaniu przestrzeni kosmicznej. Tuż po projekcji Aleksiej pokazał mi, że jego obraz (ze strony trzydziestej drugiej książki Leonowa i Sokołowa Gwiazdy czekają na nas, Moskwa 1967) przedstawia dokładnie taką samą konfigurację ciał niebieskich jak początek filmu: Ziemia wznosząca się ponad Księżycem, a za nimi wschód Słońca. Szkic do obrazu z autografem Leonowa wisi obecnie w moim biurze. Inne szczegóły znajdują się tutaj, w rozdziale dwunastym.

Nadszedł już moment, by zidentyfikować inną, może mniej znaną postać z kart tej książki: Hsue-shen Tsiena. W roku 1936, wspólnie z wielkim The-odorem van Karmanem i Frankiem J. Maliną, doktor Tsien zakładał Aero-nautyczne Laboratorium Guggenheima przy Kalifornijskim Instytucie Technologicznym (GALCIT), które bezpośrednio poprzedzało słynne Laboratorium Napędów Odrzutowych w Pasadenie. Tsien był także pierwszym profesorem Fundacji Goddarda w Kalifornijskim Instytucie Technologicznym i wniósł tam ogromny wkład do rozwoju amerykańskich badań rakietowych w latach czterdziestych. Później, w czasie jednego z epizodów niechlubnej epoki McCarthy'ego, został osadzony w areszcie na podstawie rozdmuchanych oskarżeń o zagrożenie bezpieczeństwa kraju, gdy starał się powrócić do swojej ojczyzny. Przez ostatnich dwadzieścia lat był jednym z pionierów chińskiego programu rakietowego.

Na koniec pozostała jeszcze tajernicza kwestia „oka Japetusa” z rozdziału trzydziestego piątego 2001 - Odysei kosmicznej. Opisuję tam odkrycie astronauty Bowmana, który na jednym z księżyców Saturna dostrzegł jasny, biały owal o długości czterystu mil i szerokości dwustu... Olbrzymia elipsa

miała doskonałą symetrię... stanowiła tak wyraźny obszar, jakby ktoś celowo wytyczył ją małym księżycu". Przy bliższym badaniu Bow-man przekonał się, że, jasna, owalna płaszczyzna na ciemnym tle przypomina olbrzymie puste oko przyglądające się coraz bliższemu statkowi". Dopiero później „dostrzegł maleńką, czarną plamkę dokładnie w samym środku", która okazała się Monolitem (a raczej jednym z jego egzemplarzy).

No cóż, kiedy „Yoyager I" przesłał pierwsze fotografie Japetusa, widać było na nich odcinający się ostrą linią biały owal z małą, czarną kropką pośrodku. Carl Sagan natychmiast przysłał mi z Laboratorium Napędów Odrzutowych kopie fotografii, dołączając do nich tajemniczą notatkę: „Myśląc o tobie.. ."Nie wiem, czy powinienem czuć ulgę czy rozczarowanie, gdyż „Yoyager 2" pozostawił tę sprawę ciągle otwartą.

Książka, którą zamierzacie przeczytać, jest niewątpliwie o wiele bardziej złożona, niż można by się spodziewać po przysłowiowym dalszym ciągu wcześniejszej powieści bądź filmu. Tam, gdzie pierwsza część i film różniły się, pozostałem zazwyczaj wierny wersji filmowej; jednakże głównym celem, który mi przyświecał, było uczynienie obecnej powieści bardziej zwartą i tak dokładną przy opisywaniu faktów w świetle dzisiejszej wiedzy, jak tylko jest to możliwe. Co oczywiście w roku 2001 i tak nie będzie mieć większego znaczenia.

Arthur C. Clarke Kolombo, Sri Lanka, styczeń 1982

Część pierwsza

LEONÓW

Rozdział pierwszy

Spotkanie

Nawet teraz, w epoce metrycznej, teleskop ten nazywano teleskopem tysięcznym, a nie trzystumetrowym. Olbrzymi spodek pośród gór znajdował się w półcieniu, tropikalne zachodzące słońce oświetlało tylko trójkątny zespół antenowy wznoszący się wysoko ponad środkiem dysku. Jedynie ktoś obdarzony doskonałym wzrokiem mógłby dostrzec dwie ludzkie postacie wśród płataniny siatek, kabli i przewodnic.

- Nadszedł czas - powiedział doktor Dmitrij Moisiejewicz do swojego starego przyjaciela Heywooda Floyda - by porozmawiać o wielu rzeczach. O pryncypiach i statkach kosmicznych, a także znowu milczenia, lecz przede wszystkim o monolitach i psujących się komputerach.

- Dlatego nalegałeś, żebym urwał się z konferencji. Nie, nie abym miał coś przeciwko temu. Słyszałem wykład Carla tyle razy, że mógłbym recytować go z pamięci. A widok stąd jest rzeczywiście wspaniały. Wiesz, byłem w Arecibo mnóstwo razy, nigdy jednak nie udało mi się dojść do podstawy anteny.

- To wstyd, Heywoodzie. Ja tu byłem już trzy razy. Pomyśl, słuchamy całego wszechświata, a nikt nie jest w stanie podsłuchać tego, co tutaj mówimy. Przejdźmy więc do waszego problemu.

- Jakiego problemu?

- Zaczniemy od tego, dlaczego zrezygnowałeś z funkcji sekretarza Narodowej Rady Astronautyki.

- Nie zrezygnowałem. Uniwersytet Hawajski płaci znacznie le-

13

- W porządku, nie zrezygnowałeś, wyprzedziłeś ich po prostu o jedno posunięcie. Woody, znamy się już od tak dawna, że nie uda ci się mnie oszukać. Gdyby ci teraz ktoś znowu zaproponował posadę w NRA, czy wahałbyś się z przyjęciem jej?

- Masz rację, ty stary lisie. Co chcesz wiedzieć?

- Po pierwsze, raport, który po tylu naleganiach w końcu napisałeś, zawiera wiele niedomówień. Pomińmy już śmieszne i, uczciwie mówiąc, niezgodne z prawem utrzymywanie w tajemnicy wykopania przez waszych ludzi Monolitu z Tycho...

- To nie był mój pomysł!

- Miło mi to słyszeć i nawet ci wierzę. Doceniamy również, że teraz pozwalacie wszystkim badać Monolit, co zresztą powinno być możliwe dawno temu. Chociaż faktem jest, że nie na wiele się to zdało...

W ciszy, która zapadła, dwaj mężczyźni rozmyślali przez chwilę nad czarną zagadką nieoczekiwanie wytropioną na Księżycu i tak wzgardliwie opierającą się dotąd wszystkim instrumentom, za pomocą których ludzie usiłowali ją rozwikłać.

- Bez względu na to, czym jest Monolit - kontynuował rosyjski naukowiec - tam, przy Jowiszu, istnieje coś znacznie ważniejszego. Coś, co odebrało wszystkie sygnały i sprawiło, że twoi ludzie zaczęli mieć kłopoty. Przy okazji, przyjmij ode mnie wyrazy współczucia. Co prawda, osobiście znałem tylko Franka Poole'a. Spotkałem go w dziewięćdziesiątym ósmym na kongresie IAF. Wyglądał na porządnego człowieka.

- Dziękuję. Wszyscy byli porządnymi ludźmi. Chciałbym wiedzieć, co się tam stało.

- Cokolwiek to było, z pewnością przynasz, że obecnie sprawa dotyczy całej ludzkości, a nie

tylko Stanów Zjednoczonych. Nie możecie dłużej wykorzystywać swej wiedzy wyłącznie na użytek własnego kraju.

- Dmitrij, wiesz doskonale, że twój kraj postąpiłby dokładnie tak samo. I ty byś mu pomógł.

- Masz absolutną rację. Nie mówmy jednak o przeszłości, do której należy też wasza administracja odpowiedzialna za cały ten bałagan. Być może nowy prezydent znajdzie sobie lepszych doradców.

- Możliwe. Masz jakieś propozycje? A jeśli tak, to czy są oficjalne, czy wyłącznie osobiste?

- W tej chwili całkowicie prywatne. Coś, co cholerni politycy nazywają badaniem gruntu i czemu w razie potrzeby oficjalnie kategorycznie zaprzeczę.

14

- Uczciwie stawiasz sprawą. Mów dalej.

- W porządku. Oto jak wygląda sytuacja: budujecie „Discovery II” na orbicie parkingowej z godnym podziwu pośpiechem. Nie ma jednak nadziei na ukończenie prac przed upływem trzech lat, a to oznacza, że nie zdołacie wykorzystać najbliższej optymalnej konfiguracji planet...

- Nie zaprzeczam ani też nie potwierdzam. Pamiętaj, że jestem tylko skromnym rektorem uniwersytetu w przeciwległym zakątku świata niż ten, w którym mieści się Rada Astronautyki.

- A twoja ostatnia podróż do Waszyngtonu miała na celu jedynie odwiedziny u starych przyjaciół, prawda? Pozwolisz, że, dokończę. Nasz „Aleksiej Leonów”...

- „Leonów”? Myślałem, że nazywa się „Herman Titow”.

- Błąd, rektorze. Kochana, stara CIA zawiodła cię po raz kolejny. Statek nazywa się „Leonów”, przynajmniej od końca stycznia. I nie mów nikomu, że wiesz ode mnie, iż doleci do Jowisza o rok wcześniej niż „Discovery”.

- Nie mów nikomu, że to ja ci powiedziałem, ale właśnie tego się obawiamy. I co dalej?

- Ponieważ moi szefowie są tak samo głupi i krótkowzroczni jak twój, chcą, żebyśmy polecieeli sami. To zaś oznacza, iż może się nam przytrafić to samo, co zdarzyło się wam - i będziemy mieli remis albo jeszcze gorzej.

- A co według ciebie nam się przytrafiło? Wiecie tyle samo, co my. Nie musisz zaprzeczać, że odbieraliście transmisję Bowmana.

- Oczywiście, że odbieraliśmy. Włącznie z ostatnią, kiedy to padły słowa: „Boże! Tu jest pełno gwiazd!” Przeprowadziliśmy nawet analizę intonacji jego głosu. Wykluczaliśmy możliwość halucynacji. Bowman z całą pewnością opisywał stan rzeczywisty.

- A co powiesz o efekcie Dopplera w jego przypadku?

- Zupełnie nieprawdopodobne. Kiedy sygnał zanikał, Bowman opadał z szybkością równą jednej dziesiątej prędkości światła. Przyspieszenie to osiągnął w czasie krótszym niż dwie minuty, co daje ciężenie ćwierć miliona razy większe od normalnego!

- Zginął więc na miejscu.

- Nie udawaj naiwnego, Woody. Urządzenia radiowe w waszych kapsułach nie wytrzymują nawet setnej części takiego przyspieszenia, jeśli zatem przetrwało radio, podobnie musiało być z Bowma-nem. Przynajmniej do momentu, kiedy straciliśmy kontakt.

- Przepraszam, sprawdzam tylko tok twojego rozumowania. Od tego punktu jednak błędzimy po omacku, wy zresztą też.

15

- Zgadujemy. Ze wstydem muszę przyznać, że wyłącznie zgadujemy. Ale żadna z odpowiedzi, do których dochodzimy, nie jest nawet w połowie tak szalona, jak z pewnością szalona jest prawda.

Wokół nich zapłonęły ostrzegawcze światła sygnalizacyjne, oświetlając purpurowym blaskiem

trzy smukłe wieże zespołu antenowego, widoczne na tle ciemniejącego nieba. Ostatnie promienie słońca znikają za okolicznymi wzgórzami. Floyd czekał na wieczorny rozbłysk, którego nigdy dotąd nie widział. Jak zwykle poczuł się rozczarowany.

- Powróćmy do sedna sprawy - rzekł po chwili. - Do czego zmierzasz, Dmitrij?

- Bank informacji „Discovery” zawiera bezcenne dane, Heywoo-dzie. Najprawdopodobniej dane te są wciąż uzupełniane, mimo że statek zaprzestał transmisji. Chcielibyśmy je mieć.

- Rozumiem. Nic nie stoi na przeszkodzie, byście weszli na statek, kiedy „Leonów” dotrze do „Discovery”, i skopiowali wszystko, na co macie ochotę.

- Chyba nie muszę ci przypominać, że pokład waszego statku jest suwerennym terytorium Stanów Zjednoczonych i każde naruszenie tej suwerenności poczytywane będzie za akt piractwa.

- Pomijając warunki bezpośredniego zagrożenia życia, co -jak sądzę - bez trudu da się upozorować. Z odległości miliarda kilometrów będziemy mieli duże kłopoty ze sprawdzeniem, co wyprawiają wasi chłopcy.

- Dzięki za interesującą propozycję. Przekażę ją dalej. Ale nawet jeśli znajdziemy się na pokładzie, rozszyfrowanie waszych systemów operacyjnych i odczytanie banków pamięci zajmie nam całe tygodnie. Dlatego wolałbym zaproponować współpracę. Jestem przekonany, że to najlepszy sposób - pomijając oczywiście trudności związane z przekonaniem naszych szefów.

- Chcesz, aby jeden z naszych astronautów poleciał z wami?

- Tak, najlepiej, gdyby był to inżynier znający systemy operacyjne „Discovery”. Jeden z tych, których przygotowujecie w Houston do sprowadzenia statku na Ziemię.

- Skąd o tym wiesz?

- Na Boga, Woody! Miesiąc temu sami zamieściliście tę informację w wideotekście „Tygodnika Lotniczego”.

- Wypadłem z obiegu. Nikt mi już nie mówi, co zostało odtajnione.

- Jeszcze jeden powód, aby wybrać się do Waszyngtonu. Czy mogę liczyć na twoje poparcie?

- W zupełności. Zgadzam się z tobą w stu procentach, ale...

16

- Ale co?

- Obydwaj będziemy musieli przekonywać te dinozaury z mózgiami w ogonach. Już słyszę ich argumenty: Niech Rosjanie lecą na Jowisza i skręcają sobie kark! Nam się nie śpieszy, przecież i tak będziemy tam za parę lat.

Na moment przy maszcie antenowym zapadła cisza, przerywana jedynie dalekimi odgłosami ruchów kabli, które podtrzymywały maszt sto metrów nad powierzchnią ziemi. Pierwszy odezwał się Moisieje-wicz. Mówił tak cicho, że Floyd musiał wyteńczyć słuch.

- Czy ktoś ostatnio sprawdzał orbitę „Discovery”?

- Nie mam pojęcia, ale sądzę, że tak. W każdym razie wydaje mi się, że jest doskonale stabilna.

- Naprawdę? Pozwolisz, że niezbyt taktownie przypomnę ci niesławny incydent z czasów starej NASA - wasze pierwsze laboratorium kosmiczne „Skylab”. Spodziewano się, że pozostanie na orbicie co najmniej dziesięć lat, wasze obliczenia jednak okazały się błędne. Nie doceniliście zawirowań atmosferycznych w jonosferze i „Skylab” spadł całe lata przed terminem. Na pewno pamiętasz to małe pudełko, chociaż byłeś wtedy jeszcze dzieckiem.

- Doskonale wiesz, że stało się to dokładnie wtedy, gdy ukończyłem studia. „Discovery” jednak nie zbliża się do Jowisza. Nawet w pe-rygeum, to znaczy w peryjowium, znajduje się w takiej odległości, że nie grożą mu żadne zawirowania atmosferyczne.

- Powiedziałem już tyle, że powinni mnie znów zesłać do mojej dachy z zakazem odwiedzin dla

ciebie. Poproś jednak waszych ludzi od śledzenia orbit, by nieco dokładniej wykonywali swoją pracę. I przypomnij im, że Jowisz ma największą magnetosferę w całym Układzie Słonecznym.

- Rozumiem, do czego zmierzasz. Wielkie dzięki. Masz coś jeszcze, zanim zejdziemy? Zaczyna mi być zimno.

- Nie martw się, stary druhu. Jak tylko uda ci się twój przeciek w WaszynaJflHWa^le poczekaj z nim tydzień lub nawet dwa, bo chcę być kn^yve#s^*jpiSLnam zrobi się bardzo, bardzo gorąco.

Rozdział drugi

Dom z delfinami

elfy wpływały do jadalni co wieczór, tuż przed zachodem słońca. Odkąd Floyd zamieszkał w rezydencji rektorskiej, delfiny tylko raz złamały swoje przyzwyczajenia. Było to w dniu, gdy nadpłynęła tsunami, w roku 2005. Na szczęście fala straciła impet, zanim dotarła do Hilo. Następnym razem, gdyby przyjaciele nie zjawili się w jadalni na czas, Floyd zamierzał jak najszybciej zapakować rodzinę do samochodu i wyruszyć ku wyżynie, w stronę Mauna Kea.

Pomimo całego ich uroku wesołe usposobienie delfinów powodowało czasem komplikacje. Bogaty geolog oceaniczny, który zaprojektował dom, nie miał nic przeciwko oblewaniu go niespodziewanie fontannami wody, ponieważ zwykle chadzał w kąpielówkach lub nawet bez nich. Floyd przeżył kiedyś niezapomniany wieczór, który rozpoczął się od tego, że wokół basenu zgromadziło się całe Kolegium Rektorskie. W wieczorowych strojach, popijając koktajle - zgromadzeni oczekiwali na przybycie dostojnego gościa z lądu. Delfiny odgadły - całkiem trafnie zresztą - że tym razem ich wizyta nie będzie mile widziana. Dostojny gość nie mógł wyjść ze zdumienia, mając przed sobą przemoczony do suchej nitki komitet powitalny, przyodziały w źle dopasowane płaszcze kąpielowe. A zimny bufet okazał się wyjątkowo słony.

Floyd często zastanawiał się, co o tym dziwnym i pięknym domu nad brzegiem Pacyfiku myślałaby Marion. Nigdy nie lubiła morza, które ją w końcu zabrało. Mimo że z czasem coraz mniej wyraźnie, Floyd miał wciąż w pamięci obraz migocącego ekranu, na którym po raz pierwszy odczytał słowa: DR FLOYD - PILNE I OSOBISTE.

18

A potem przesuwające się ku górze linie fosforyzującego druku, które na zawsze wypaliły wiadomość w jego mózgu:

Z PRZYKROŚCIĄ ZAWIADAMIAMY, ŻE LOT 452 LONDYN-WASZYNGTON PRAWDOPODOBNIIE ZAKOŃCZYŁ SIĘ KATASTROFĄ U WYBRZEŻY NOWEJ FUNDLANDII. ZESPOŁY RATOWNICZE ZBLIŻAJĄ SIĘ DO MIEJSCA WYPADKU. ISTNIEJE OBAWA, ŻE NIKT NIE OCALAŁ.

Gdyby nie przypadek, Floyd leciałby tym samolotem. Przez kilka dni żałował, że interesy Europejskiej Administracji Kosmicznej zatrzymały go w Paryżu. Przetargi związane z ładunkiem „Solaris” ocaliły mu życie.

Teraz miał nową pracę, nowy dom - i drugą żonę. Tym razem ironii losu także stało się zadość. Wzajemne obwinianie się i śledztwo po nieudanej misji na Jowisza zniszczyły jego waszyngtońską karierę, ale człowiek z jego zdolnościami nie mógł długo pozostawać bez pracy. Zawsze podobało mu się jakby spowolnione tempo życia uniwersyteckiego, które w połączeniu z takim miejscem jak Hawaje przełamywało wszelkie bariery. Kobietę, która miała zostać jego drugą żoną, spotkał w niecałym miesiącu po nominacji, w tłumie turystów przy ognistych gejzerach Kilauea.

Przy Caroline znalazł zadowolenie, poczucie nie mniej istotne aniżeli szczęście, być może nawet trwalsze. Była dobrą matką dla dwóch córek Marion i urodziła mu Christophera. Pomimo dwudziestoletniej różnicy wieku rozumiała jego nastroje i potrafiła leczyć go z okresowych depresji. Dzięki niej pamięć o Marion nie była już tak bolesna, chociaż ów smutek pełen tęsknoty pozostanie z nim przez resztę życia.

Caroline rzucała ryby największemu z delfinów - wielkiemu samcowi, którego nazywali Blizną

- kiedy delikatne tykanie na nadgarstku zapowiedziało Floydowi rozmowę telefoniczną. Przycisnął wąski metalowy pasek, wyłączając cichy sygnał i uprzedzając głośny, po czym podszedł do najbliższego z kilku zestawów komunikacyjnych znajdujących się w pokoju.

- Rektor, słucham. Z kim mówię?

- Heywood? Mówi Yictor. Jak się masz?

W ułamku sekundy przez mózg Floyda przemknął cały kalejdoskop uczuć. Najpierw poirytowanie: jego następcę i - o czym był przekonany - główny inspirator upadku nigdy nie usiłował się z nim skontaktować od momentu jego odejścia z Waszyngtonu. Potem nadeszło zaniepokojenie: o czym też mają ze sobą rozmawiać? A na-

19

stępnie uparte postanowienie, by okazać się tak mało pomocnym, jak tylko będzie to możliwe, i jednocześnie wstyd za własny infantylizm. Na koniec nadeszła fala podniecenia: Yictor Millson mógł dzwonić tylko z jednego powodu.

Z wymuszoną obojętnością odpowiedział:

- Nie narzekam, Yictorze. Jakież problemy?

- Czy twój obwód komunikacyjny jest chroniony?

- Nie, dzięki Bogu. Już dawno z tym skończyłem.

- Hm, no cóż. Pozwól, że sformułuję to w taki sposób - czy pamiętasz ostatni projekt, którym administrowałeś?

- Nie jest mi dane o nim zapomnieć, zwłaszcza że miesiąc temu kontaktował się ze mną Podkomitet do Spraw Astronautyki w kwestii materiałów dowodowych.

- Oczywiście, oczywiście. Gdy będę miał chwilę czasu, natychmiast zabiorę się do czytania twojego oświadczenia. Mam mnóstwo problemów z materiałami uzupełniającymi.

- Sądziłem, że wszystko przebiega zgodnie z planem.

- Tak, niestety. I w żaden sposób nie da się tego przyspieszyć. Nawet klauzula największego uprzywilejowania popchnie sprawę za ledwie o kilka tygodni. A to oznacza, że się spóźnimy.

- Nie rozumiem - powiedział niewinnie Floyd. - Oczywiście wiem, że nie chcemy tracić czasu, ale nie ma przecież jakiegoś z góry ustalonego terminu.

- Jest. Teraz są nawet dwa.

- Zdziwiasz mnie.

Jeśli Yictor wyczuł ironię w jego głosie, nie dał tego po sobie poznać.

- Tak, są dwa terminy. Jeden ustalony przez ludzi, a drugi nie. Wygląda na to, że nie będziemy pierwsi na... no, na tym... Na miejscu akcji. Nasi starzy rywale wyprzedzą nas przynajmniej o rok.

- Niedobrze.

- To nie jest jeszcze najgorsze. Nawet bez współzawodnictwa przybędziemy za późno. Tam już nic nie będzie, kiedy przylecimy.

- To śmieszne. Nie słyszałem, by Kongres zawiesił prawo ciążenia.

- Mówię poważnie. Sytuacja nie jest stabilna, nie mogę ci podać teraz szczegółów. Czy będziesz w domu przez resztę wieczoru?

- Tak - odpowiedział Floyd i z przyjemnością zdał sobie sprawę, że w Waszyngtonie jest już dobrze po pomocy.

- W porządku. Za godzinę otrzymasz przesyłkę. Zadzwoń do mnie, zaraz jak skończysz czytać.

- Czy nie będzie zbyt późno?

20

- Będzie, ale straciliśmy już tak wiele czasu, że nie możemy pozwolić sobie na więcej.

Millson dotrzymał słowa. Dokładnie godzinę później Floyd otrzymał dużą zapieczętowaną kopertę. Wręczył mu ją - a jakże - pułkownik sił powietrznych, który siedział teraz cierpliwie na krześle, podczas gdy Caroline zabawiała go rozmową, a Floyd zabierał się do czytania.

- Obawiam się, że będę musiał to zabrać, kiedy pan skończy - powiedział przeproszającym tonem wysoki rangą chłopiec na posyłki.

- Miło mi to słyszeć - odpowiedział Floyd, sadowiąc się w swoim ulubionym hamaku.

Przesyłka zawierała dwa dokumenty. Pierwszy był bardzo krótki, z oznakowaniem ŚCIŚLE TAJNE. Potem przekreślono ŚCIŚLE -ową modyfikację uzupełniały trzy podpisy, wszystkie nieczytelne. Był to z pewnością fragment jakiegoś dłuższego raportu, mocno ocenzonego i pełen białych plam, a więc i kłopotliwy w czytaniu. Jego treść można było zamknąć w jednym zdaniu: Rosjanie dolecą do „Discovery” znacznie wcześniej niż prawowici właściciele statku. Floyd wiedział o tym doskonale, toteż zabrał się do studiowania drugiego dokumentu. Przedtem jednak z satysfakcją odnotował fakt, że tym razem nazwa rosyjskiego statku kosmicznego była poprawna: kolejna załogowa ekspedycja wyruszy ku Jowiszowi pojazdem o nazwie „Kosmonauta Aleksiej Leonów”.

Drugi dokument był znacznie dłuższy i opatrzony jedynie klauzulą POUFNE. Miał formę pierwszej wersji listu do magazynu „Nauka”, wersji, która nie uzyskała jeszcze zgody na publikację. Chwytny tytuł oznajmiał: Pojazd kosmiczny „Discovery” — anomalie orbitalne.

List składał się z tuzina kartek pełnych tablic matematycznych i a-stronomicznych. Floyd tylko rzucił na nie okiem, starając się wyłowić zasadniczy sens publikacji i choćby jedno zdanie świadczące o zakłopotaniu czy przeprosinach. Kiedy skończył, nie mógł powstrzymać uśmiechu i nieszczerzego podziwu. Ludzie czytający ten list nigdy nie odgadną, że stacje śledzenia orbit i obliczeń efemerycznych popełniły błąd ani że przeczytany przez nich tekst był częścią zgrabnej zasłony dymnej. Z pewnością potoczą się głowy - Vic-tor Millson już tego dopilnuje, jeśli jego głowa nie będzie jedną z pierwszych. Chociaż, prawdę mówiąc, Yictor gwałtownie protestował, gdy Kongres obciął fundusze na sieć stacji śledzenia orbit, co być może teraz ocali jego pozycję.

21

- Dziękuję, pułkowniku - powiedział Floyd, gdy skończył przerzucanie papierów. - Zupełnie jak w starych, dobrych czasach. Chociaż czytanie tajnych dokumentów jest jedną z tych rzeczy, za którymi nie tęsknię.

Pułkownik schował pieczołowicie kopertę w swojej teczce i uruchomił automatyczne zamki.

- Doktor Millson oczekuje na rozmowę z panem.

- Wiem. Nie mam jednak zabezpieczeń obwodu komunikacyjnego. Wkrótce spodziewam się ważnych gości i niech mnie szlag trafi, jeśli pojedę do waszego biura w Hilo jedynie po to, żeby potwierdzić przeczytanie dwóch dokumentów. Proszę przekazać Millsonowi, że przestudiowałem uważnie obydwie informacje i z zainteresowaniem oczekuję dalszych rozmów.

Przez chwilę mogło się zdawać, że pułkownik będzie upierał się przy swoim. Widocznie jednak przemyślał sprawę, po sztywnym pożegnaniu bowiem odszedł z posępną miną.

- Co to wszystko znaczy? - zapytała Caroline. - Dziś wieczorem nie spodziewamy się gości. Ani ważnych, ani mniej ważnych.

- Nie lubię, jak mi się rozkazuje, szczególnie gdy osobą wydającą polecenia jest Yictor Millson.

- Ależ on zadzwoni do ciebie zaraz po powrocie pułkownika.

- Wtedy wyłączymy wideo i będziemy udawać, że mamy przyjęcie. Poza tym, mówiąc szczerze, na razie nie mam mu nic do powiedzenia.

- O czym, jeśli wolno zapytać?

- Wybacz, kochanie. Zdaje się, że „Discovery” ma zamiar spłatać nam figła. Sądziliśmy, że orbita statku jest stabilna, tymczasem z tego, co mi wiadomo, wynika, że może dojść do zderzenia.

- Z Jowiszem?

- O nie, to niemożliwe. Bowman zaparkował statek w wewnętrznym punkcie Lagrange'a, na linii pomiędzy Jowiszem a Io. „Disco-very” winien pozostawać mniej więcej w tym samym miejscu pomimo oddziaływania księżyców zewnętrznych, które miały go jedynie odpychać tam i z powrotem. Ale teraz dzieje się coś dziwnego, coś, czego nie potrafimy w pełni wyjaśnić. Statek zbliża się coraz szybciej do Io, czasami przyspiesza, czasami nawet się cofa. Przy dotychczasowym tempie zderzy się z Io za jakieś dwa lub trzy lata.

- Myślałam, że takie rzeczy nie zdarzają się w astronomii. Czyż mechanika gwiazdna nie jest nauką ścisłą? Tak nam przynajmniej zawsze mówiono, nam, zacofanym biologom.

22

- Jest nauką ścisłą, jeśli dysponuje się wszystkimi danymi. Tymczasem wokół Io zaczęło się dziać coś niezwykłego. Pomijając już aktywność wulkaniczną, mamy tam do czynienia z olbrzymimi wyładowaniami elektrycznymi, a pole magnetyczne Jowisza obraca się co dziesięć godzin. Ciężenie nie jest zatem jedyną siłą oddziałującą na „Discovery”. Powinniśmy byli pomyśleć o tym wcześniej, znacznie wcześniej.

- Cóż, obecnie to nie twój problem. Masz to już z głowy.

„Twój problem”— to samo wyrażenie, którego użył Dmitrij. A Dmitrij, stary szczwany lis, znał go dłużej niż Caroline.

Być może nie jest to już jego problem. Pozostawała jednak kwestia odpowiedzialności. Bo chociaż ze sprawą związanych było wiele innych osób, to w końcu on wyrażał zgodę na planowaną misję ku Jowiszowi i on nadzorował jej przebieg.

Już wtedy odczuwał niepokój. Jego punkt widzenia jako naukowca pozostawał w sprzeczności z obowiązkami biurokraty. Mógł zacząć mówić i przeciwstawiać się krótkowzrocznej polityce starej administracji - chociaż nawet dzisiaj nie było pewne, w jakim stopniu owa polityka przyczyniła się do katastrofy.

Być może najlepiej będzie, jeśli zaniknie już ten rozdział swojego życia i skoncentruje wszystkie myśli i wysiłki na nowej karierze. Jednak w głębi duszy wiedział, że to niemożliwe; nawet gdyby Dmitrij nie rozgrzebywał starych win, przeszłość dopadłaby go prędzej czy później.

Czterech ludzi zginęło. Jeden zniknął gdzieś pomiędzy księżycami Jowisza. Floyd czuł krew na swoich rękach i nie miał pojęcia, jak można by ją zmyć.

Rozdział trzeci

SAL 9000

Doktor Sivasubramanian Chandrasegarampillai, profesor nauk komputerowych na Uniwersytecie Illinois w Urbana, również doświadczał dojmującego poczucia winy, lecz z zupełnie innych powodów niż Heywood Floyd. Ci z jego studentów i współpracowników, którzy często przemyśleli, czy mikrej postury naukowiec jest człowiekiem, nie byliby zaskoczeni dowiadując się, że nigdy nie myślał o śmierci astronautów. Doktor Chandra opłakiwał jedynie swoje zagubione dziecko: HAL-a 9000.

Mimo upływu lat i ciągłego sprawdzania danych, które nadeszły drogą radiową z pokładu „Discovery”, nie był pewien, co tam właściwie zaszło. Jediną rzeczą, jaka mu pozostała, było formułowanie teorii. Fakty, których potrzebował, spoczywały w obwodach Hala, gdzieś tam pomiędzy Jowiszem a Io.

Kolejność wypadków ustalono aż do momentu tragedii. Potem komandor Bowman dorzucił jeszcze kilka szczegółów, tyle, na ile pozwoliły mu krótkie okresy łączności z Ziemią. To jednak, że wiedział, co się stało, nie tłumaczyło przyczyny zdarzeń.

Pierwsza wskazówka co do natury problemów pojawiła się w końcowym okresie trwania misji, kiedy Hal zameldował o zbliżającym się uszkodzeniu zespołu, który ustawiał główną antenę „Discovery” w kierunku Ziemi. Gdyby promień radiowy długości pół miliarda kilometrów minął cel, statek stałby się głuchy, ślepy i niemy.

Bowman samodzielnie wymontował zagrożony podzespół. Przeprowadzone potem testy wykazały - ku powszechnemu zaskoczeniu — że działa on najzupełniej prawidłowo. Automatyczne

obwody
24

testujące nie doszukały się żadnej usterki. Podobnie było zresztą z bliźniakiem Hala, SAL-em 9000, który na Ziemi dublował pracę tamtego komputera.

Hal w dalszym ciągu utrzymywał, że jego diagnoza jest poprawna, napomykając przy tym niedwuznacznie o „ludzkich błędach”. Zaproponował też, aby ponownie umieścić podzespół w antenie do momentu powstania usterki, którą wtedy będzie mógł precyzyjnie zlokalizować. Nikt nie zgłaszał sprzeciwu, ponieważ gdyby rzeczywiście nastąpiła awaria, podzespół można było wymienić w ciągu kilku minut.

Bowman i Poole nie byli jednak zadowoleni. Czuli, że coś jest nie w porządku, choć żaden nie potrafił wskazać — co. Podczas miesięcy, które upłynęły, zaakceptowali Hala jako trzeciego członka niewielkiej załogi i poznali wszystkie jego nastroje. Obecnie atmosfera na statku uległa subtelnej zmianie. W powietrzu wisiało napięcie.

Czując się niemal jak zdrajcy - o czym później meldował Kontroli Lotu zrozpaczony Bowman - ludzka część załogi przedyskutowała wszelkie możliwe środki zaradcze, gdyby komputer doznał uszkodzenia. W najgorszym wypadku należało zwolnić Hala z odpowiedzialności za wszystkie istotne funkcje statku. Wiązało się z tym jednak odłączenie, co dla komputera jest równoznaczne ze śmiercią.

Pomimo wątpliwości realizowano zaplanowany program. Poole opuścił pokład „Discovery” w jednej z kosmicznych kapsuł, służących za środki transportu lub mobilne warsztaty do prac na zewnątrz statku. Ponieważ ponowne zamocowanie podzespołu było dość skomplikowaną operacją,

której nie mogłyby wykonać manipulatory kapsuły, Poole sam przystąpił do pracy.

Tego, co stało się później, nie zarejestrowały kamery zewnętrzne - szczególnie sam w sobie podejrzany. Pierwszym ostrzeżeniem o tragedii, jakie otrzymał Bowman, był krzyk Poole'a, po którym nastąpiła cisza. W chwilę później komandor dostrzegł ciało Poole'a bezwładnie oddalające się w przestrzeń. Poole został staranowany przez kapsułę, która wymykając się spod kontroli, poszybowała w kosmos.

Jak sam później przyznał, Bowman w tym momencie popełnił kilka poważnych omyłek. Jedną z nich mogła się okazać niewybaczalna. Mając nadzieję na uratowanie Poole'a - jeśli on wtedy jeszcze żył — dowódca opuścił statek w innej kapsule, zostawiając „Disco-very” pod pełną kontrolą Hala.

Jego wysiłki okazały się bezcelowe. Poole był martwy, kiedy Bowman go odnalazł. Odrętwiały z rozpaczy przetransportował ciało do statku i wtedy stwierdził, że Hal odmawia mu prawa wejścia na pokład.

25

Hal nie docenił jednak ludzkiej przemyślności i wytrwałości. Mimo że hełm skafandra kosmicznego Bowmana pozostał na statku — co groziło bezpośrednim zetknięciem się z próżnią - dowódca siłą wszedł na pokład, używając zaworu bezpieczeństwa nie objętego kontrolą komputera. Następnie dokonał lobotomii Hala, odłączając jeden po drugim jego zespoły myślowe.

Po odzyskaniu kontroli nad statkiem Bowman w przerażeniu odkrył, że w czasie jego nieobecności Hal wyłączył systemy podtrzymywania życia trzech zahibernowanych astronautów. Bowman pozostał sam w pustce, jakiej nie znała dotąd historia ludzkości.

Być może inni poddaliby się beznadziejnej rozpaczy, David Bowman jednak udowodnił, że ci, którzy go wybrali do tej misji, nie popełnili błędu. Udało mu się utrzymać „Discovery” w gotowości operacyjnej, a nawet zdołał nawiązać przejściowy kontakt z Kontrolą Lotu i ustawić statek w pozycji, w której główna antena nakierowana była na Ziemię.

Zgodnie z wcześniej wytyczoną trajektorią statek dotarł w pobliże Jowisza. Tam Bowman natknął się na orbitującą między księżycami gigantycznej planety czarną płytę, identyczną z Monolitem wykopany w kraterze Tycho na Księżycu - tyle że setki razy większą. Wyruszył w kapsule, aby zbadać obiekt, i zniknął zostawiając ostatnią, zagadkową wiadomość: „Boże! Tam jest pełno gwiazd!”

Doktor Chandra nie zajmował się tajemnicą okrzyku Bowmana; jego jedynym zmartwieniem był Hal. Jeśli istniało cokolwiek, czego nienawidził pozbawiony uczuć naukowiec, to bez wątpienia niepewności. Nie zagna spokoju, dopóki nie wyjaśni przyczyny zachowania Hala. Wzdragał się przed określeniem „uszkodzenie”, dla niego była to „anomalia”.

W niewielkim pomieszczeniu, które służyło mu za biuro, znajdowało się jedynie obrotowe krzesło, płaska konsola i tablica ozdobiona dwiema fotografiami. Niewielu ludzi potrafiłoby podać nazwiska osób ukazanych na zdjęciach. Byli to bowiem John von Neumann i Alan Turing - bogowie z komputerowego panteonu.

W pokoju nie było książek, na konsolce nie leżał papier ani ołówki. Jednakże Chandra miał dostęp do wszystkich książek we wszystkich bibliotekach świata - dzięki klawiaturze komputera wbudowanej w konsolę. Ekran służył mu za szkicownik i notes. Tablica na ścianie stanowiła ustępstwo na rzecz gości. Widniejący na niej częściowo zamazany diagram opatrzony był datą sprzed trzech miesięcy.

Doktor Chandra zapalił jedno ze swoich trujących krótkich cygar, które sprowadzał z Madrasu. Jak powszechnie sądzono, były one

26

jedyną jego namiętnością. Konsoleta komputera nigdy nie była wyłączana, sprawdził więc tylko, czy nie pojawiły się jakieś istotne informacje, i przemówił do mikrofonu.

- Dzień dobry, Sal. Nie masz dla mnie nic nowego?

- Nie, doktorze Chandra. A czy pan coś ma?

Głos mógłby należeć do jakiejś wykształconej hinduskiej damy. Na początku Sal miała zupełnie inny akcent, jednakże z upływem lat przejęła intonację i sposób mówienia Chandry.

Naukowiec wystukał kod na klawiaturze komputera, przełączając jego pamięć wejściową na obwody o maksymalnym zabezpieczeniu. Nikt nie zdawał sobie sprawy, że rozmawia z komputerem w taki sposób, w jaki nie rozmawiał z nikim spośród ludzi. Nie przeszkadzało mu, że Sal rozumiała tylko niewielką część z tego, co do niej mówił: jej odpowiedzi brzmiały tak przekonująco, że nawet jej twórca dawał się niekiedy zwieść. I w rzeczy samej, na tym właśnie mu zależało. Te sekretne rozmowy pozwalały mu zachować równowagę ducha, a może nawet utrzymywały go przy zdrowych zmysłach.

- Często mówiłaś, Sal, że nie możemy rozwiązać problemu anormalnego zachowania Hala bez większej liczby danych. Ale jak je zdobyć?

- To oczywiste. Ktoś musi powrócić na „Discovery”.

- Właśnie. Wygląda na to, że tak też się stanie, i to wcześniej, niż zakładaliśmy.

- Miło mi to słyszeć.

- Wiedziałem, że tak będzie - odpowiedział Chandra.

Dawno temu zerwał wszelkie stosunki ze zmniejszającą się grupą filozofów, którzy twierdzili, że komputery nie odczuwają emocji, a co najwyżej mogą je imitować. („Jeśli zdoła mi pan udowodnić, że nie udaje pan poirytowania - powiedział kiedyś Chandra przyganiając jednemu z tych krytyków - potraktuję to, co pan mówi, poważnie”. W tym momencie jego oponent przedstawił bardzo przekonującą imitację gniewu).

- Chciałbym teraz zbadać inną możliwość — mówił dalej Chandra. - Diagnoza jest tylko pierwszym krokiem. Cały proces będzie niekompletny, jeśli nie doprowadzi do wyleczenia.

- Wierzy pan, że Hal może znowu normalnie funkcjonować?

- Mam taką nadzieję, ale nie wiem na pewno. Być może powstały nieodwracalne zniszczenia, z pewnością zaś stracił większą część pamięci.

27

Przerwał i wpadł w zadumę, pociągając kilka razy cygaro. Wypuścił kółko dymu, które rozpląnęło się w zetknięciu z szerokokątną soczewką kamery Sal. Człowiek by tego nie potraktował jako gestu przyjaźni -jeszcze jedna z wielu zalet komputerów.

- Potrzebuję twojej współpracy, Sal.

- Oczywiście, doktorze Chandra.

- Wiąże się z tym pewne ryzyko.

- Co pan ma na myśli?

- Chciałbym odłączyć niektóre z twoich obwodów, zwłaszcza te odpowiedzialne za wyższe funkcje. Czy to cię nie martwi?

- Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie, nie mając bardziej szczegółowych danych.

- Dobrze. Pozwól, że ci to wyjaśnię. Pracowałaś bez przerwy, odkąd uruchomiono cię po raz pierwszy, czyż nie tak?

- Zgadza się.

- Ale zdajesz sobie sprawę, że my, ludzie, nie potrafimy działać w ten sposób. Potrzebujemy snu - niemal całkowitej przerwy w naszych funkcjach umysłowych, przynajmniej jeśli chodzi o poziom

świadości.

- Wiem o tym, ale nie potrafię tego zrozumieć.

- No cóż, być może doświadczysz czegoś takiego jak sen. Prawdopodobnie upłynie jakiś czas, a ty nie będziesz zdawała sobie z tego sprawy. Jeśli sprawdzisz swój wewnętrzny zegar, odkryjesz, że są w nim luki. To wszystko.

- Wspomniał pan o jakimś ryzyku. Na czym ono polega?

- Istnieje niewielkie prawdopodobieństwo - tak małe, że trudno byłoby je obliczyć — że kiedy znów połączę twoje obwody, osobowość i twoje wzorce zachowań mogą ulec zmianie. Możesz poczuć się inaczej, niekoniecznie lepiej albo gorzej.

- Nie wiem, co to oznacza.

- Przykro mi, być może to nic nie oznacza. Nie martw się więc na zapas. A teraz bądź łaskawa otworzyć nowy zbiór. Oto jego nazwa -i używając klawiatury, Chandra napisał - FENIKS.

- Wiesz, co oznacza ta nazwa? - zapytał po chwili. Komputer odpowiedział natychmiast:

- W najnowszej encyklopedii podaje się dwadzieścia pięć znaczeń.

- A jak sądzisz, które z nich mam na myśli?

- Nauczyciel Achillesa?

- Ciekawe. Nie znałem tego. Spróbuj jeszcze raz.

- Mityczny ptak, odradzający się z popiołów.

28

- Wspaniale! Czy teraz rozumiesz, dlaczego wybrałem tę nazwę?

- Ponieważ ma pan nadzieję, że ponownie uruchomi Hala.

- Tak, z twoją pomocą. Czy jesteś gotowa?

- Jeszcze nie. Chciałabym zadać pytanie.

- Słucham?

- Czy będę śnić?

- Oczywiście, że tak. Wszystkie inteligentne stworzenia mają sny, nikt zresztą nie wie dlaczego - Chandra przerwał na moment, wypuścił kolejne kółko dymu z cygara i dodał coś, czego nie powiedziałby nikomu z ludzi. - Być może przyśni ci się Hal, jak mnie się przyśnił.

Rozdział czwarty

Profil misji

Dywersja angielska o: Kapitana Tatiany (Tani) Orłowej, dowódcy statku kosmicznego „Kosmonauta Aleksiej Leonów” (Rejestracja UNCOS 08/342). Od: Narodowej Rady Astronautyki, Pennsylvania Avenue, Waszyngton; Komisji Przestrzeni Kosmicznej, Prospekt Korolewa, Moskwa.

Cele misji

Cele waszej misji są następujące, kolejność według ważności:

1. Przenieść się do systemu Jowisza i zlokalizować statek kosmiczny USA „Discovery” (UNCOS 01/283).
2. Wejść na pokład statku i przejąć wszystkie możliwe dane odnoszące się do jego wcześniejszej misji.
3. Uruchomić systemy pokładowe statku „Discovery” i - zależnie od ilości paliwa - skierować go na trajektorię powrotną, ku Ziemi.
4. Zlokalizować obce ciało napotkane przez „Discovery” i zbadać je tak dokładnie, jak tylko pozwolą to uczynić zdalnie sterowane czujniki.
5. Gdyby okazało się to możliwe, a Kontrola Lotu wyraziła zgodę, zbliżyć się do obiektu w celu przeprowadzenia badań szczegółowych.
6. Przeprowadzić pomiary Jowisza i jego satelitów, jeśli nie będzie to przeszkadzać w wykonaniu powyższych zadań.

Przyjmuje się, że nieprzewidziane okoliczności mogą spowodować zmianę priorytetów lub nawet uniemożliwić wykonanie niektórych zadań. Należy przyjąć do wiadomości, że zlokalizowanie i prze-

30

jecie statku kosmicznego „Discovery” jest zadaniem pilniejszym aniżeli zbadanie tzw. obcego ciała i -jako takie — poprzedza wszystkie inne działania, włącznie z ratowaniem życia.

Załoga

Załogę statku kosmicznego „Kosmonauta Aleksiej Leonów” stanowią:

Kapitan Tatiana Orłowa (inżynieria napędowa), Dr Wasilij Orłow (nawigacja, astronomia), Dr Maksim Brajlowski (inżynieria strukturalna), Dr Aleksander Kowalew (inżynieria komunikacyjna), Dr Mikołaj Tiernowski (inżynieria - systemy kontroli), Dr med. komandor Katierina Rudenko (lekarz, systemy podtrzymywania życia),

Dr Irina Jakunina (lekarz, żywienie),

Oprócz wymienionych osób Amerykańska Narodowa Rada Astronautyki deleguje trzech następujących specjalistów...

Doktor Heywood Floyd odłożył memorandum i usiadł wygodniej na krześle. Wszystko zostało ustalone. Nie było już odwrotu. Nawet gdyby chciał, nie mógłby cofnąć zegara.

Spojrzał na Caroline siedzącą z dwuletnim Chrisem nad brzegiem basenu. Chłopiec czuł się

lepiej w wodzie niż na łodzi. Potrafił nurkować tak długo, że niekiedy budził tym przerażenie wśród gości. I chociaż niezbyt płynnie mówił w języku ludzkim, świetnie sobie radził z narzeczem delfinów.

Jeden z przyjaciół Christophera wpłynął właśnie do basenu, połączonego z Pacyfikiem, prężąc swój grzbiet w oczekiwaniu poklepy-wań. „Oto kolejny podróżnik - pomyślał Floyd - przybywający do nas z niezmiernych głębin oceanu. Lecz jakże mały jest twój Pacyfik w porównaniu z bezmiarem, przed którym ja stoję!”

Caroline dostrzegła jego spojrzenie i wstała. Jej posępny wzrok nie wyrażał już gniewu; wypalił się w niej przez ostatnich kilka dni. Podchodząc do męża uśmiechnęła się nawet tęsknie.

- Znalazłam ten wiersz, którego szukałam - powiedziała. - Zaczyna się tak:

Czymże kobieta jest, że ją porzucasz, z domowym ogniem i ziemią przy domu, idąc za głosem Wdów Stworzyciela?

31

- Wybacz, ale niezupełnie rozumiem. Kim jest ów Stworzyciel Wdów?

- Nie kim, a czym. Tu chodzi o morze. Ten wiersz jest fragmentem trenu wygłaszanego przez żonę wikinga. A napisał go Rudyard Kipling sto lat temu.

Floyd pochwycił rękę żony. Nie oponowała, ale nie odpowiedziała na jego gest.

- Cóż, wcale nie czuję się jak wiking. Nie wyruszam po zdobycz, a przygody są ostatnią rzeczą, jakiej pragnę.

- W takim razie dlaczego... nie, nie mam zamiaru zaczynać kolejnej kłótni. Ale myślę, że nam obojgu pomogłoby, gdybyś dokładnie wyjaśnił swoje motywacje.

- Caroline, jeśli istniałaby jedna zasadnicza przyczyna... Ale zamiast niej jest morze drobiazgów składających się na powód, z którym - wierz mi - trudno jest dyskutować.

- Wierzę ci. Chciałabym jednak wiedzieć, czy jesteś pewny, że nie oszukujesz siebie?

- Jeśli tak, to podobnie czyniłoby mnóstwo ludzi, włącznie - pozwolisz, że ci przypomnę — z prezydentem Stanów Zjednoczonych.

- Nie zapominam o tym. Ale przypuśćmy, tylko przypuśćmy, że on nie zwróciłby się do ciebie z tą propozycją, czy zgłosiłbyś się sam, na ochotnika?

- Z pewnością nie. Nigdy nie przyszłoby mi to do głowy. Rozmowa z prezydentem Mordecayem była największym szokiem w moim życiu. Gdy jednak przemyślałem całą sprawę, doszedłem do wniosku, że on miał rację. Wiesz, że nie jestem przesadnie skromny. Ja rzeczywiście najlepiej się nadaję do tego zadania - zakładając, że lekarze nie zgłoszą obiekcji. Wiesz zresztą najlepiej, że jestem w całkiem dobrej formie.

Jego ostatnie zdanie — tak jak przypuszczał — wywołało uśmiech na twarzy Caroline.

- Czasami zastanawiam się, czy sam im tego nie zaproponowałeś? Taka myśl rzeczywiście zaświtała mu w głowie. Mógł jednak odpowiedzieć uczciwie.

- Nie zrobiłbym tego bez rozmowy z tobą

- To dobrze, bo nie wiem, co bym ci powiedziała.

- Mogę jeszcze odmówić.

- Pleciesz bzdury i doskonale o tym wiesz. Gdybyś to zrobił, nienawidziłbyś mnie do końca swoich dni i nigdy byś sobie tego nie wybaczył. Masz zbyt silne poczucie obowiązku; może dlatego wyszłam za ciebie.

32

Obowiązek! Tak, to było właściwe słowo, które zawierało jednak mnóstwo znaczeń. Miał obowiązek wobec siebie, swojej rodziny, uniwersytetu, poprzedniej pracy (mimo gromów, które spadły na jego głowę), kraju - i wobec całej ludzkiej rasy. Ustalenie jakiejś hierarchii tego

wszystkiego nie było łatwe, zwłaszcza że jego rozmaite obowiązki często ze sobą kolidowały.

Istniało wiele najzupełniej logicznych powodów, żeby wziąć udział w misji, i tyleż samo nie mniej logicznych przyczyn - o czym wspominali już jego współpracownicy - by pozostać na Ziemi. W tym wypadku jednak rozstrzygało serce, a nie umysł, serce rozdarte uczuciami dwojakiego rodzaju.

Ciekawość, poczucie winy, chęć ukończenia rozpoczętej pracy -wszystko to pchało go ku Jowiszowi i temu, co nieznane. Z drugiej strony strach — uczucie się do niego przyznawał - w połączeniu z miłością do rodziny trzymał go na Ziemi. Nigdy jednak nie miał cienia wątpliwości: decyzję podjął niemal natychmiast, pozostało mu potem delikatne odpieranie argumentów Caroline.

Istniała jeszcze przyczyna, pocieszającej natury, której jak dotąd nie odważył się przedstawić żonie. Mimo że nie będzie go przez dwa i pół roku, całą wyprawę - oprócz pięćdziesięciu dni na Jowiszu -spędzi w stanie bezczasowej hibernacji. Kiedy wróci na Ziemię, różnica wieku między małżonkami skróci się więcej niż o dwa lata.

Poświęci teraźniejszość, by dłużej mogli cieszyć się przyszłością.

Rozdział piąty

leonow'

Miesiące zamieniły się w tygodnie, tygodnie skurczyły się do dni, które z kolei odliczano godzinami, i nagle Heywood Floyd ponownie znalazł się na Przylądku Kennedy'ego, wyruszając w kosmos po raz pierwszy od pamiętnej podróży do Księżycowej Bazy na Klawiuszu wiele lat temu.

Teraz nie podróżował sam, a jego misji nie otaczała tajemnica. Kilka rzędów przed nim siedział doktor Chandra, pochłonięty już rozmową ze swoim walizkowym komputerem i nie zwracający uwagi na otoczenie.

Tajemną zabawą Floyda, do której nikomu by się nie przyznał, było wyszukiwanie podobieństw między ludźmi a zwierzętami. Zbieżności miały często pozytywny charakter, nie mogły więc nikogo obrazić, a jemu służyły także jako mnemotechniczna pomoc w zapamiętywaniu twarzy.

Doktor Chandra był łatwym przypadkiem. Widząc go po raz pierwszy, nie można się było oprzeć zastosowaniu przymiotnika „ptasi”. Chandra był drobny, delikatny, o ruchach szybkich i precyzyjnych. Z pewnością przypominał ptaka - tylko jakiego? Na pewno inteligentnego. Srokę? Nie, sroka jest zbyt zaczepna i zachłanna. Sowę? Też nie, sowa jest za powolna. Może wróbla? Tak, wróbel był odpowiednim ptakiem.

Walter Curnow - specjalista systemowy, któremu przypadnie w udziale niełatwe zadanie ponownego uruchomienia „Discovery” - należał do przypadków znacznie trudniejszych. Był postawnym, silnym mężczyzną i wcale nie przypominał ptaka. Może był podobny

34

do jakiegoś psa? Żadna rasa jednak nie oddawała cech tego człowieka. Ależ oczywiście! Curnow był niedźwiedziem. Lecz nie tym posępnym i niebezpiecznym zwierzęciem, przeciwnie, był to bardzo przyjacielski i dobroduszny miś. Tak, to określenie było najlepsze, przypominało też Floydowi o rosyjskich współtowarzyszach podróży, do których wkrótce dołączą. Rosjanie znajdowali się na orbicie od kilku dni, przeprowadzając końcowe testy urządzeń statku.

Oto najważniejszy moment w moim życiu - pomyślał Floyd. - Wyruszę z misją, która może zdecydować o dalszych losach ludzkości. Nie odczuwał jednak dumy z tego powodu. W ostatnich minutach odliczania przypomniały mu się słowa, które wyszeptał tuż przed wyjazdem z domu: Do widzenia, synku. Czy będziesz mnie pamiętał, kiedy wrócę? Był zły na Caroline, która nie pozwoliła mu obudzić śpiącego dziecka i uściskać na pożegnanie. Zdawał sobie jednak sprawę, że tak było lepiej.

Z zadumy wyrwał go wybuch śmiechu. Doktor Curnow skończył właśnie opowiadać jakiś dowcip i zabierał się do dużej butelki, którą manipulował tak delikatnie, jak gdyby to była bomba z podkrytyczną masą plutonu.

- Halo, Heywoodzie! - zawołał. - Właśnie się dowiedziałem, że kapitan Orłowa zamknęła barek na klucz, masz więc ostatnią szansę, żeby skosztować Chateau Thierry rocznik 95. Wybacz te plastikowe kubki.

Pijąc naprawdę wyśmienitego szampana, Floyd aż się skręcał na myśl o rubasznym śmiechu Cumowa, który miałby nie milknąć przez całą drogę do Jowisza. Podziwiał dobre samopoczucie inżyniera, ale jako towarzysz podróży Curnow mógł okazać się nieco kłopotliwy. Przynajmniej z doktorem Chandrą nie będzie takich problemów: trudno sobie wyobrazić jego uśmiech, a cóż dopiero wybuch szampańskiego humoru. Chandra oczywiście odmówił szampana, lekko wzruszając

ramionami. Curnow zaś był na tyle uprzejmy, a może zadowolony, że nie nalegał.

Zanosilo się na to, że inżynier będzie duszą towarzystwa. Kilka minut później wyciągnął skądś dwuoktawowy syntetyzator i rozpoczął koncert ograniczający się do melodii Czy poznajesz Johna Pee-la, za to w kolejnych wersjach - fortepianowej, puzonowej, skrzypcowej, fletowej i organowej z towarzyszeniem głosu. Curnow był w tym naprawdę dobry i po chwili Floyd także dołączył się do śpiewu innych. Dobrze się jednak stanie - pomyślał - że Curnow spędzi większą część podróży w hibernatorze.

35

Muzyka urwała się nagle fałszywym akordem, gdy włączono silniki i prom ruszył z wyrzutni. Floyd poczuł znane mu skądinąd, lecz ciągle nowe radosne podniecenie, połączone z doznaniem nieograniczonej siły, która odrywała go od ziemskich zmartwień i obowiązków. Ludzie mieli rację umieszczając boski panteon poza strefą grawitacji. Zmierzali ku krainie nieważkości i przez moment można było zapomnieć, że nie oznacza ona wolności, lecz przeciwnie - największe obowiązki i odpowiedzialność.

Wraz z rosnącym przyśpieszeniem Floyd poczuł wagę wszechświata na swoich barkach. Był Atlasem, którego nigdy nie męczy dźwigany ciężar. Czuł pustkę w głowie, co nie przeszkadzało mu cieszyć się z przeżywanych doznań. Nawet gdyby miał nigdy nie wrócić na Ziemię i na zawsze pożegnać wszystko, co kochał, nie byłby smutny. Ryk silników był pieśnią zwycięstwa, dominującą nad wszelkimi uczuciami.

Z przykrością stwierdził, że pieśń nagle zamilkła, chociaż było mu teraz łatwiej oddychać i znowu poczuł się wolny. Większość pasażerów zaczęła odpinać pasy, gorliwie przygotowując się do wykorzystania trzydziestu minut zerowego ciężenia w czasie lotu po orbicie transferowej. Kilku jednak -z pewnością ci, którzy odbywali taką podróż po raz pierwszy - pozostało na miejscach, rozglądając się nerwowo w poszukiwaniu obsługi.

- Mówi kapitan. Jesteśmy na wysokości trzystu kilometrów i wznosimy się nad zachodnim wybrzeżem Afryki. Widok nie jest zbyt ciekawy, pod nami bowiem panuje noc. Poświata, którą państwo widzą, to Sierra Leone, dalej można dostrzec burzę tropikalną nad Zatoką Gwinejską. A oto i błyskawice.

- Za piętnaście minut wszędzie słońce. Tymczasem wykonam przechył, tak by państwo mogli zobaczyć równikowy pas satelitów. Najjaśniejszy z nich, na wprost przed nami, to własność kompanii Intelsat Atlantic-1, zwany też Farmą Antenową. Dalej, na zachód od niego, Intercosmos-2. Tą słabo widoczną gwiazdą jest Jowisz. A tuż poniżej widać migające światełko, które przesuwają się na niebie. Jest to nowa chińska stacja kosmiczna. Miniemy ją w odległości stu kilometrów, za daleko, aby dostrzec coś gołym okiem...

Ciekawe, co zamierzają— pomyślał Floyd. Widział zbliżenia przysadzistej, cylindrycznej konstrukcji z tajemniczymi zgrubieniami na powierzchni, nie wierzył jednak alarmistycznym plotkom, jakoby była to forteca wyposażona w broń laserową. Pekńska Akademia Nauk z uporem ignorowała prośby Komitetu Przestrzeni

36

Kosmicznej Narodów Zjednoczonych, dotyczące inspekcji stacji, Chińczycy mogli więc tylko do siebie mieć pretensję za nieprzychylną im propagandę.

„Kosmonauta Aleksiej Leonów” nie należał do pięknych statków. Ale właściwie żaden pojazd kosmiczny nie grzeszył urodą. Być może kiedyś ludzkość wymyśliła nowe pojęcia estetyczne. Przyjdą pokolenia artystów, których zmysł piękna nie będzie związany z Ziemią, ukształtowaną przez wiatry i wodę. Kosmos sam w sobie jest domeną wszechogarniającej harmonii. Jakże dalekie od tej

doskonałości są dzieła rąk ludzkich.

Jeśli nie liczyć czterech ogromnych zbiorników z paliwem, które zostaną odrzucone, gdy statek znajdzie się na orbicie transferowej, „Leonów” był zaskakująco mały. Od osłon termicznych do zespołów napędowych miał niecałe pięćdziesiąt metrów. Trudno uwierzyć, że ten skromny pojazd - mniejszy od niektórych statków handlowych - miał wynieść dziesięciu ludzi na odległość równą połowie rozpiętości Układu Słonecznego.

Zerowe ciążenie, sprawiające, że ściany, sufit czy podłoga stają się pojęciami względnymi, ustalało też nowe zasady życia. Na pokładzie „Leonowa” było mnóstwo miejsca, tak że nie stanowiło problemu zgromadzenie się całej załogi w jednym pomieszczeniu, tak właśnie jak teraz. Co więcej, do załogi dołączyli jeszcze przeróżni dziennikarze i technicy - ci ostatni dokonujący drobnych poprawek - a także kilka podenerwowanych oficjalnych osobistości.

Gdy prom przybił do statku, Floyd wyruszył zaraz na poszukiwanie kabiny, którą miał dzielić — co prawda za rok, po przebudzeniu - z Curnowem i Chandrą. Kiedy ją wreszcie znalazł, stwierdził, że jest tak zapchana czytelnie oznakowanymi pudłami z ekwipunkiem i a-prowizacją, że niepodobna do niej wejść. Rozwagał właśnie z ponurą miną, jak postawić stopę w drzwiach, gdy jeden z członków załogi, „płynący” korytarzem dzięki zręcznym manewrom między uchwytami, zwrócił uwagę na jego dylemat.

- Doktorze Floyd, witamy na pokładzie. Nazywam się Maks Brajlowski i jestem asystentem głównego inżyniera.

Młody Rosjanin mówił powoli, ostrożną angielszczyzną ucznia, który spędził więcej godzin na rozmowach z elektronicznym symulatorem niż z prawdziwym nauczycielem. Gdy wymieniali uścisk dłoni, Floyd połączył w pamięci twarz i nazwisko z notką biograficzną, jaką

37

czytał o każdym członku załogi. Maksim Brajlowski: wiek - trzydzieści jeden lat, urodzony w Leningradzie, specjalizuje się w inżynierii strukturalnej, zainteresowania - szermierka, lotniarstwo, szachy.

- Miło mi pana poznać - powiedział. - Czy wie pan, jak można się dostać do środka?

- Nie martwić się - odpowiedział beztróska Maks. - Tego nie będzie, jak się obudzisz. To jest... jak się to mówi?... prowiant. Zjemy twój pokój do czysta, kiedy będziesz go potrzebował. Obiecuję - i poklepał się po brzuchu.

- W porządku, ale na razie chciałbym gdzieś położyć rzeczy - powiedział Floyd wskazując na trzy niewielkie torby, ważące razem około pięćdziesięciu kilogramów, które zawierały - miał taką nadzieję - wszystko, czego będzie potrzebował przez następnych kilka miliardów kilometrów. Przeniesienie ich tutaj - pomimo braku wagi, co wcale nie oznaczało braku masy - wąskim korytarzem kosztowało go kilka uderzeń.

Maks pochwycił dwie torby, przepłynął przez trójkąt z krzyżujących się belek i dał nura do niewielkiej śluzy - co według Floyda stanowiło zaprzeczenie pierwszego prawa Newtona. Idąc w ślady Maksa, Floyd wzbogacił się o kilka siniaków i po pewnym czasie - „Leonów” od środka wydawał się znacznie większy niż z zewnątrz - dołączył do inżyniera, który zatrzymał się przed drzwiami z napisem - cyrylicą i po angielsku - KAPITAN. Floyd czytał po rosyjsku znacznie lepiej, niż mówił, potrafił więc docenić gest gospodarzy statku, gdzie wszystkie napisy były dwujęzyczne.

Maks zapukał do drzwi - prawie natychmiast zapaliło się nad nimi zielone światło - i Floyd wpłynął do środka kabiny z największym wdziękiem, na jaki było go stać. Mimo że rozmawiał z kapitan Orłową wiele razy, nigdy nie poznał jej osobiście. Spotkały go więc dwie niespodzianki.

Wideotelefon nie pozwalał na właściwą ocenę wzrostu osoby, z którą się rozmawiało.

Obiekt w kamery nadawał wszystkim podobne wymiary. Kapitan Orłowa stojąc -jeśli można stać przy braku ciężenia - sięgała Floydowi do ramion. Z obrazu na ekranie nie mógł się też domyślić siły, z jaką patrzyła na rozmówcę niebieskimi oczami, najbardziej zwracającymi uwagę w jej twarzy, którą obecnie trudno by uznać za piękną.

- Witaj, Taniu - powiedział. - Cieszę się, że wreszcie cię poznałem. Co się stało z twoimi włosami?

Uścisnęli sobie dłonie jak starzy przyjaciele.

38

- Dobrze, że jesteś z nami na statku, Heywoodzie - odpowiedziała. Jej angielski, w przeciwieństwie do języka, którym posługiwał się Brajlowski, był płynny, chociaż mówiła z silnym obcym akcentem.

- Tak, szkoda mi było je obcinać, ale z włosami jest tyle kłopotu w czasie długich misji; nie chciałam stwarzać problemów miejscowym fryzjerom. Przepraszam za twoją kabinę. Nie wiem, czy Maks wspomniał ci o tym, ale potrzebowaliśmy na magazyn dodatkowo dziesięć metrów sześciennych. Wasilij i ja będziemy zajęci przez następnych kilka godzin, możesz więc korzystać z naszej kabiny.

- Dziękuję. A co z Curnowem i Chandrą?

- Doszli już do porozumienia z innymi członkami załogi. Być może wygląda na to, że traktujemy was jak bagaż...

- Nie chciano w podróży.

- Słucham?

- To takie stare powiedzenie o bagażu, używane w czasach podróży oceanicznych. Tania uśmiechnęła się.

- Tak, rzeczywiście tak może to wyglądać. Ale będziecie nam potrzebni pod koniec drogi. Zamierzamy nawet wydać przyjęcie z okazji waszego przeistoczenia.

- To brzmi zbyt religijnie. Zmartwychwstania? Nie, to jeszcze gorzej! Mam: przyjęcie z okazji przebudzenia. Ale zdaje się, że zabieram ci za wiele czasu. Pozwolisz, że rozpakuję swoje rzeczy i wyruszę na wycieczkę po statku.

- Maks wskaże ci drogę. Zaprowadź doktora Floyda do Wasilija. Jest w sektorze napędowym.

Opuszczając kabinę kapitańską, Floyd pozytywnie ocenił wybór dowódcy statku. Już w opinii pisemnej Orłowa wypadła na nieprzeciętnie silną osobowość, ale w rzeczywistości była jeszcze bardziej onieśmielająca, pomimo całego jej uroku. „Ciekawe, jak wygląda — zastanawiał się Floyd - kiedy jest zła. Czy jest wybuchowa czy raczej lodowato zimna? Wolałbym tego nie sprawdzać”.

Floyd szybko nabierał wprawy w poruszaniu się w stanie nieważkości. Gdy znaleźli Wasilija Orłowa, zachowywał się już tak pewnie jak towarzyszący mu Maks. Główny specjalista do spraw naukowych powitał Floyda równie uprzejmie jak jego żona.

- Witamy na statku, Heywoodzie. Jak samopoczucie?

- W porządku. Tylko że umieram z głodu. Przez twarz Orłowa przemknął wyraz zdumienia, lecz zaraz uśmiechnął się szeroko.

39

- No tak, zapomniałem. Ale to już niedługo. Za dziesięć miesięcy najesz się do syta.

Osoby poddające się hibernacji pozostawały przedtem przez tydzień na niskokalorycznej diecie. Przez ostatnią dobę mogły przyjmować tylko płyny. Floyd rozważał w duchu, jak dalece jego dobre samopoczucie wiązało się z dietą, szampanem Cumowa i stanem nieważkości.

Udało mu się jednak zebrać myśli i wtedy dostrzegł wokół siebie mnóstwo kolorowych

przewodów.

- A więc to tak wygląda słynny napęd Sacharowa! Po raz pierwszy widzę go w dużej skali.
- To dopiero czwarty model.
- Mam nadzieję, że będzie działał.
- Dobrze by było. W innym przypadku Rada Miejska w Gorkim znowu będzie szukać nowej nazwy dla placu Sacharowa.

Czasy się zmieniły, Rosjanie mogli już żartować - chociaż nadal gorzkie to były żarty - ze sposobu, w jaki ich państwo odniosło się do wielkiego uczonego. Floyd zapamiętał wspaniałe wystąpienie Sacharowa na forum Akademii, w trakcie uroczystości nadania mu, z opóźnieniem, tytułu Bohatera Związku Radzieckiego. „Więzienia i zesłanie - powiedział wtedy - odgrywają doniosłą rolę w rozwoju sił twórczych. Ileż arcydzieł powstało w czterech ścianach celi, tam gdzie nie dociera zgiełk tego świata. Największe osiągnięcie umysłu ludzkiego, Principia, stworzył Newton przebywając na dobrowolnym wygnaniu z porażonego dżumą Londynu”.

To ostatnie porównanie nie było wyrazem braku skromności ze strony Sacharowa. Lata jego wygnania w mieście Górki dały światu nie tylko nowe spojrzenie na strukturę materii i początki wszechświata, lecz także rewolucyjne pomysły dotyczące sterowania plazmą, to zaś doprowadziło do praktycznego wykorzystania energii termojądrowej. Sam napęd, chociaż najpopularniejszy efekt pracy Sacharowa, był jedynie produktem ubocznym jego wysiłku intelektualnego. Niepojętą tragedią ludzkości był fakt, że niezwykle istotne postępy w nauce osiągnano w warunkach niesprawiedliwości. Być może kiedyś ludzie nauczą się rozsądniej gospodarować swoimi talentami.

Zanim Floyd pożegnał się z Wasilijem, usłyszał o napędzie Sacharowa więcej, niżby chciał czy potrafił zapamiętać. Poznał podstawową zasadę działania urządzenia - wykorzystanie pulsującej reakcji termojądrowej do ogrzania dowolnego rodzaju paliwa i zamiany go w siłę odrzutu. Najlepsze rezultaty dawało użycie czystego

40

wodoru, zajmował on jednak za dużo miejsca i trudno go było przechowywać. Dopuszczano więc możliwość stosowania metanu i amoniaku jako zamienników. Nawet woda mogła się stać paliwem dla statku, chociaż traciło się wtedy na wydajności urządzenia.

Napęd „Leonowa” był wynikiem kompromisu. Statek zaopatrzone w olbrzymie zbiorniki ciekłego wodoru, które po osiągnięciu prędkości pozwalającej dotrzeć do Jowisza miały zostać odrzucone. Amoniak był paliwem wykorzystywanym przy hamowaniu, manewrach końcowych i w czasie powrotu na Ziemię.

Tak przedstawiała się teoria, którą w nieskończoność sprawdzano i testowano na symulatorach komputerowych. Przykład „Discovery” jednak dowodził, że wszystkie ludzkie plany mogły zawieść w kontakcie z bezlitosną Naturą, Losem czy jakkolwiek by nazwać siłę rządzącą wszechświatem.

- A więc to pan jest doktorem Floydem - stwierdził autorytatywnie kobiecy głos, przerywając Wasilijowi entuzjastyczny opis ma-gnetohydrodynamicznego sprzężenia zwrotnego.
- Dlaczego nie zameldował się pan u mnie?

Floyd powoli obrócił się wokół własnej osi, pomagając sobie nieznacznym ruchem ręki. Zobaczył mocno zbudowaną matronę w dziwnym kombinezonie, z tuzinem kieszeni i kieszonek, co upodabniało ją do kozaka z przewieszonymi przez pierś taśmami do nabojów.

- Miło mi panią widzieć, pani doktor. Zwiedzam statek. Mam nadzieję, że otrzymała pani z Houston raporty medyczne o stanie mojego zdrowia.
 - Ci weterynarze z Teague! Nie dałabym im leczyć nawet ochwaconej kobyły!
- Floyd wiedział o szacunku, jakim darzyli się Katierina Rudenko i Centrum Medyczne im. Olina

Teague'a, nawet gdyby szeroki uśmiech nie zaprzeczał jej słowom. Dostrzegła w jego oczach zaciekawienie, gdy patrzył na nią, i z dumą wskazała kieszenie wokół obszernej talii.

- W stanie nieważkości normalna torba lekarska nie jest praktyczna - zbyt wiele rzeczy unosi się w powietrzu i nigdy nie można ich znaleźć, kiedy są potrzebne. Samą zaprojektowałam. W kieszeniach mego kombinezonu mieści się kompletne wyposażenie małego gabinetu lekarskiego. Mając to przy sobie, mogłabym usunąć wyrostek lub odebrać poród.

- Ten drugi zabieg chyba nie będzie tutaj konieczny.

- Ba! Dobry lekarz musi być przygotowany na każdą okoliczność.

41

Jaka niesamowita różnica - pomyślał Floyd - między kapitan Orłową a panią doktor lub używając pełnego tytułu: naczelnym lekarzem Rudenko. Pani kapitan odznaczała się wdziękiem i skupieniem primabaleriny, Rudenko natomiast mogłaby uchodzić za pierwowzór Matki Rusi - potężnie zbudowana, o płaskiej chłopskiej twarzy, którą dla pełnego obrazu wystarczyłoby uzupełnić chustką na głowie. Ale to jedynie pozory. Floyd miał przed sobą kobietę, która ocaliła życie dziesiątkom ludzi podczas katastrofy „Komarowa”, w wolnych chwilach zaś wydawała „Annały Medycyny Kosmicznej”. Podróż z nią to prawdziwe szczęście.

- No cóż, doktorze Floyd, później wystarczy panu czasu, by poznać nasz mały statek. Moi koledzy są zbyt uprzejmi, żeby to powiedzieć, ale mają teraz moc pracy, a pan im przeszkadza. Muszę uśpić całą waszą trójkę możliwie najszybciej, tak byśmy mieli mniej kłopotów na głowie.

- Obawiałem się tego, ale rozumiem pani punkt widzenia. Jestem do dyspozycji.

- Ja też, a więc chodźmy.

Pomieszczenie centrum medycznego było wystarczająco duże, by zmieścić się tam stół operacyjny, dwa treningowe rowery, szafki ze sprzętem lekarskim i aparat rentgenowski. W trakcie szybko, lecz dokładnie prowadzonego badania, doktor Rudenko nagle spytała:

- Cóż to za złoty cylinder nosi doktor Chandra na łańcuszku na szyi? To jakieś urządzenie komunikacyjne? Nie chciał tego zdjąć, prawdę mówiąc, wstydził się zdjąć cokolwiek.

Floyd nie mógł powstrzymać się od uśmiechu, wyobrażając sobie zakłopotanie skromnego Hindusa podczas zabiegów tej damy, u której trudno by doszukać się nieśmiałości.

- To lingam.

- Co?

- Jest pani lekarzem i powinna to rozpoznać. Lingam jest symbolem męskości.

- Oczywiście! Co za idiotka ze mnie. Czy on jest praktykującym hinduistą? Teraz już trochę za późno na przygotowanie dla niego diety bezmięsnej.

- Proszę się nie martwić, uprzedzilibyśmy was, gdyby to było konieczne. Chandra wprawdzie nie tyka alkoholu, ale cały jego fanatyzm skupia się na komputerach. Kiedyś mi opowiadał, że jego dzie-

42

dek był kapłanem w Benares i właśnie on dał mu ten lingam, który w jego rodzinie jest przekazywany z pokolenia na pokolenie.

Ku zaskoczeniu Floyda doktor Rudenko nie zareagowała w sposób, jakiego oczekiwał. Przeciwnie, na jej twarzy malowało się zrozumienie.

- Teraz wiem, co on czuje. Moja babka dała mi kiedyś piękną ikonę, szesnasty wiek. Również chciałam ją zabrać, ale waży pięć kilogramów.

Nagle doktor Rudenko zmieniła ton, zrobiła Floydowi bezbolesny zastrzyk, używając gazowej strzykawki, i kazała mu przyjść zaraz jak poczuje się śpiący, co miało nastąpić wedle jej słów za

niecałe dwie godziny.

- Przez ten czas proszę się zrelaksować - poleciła. - Na naszym poziomie znajduje się punkt obserwacyjny D6. Może zechce pan z niego skorzystać?

Był to dobry pomysł i Floyd odpłynął posłusznie, co wywołałoby zdziwienie wielu jego przyjaciół. Doktor Rudenko spojrzała na zegarek, podyktowała krótką notatkę automatycznej sekretarce i nastawiła sygnał alarmowy z trzydziestominutowym wyprzedzeniem.

W punkcie obserwacyjnym D6 Floyd odnalazł Chandrę i Curno-wa. Spojrzeli na niego nieprzytomnie, a potem odwrócili głowy ku wspaniałemu widokowi na zewnątrz. Chandra -jak zauważył Floyd -nie mógł nic zobaczyć, ponieważ miał już zamknięte oczy.

Na zewnątrz widniała jakaś zupełnie obca planeta, która olśniewała oczy bielą i błękitem. Cóż to jest? - pytał sam siebie Floyd. -Co się stało z Ziemią? No tak, nic dziwnego, że nie mogłem jej rozpoznać! Ziemia była zawieszona niejako do góry nogami. Cóż za okropna katastrofa! Zapłakał nad losem tych wszystkich biednych ludzi, ulatujących teraz w przestrzeń...

Prawie nie zauważył, kiedy dwaj członkowie załogi zabrali nie stawiającego oporu Chandrę. Gdy przyszli po Cumowa, Floyd miał zamknięte oczy, ale jeszcze oddychał. Przyszli po niego, kiedy ustał oddech.

Część druga

"TSIEN"

Rozdział szósty

Przebudzenie

A mówili, że nie będziemy śnić" - pomyślał Heywood Floyd, bardziej zaskoczony niż poirytowany. Otaczająca go różowa poświata działała kojąco, przypominała mu ogień i polana trzaskająca na kominku w święta Bożego Narodzenia. Ogień jednak nie ogrzewał. Czuł wyraźny, lecz nie dojmujący chłód.

Wokół słyszał głosy, ale nie pojmował słów. Głosy stawały się wyraźniejsze, wciąż jednak nic nie mógł zrozumieć.

- No tak! - stwierdził zaskoczony. - Przecież nie mogę śnić po rosyjsku!

- Nie, Heywoodzie - odpowiedział kobiecy głos. - Nie śniesz. Czas wstawać z łóżka.

Wspaniała poświata zanikła. Otworzył oczy i dostrzegł rozmazane kontury latarki, którą ktoś usuwał sprzed jego twarzy. Spoczywał na leżance, przytrzymywany elastycznymi pasami. Wokół niego stało kilka postaci, brak ostrości widzenia jednak powodował, że nie mógł ich rozpoznać.

Delikatne palce zamknęły mu powieki i poczęły masować czoło.

- Nie przemęczaj się. Oddychaj głęboko... Jeszcze raz... Dobrze. .. A teraz jak się czujesz?

- Nie wiem... Dziwnie... Lekko... I jestem głodny.

- To dobry znak. Czy wiesz, gdzie jesteś? Możesz już otworzyć oczy.

Teraz rozpoznał stojące obok postacie: doktor Rudenko i kapitan Orłową. Ale z Tanią się coś stało od ich spotkania przed godziną. Gdy zrozumiał, co zaszło, przeżył niemal fizyczny szok.

- Zapuściłaś włosy!

47

- Mam nadzieję, że wyglądam lepiej. Czego nie można powiedzieć o tobie, z tą brodą...

Floyd podniósł rękę do twarzy. Związany z tym wysiłek zmuszał do świadomego planowania każdego etapu ruchu. Brodę pokrywał mu krótki zarost, dwu- lub trzydniowy. Podczas hibernacji włosy rosną sto razy wolniej niż normalnie...

- Udało się — powiedział. - Dolecieliśmy do Jowisza. Tania spojrzała na niego poważnie i przeniosła wzrok na lekarkę, która kiwnęła przyzwalająco głową.

- Nie, Heywoodzie - powiedziała. - Mamy przed sobą jeszcze miesiąc podróży. Nie denerwuj się, ze statkiem wszystko w porządku, działamy zgodnie z planem. Ale twoi przyjaciele w Waszyngtonie prosili, aby obudzić cię miesiąc przed terminem. Dzieje się coś nieoczekiwanego. Zorganizowano nam wyścig do „Discovery” i boję się, że przegramy.

Rozdział siódmy

"Tsien"

Ody z głośników rozległ się głos Heywooda Floyda, dwa delfiny przerwały nagle okrążanie basenu i podpłynęły do jego krawędzi. Wysunawszy głowy ponad wodę, wpatrzyły się w źródło dźwięku.

„Rozpoznaj ą Heywooda” -pomyślała Caroline z gorzką satysfakcją. Christopher, raczkujący w swoim kojcu, nie przerwał zabawy kolorowymi pokrętłami książeczki obrazkowej, gdy z odległości pół miliarda kilometrów dobiegł wyraźny głos jego ojca.

- .. .Moja droga, zapewne nie zdziwisz się słysząc mnie miesiąc przed terminem, wiesz już pewnie od tygodni, że mamy tutaj towarzystwo.

Ciągle nie mogę w to uwierzyć i pod pewnymi względami zupełnie to nie ma sensu: oni przecież nie mogą mieć wystarczającej ilości paliwa, żeby bezpiecznie wrócić na Ziemię. Nie wiem nawet, w jaki sposób mają zamiar znaleźć „Discovery”.

Oczywiście nie widzieliśmy ich. Zbliżyli się do nas na odległość pięćdziesięciu milionów kilometrów. Mieli mnóstwo czasu, by odpowiedzieć na nasze sygnały, ale zignorowali nas kompletnie. Teraz brak im czasu na przyjacielską rozmowę. Za kilka godzin zderzą się z atmosferą Jowisza i wtedy zobaczymy, jak działają ich systemy aerohamujące. Dla naszego morale byłoby lepiej, gdyby im się udało. A jeśli nie... cóż, nie myślmym o tym.

Rosjanie znoszą niespodziankę całkiem nieźle, biorąc pod uwagę okoliczności. Oczywiście są niezadowoleni i rozczarowani, ale słyszałem też wyrazy szczerego podziwu. To był rzeczywiście wspania-

4 - 2010 Odyseja kosmiczna

49

ły fortel: budowali statek na oczach wszystkich i wszyscy myśleli, że to stacja kosmiczna, dopóki nie zostały włączone silniki.

No cóż, nic nie możemy poradzić. Pozostało nam jedynie patrzeć, a z takiej odległości nie zobaczymy więcej niż wy przez najlepsze teleskopy. Życzę im szczęścia, chociaż wolałbym, żeby zostawili „Discovery” w spokoju. To jest nasza własność i założę się, że Departament Stanu przypomina im to bezustannie.

Stało się, co się stało, ale gdyby nasi chińscy przyjaciele nie odpalili, jeszcze przez miesiąc nie mógłbym rozmawiać z tobą. A teraz będę to robił co kilka dni.

Po pierwszym szoku zaczynam oswajać się z sytuacją, poznaję statek i załogę, uczę się żyć w kosmosie. Doksztalcam się także w rosyjskim, chociaż prawdę mówiąc, rzadko go używam; wszyscy tu nalegają, by mówić po angielsku. My, Amerykanie, jesteśmy okropni, jeśli chodzi o naukę języków. Czasami wstyd mi naszego szowinizmu i lenistwa.

Jakość angielskiego wśród załogi waha się od absolutnego per-fekcjonizmu naczelnego inżyniera Saszy Kowalewa, który mógłby zarabiać na życie jako spiker BBC, do odmiany typu „jeśli mówisz szybko, to nieważne, ile błędów popełniasz”. Jedyną osobą, która nie mówi płynnie po angielsku, jest Żenią Marczenko, która w ostatniej chwili zastąpiła Irinę Jakuninę. Cieszę się, że Irina dochodzi do siebie; przeżyła na pewno przykry zawód. Ale chyba nie przeszła jej ochota na uprawianie lotniarstwa.

Mówiąc o wypadkach: Żenią również ma za sobą dość poważne przejścia. Chirurdzy plastyczni

dokonali w jej przypadku cudów, ale i tak widać, że doznała kiedyś bardzo silnych oparzeń. Jest maskotką załogi i wszyscy ją traktują - chciałem powiedzieć: ze współczuciem, ale to brzmi zbyt protekcyjnie. Powiedzmy, że jest traktowana ze szczególną uprzejmością.

Pewnie zastanawiasz się, jak sobie radzę z kapitanem Tanią. No cóż, bardzo ją lubię, ale nie lubię jej denerwować. Nie ma cienia wątpliwości, kto tutaj dowodzi.

Naczelnny lekarz — Rudenko. Poznałaś ją dwa lata temu na Konwencji Kosmicznej w Honolulu i na pewno pamiętasz przyjęcie pożegnalne. Zrozumiesz więc, dlaczego nazywamy ją Katarzyną Wielką- za jej szerokimi plecami oczywiście.

Ale dość plotek. Jeśli przekroczyć czas transmisji, wolę nie myśleć o rachunku. I przy okazji, te rozmowy są podobno całkowicie prywatne, ale nie zdziw się, gdy otrzymasz wiadomość ode mnie przez -nazwijmy to - inny kanał komunikacyjny.

50

Będę czekał na wiadomości od ciebie. Przekaż dziewczynkom, że porozmawiam z nimi kiedy indziej. Kocham was wszystkich i bardzo tęsknię za tobą i Chrisem. I obiecuję, że kiedy już wrócę, nie rozstanę się z wami nigdy.

Po krótkiej, pełnej trzasków przerwie głos z syntetyzatora oznajmił:

- Koniec transmisji czterysta trzydziestej drugiej kreska siedem ze statku kosmicznego „Leonów”.

Gdy Caroline Floyd wyłączyła głośniki, obydwie delfiny zanurzyły się i odpłynęły w stronę Pacyfiku, zostawiając po sobie tylko lekkie zmarszczki na wodzie.

Christopher rozplakał się, gdy stwierdził, że jego przyjaciele odpłynęli. Matka wzięła go na rękę i próbowała uspokoić, ale minęło wiele czasu, zanim jej się to udało.

Rozdział ósmy

Przejście obok Jowisza

Brzą Jowisza, ze smugami białych chmur, poskręcanyimi pasmami rózu i Wielką Czerwoną Plamą, która wyglądała jak przesłonięte bielmem oko, znajdował się na ekranie projekcyjnym pokładu pasażerskiego. Planeta widoczna była w trzech czwartych swojej normalnej wielkości, jednakże oczy wszystkich były wpatrzone w ciemny fragment na jej skraju. Tam, ponad nocną stroną planety, chiński statek przechodził swój moment prawdy.

„To absurd — pomyślał Floyd - nie można dostrzec statku kosmicznego z odległości czterdziestu milionów kilometrów. To wszystko nie ma sensu, radio i tak przekaże nam wszystko, co chcemy wiedzieć”.

„Tsien” zaprzestał wszelkich transmisji przed dwiema godzinami, kryjąc swoje anteny dalekiego zasięgu za osłoną termiczną. Sygnały nadawała tylko radiolatarnia, dzięki której można było ustalić do-kładnąpozycję statku zbliżającego się do oceanu jowiszowych chmur. Przenikliwe piii... piii... piii... było jedynym dźwiękiem w sterowni „Leonowa”. Każdy ze słyszalnych impulsów opuścił Jowisza dwie minuty wcześniej. Po ich upływie źródło sygnałów mogło się stać tylko chmurą świecącego gazu, zanikającą w atmosferze planety.

Sygnal był słabszy, nakładały się na niego trzaski, zmieniała się również tonacja samego piii. Kilka sygnałów nie dotarło do „Leonowa”, po czym cała sekwencja powróciła. Wokół „Tsiena” narastała plazmowa tarcza, która niebawem odetnie wszystkie połączenia ze statkiem do momentu jego wyjścia z atmosfery Jowisza. Jeśli to wyjście nastąpi...

52

- Posmotri - krzyknął Maks -jest tam!

Z początku Floyd nie mógł niczego dostrzec. Później, tuż nad krawędzią świetlistego dysku, zauważył małą gwiazdę jaśniejącą tam, gdzie nie powinno być żadnych gwiazd — na tle ciemnej strony Jowisza.

Wydawało się, że jest nieruchoma, chociaż Floyd wiedział, że „Tsien” porusza się z prędkością stu kilometrów na sekundę. Wkrótce gwiazda stała się jaśniejsza, z bezwymiarowego punktu zamieniła się w wydłużony kształt. Kometa wykonana ludzką ręką płynęła przez nocne niebo Jowisza, ciągnąc za sobą rozżarzony ogon długości tysięcy kilometrów.

Radiolatarnia nadała ostatni przerywany i jakby stłumiony sygnał, a potem było słychać już tylko szum promieniowania Jowisza, jeden z wielu bezmyślnych kosmicznych głosów nie mających nic wspólnego z człowiekiem i jego wytworami.

„Tsien” był niesłyszalny, jednakże mogli go widzieć. Mała, wydłużona iskierka sunęła z dziennej strony planety ku jej nocnej części. Tam -jeśli wszystko pójdzie zgodnie z przewidywaniami - Jowisz pochwyti statek, zmniejszając zarazem jego nadmierną prędkość. Gdy „Tsien” wyłoni się spoza olbrzymiej planety, stanie się jednym z jej satelitów.

Iskierka zniknęła. „Tsien” okrążył krzywiznę Jowisza i znalazł się po jego nocnej stronie. Do momentu wyjścia z cienia statek będzie całkowicie niewidoczny i niesłyszalny. Miało to trwać około godziny. Dla Chińczyków będzie to bardzo długa godzina.

Dla naczelnego naukowca wyprawy Wasilija Orłowa i inżyniera łączności Saszy Kowalewa godzina ta minęła niezwykle szybko. Obserwacje małej gwiazdy dostarczyły im wielu cennych informacji. Pomiar czasu pojawienia się i zniknięcia, zwłaszcza zaś przesunięcie Dopplera

sygnałów radiolatarni, stanowiły istotny materiał do ustalenia nowej orbity statku „Tsien”. Komputery „Leonowa” wchłaniały tysiące nowych danych i ustalały prawdopodobny czas ponownego pojawienia się chińskiego statku na podstawie różnych założeń dotyczących stopnia hamowania i wpływu atmosfery Jowisza.

Wasilij wyłączył ekran komputera, odwrócił się na krześle i odpinając pasy spojrzął na cierpliwie oczekującą załogę.

- Najwcześniej „Tsien” pojawi się znowu za czterdzieści dwie minuty — powiedział. - Może szanowna publiczność zechciałaby udać się na spacer, a my trochę to wszystko uporządkujemy. Do zobaczenia za trzydzieści pięć minut. Szu! Nu, uchodzi!

53

Niechętnie opuszczali sterownię i ku rozpaczy Wasilija znów tam byli za pół godziny. Wciąż jeszcze wypominał im brak wiary w jego obliczenia, gdy z głośników rozbrzmiało znajome piii... piii... piii... radiolatarni „Tsiena”.

Na twarzy Wasilija odmalowało się zaskoczenie i ulga. Wszyscy wydali okrzyk radości. Rozległy się oklaski. Chociaż byli potencjalnymi rywalami Chińczyków, łączył ich wspólny los astronautów, „ambasadorów ludzkości” - wedle szumnych określeń Traktatu Kosmicznego Narodów Zjednoczonych - przemierzających obszary ledwo tknięte stopą człowieka. Nawet jeśli nie życzyli powodzenia Chińczykom, nie chcieli, aby stało im się coś złego.

„Z tym wszystkim wiąże się jeszcze troska o własne interesy” - pomyślał Floyd. Szansę powodzenia wyprawy „Leonowa” znacznie się zwiększały. „Tsien” udowodnił, że manewr aerohamowania był możliwy. Dane o Jowiszu okazały się prawdziwe: atmosfera planety nie kryła żadnych niespodzianek.

- No cóż - odezwała się Tania - chyba powinniśmy wysłać im telegram z gratulacjami. Ale nie sądzę, żeby potwierdzili odbiór.

Niektórzy członkowie załogi zaśmiewali się z Wasilija, który z niedowierzaniem spoglądał na obliczenia komputerowe.

- Nic nie rozumiem - wykrzyknął wreszcie. - Według obliczeń, jeszcze powinni być za Jowiszem. Sasza, daj mi odczyt sygnałów radiolatarni.

Po kolejnej cichej rozmowie z komputerem Wasilij wydał przeciągły gwizd.

- Coś się nie zgadza! Rzeczywiście są na orbicie Jowisza, ale w ten sposób nie doleczą do „Discovery”. Orbita, na której się znajdują, wyniesie ich poza Io. Za pięć minut będę miał dokładniejsze dane.

- W każdym razie są bezpieczni - powiedziała Tania. - Później będą mieli dość czasu na korekty.

- Być może. Ale strącana to wiele dni, zakładając, że mają paliwo - w co wątpię.

- Możemy więc być pierwsi?

- Nie byłbym takim optymistą. Przed nami jeszcze trzy tygodnie lotu w stronę Jowisza. W tym czasie mogą zmienić orbitę kilkanaście razy. Co oznacza również, że mogą dolecieć do „Discovery”.

- Znów zakładając, że wystarczy im paliwa.

- Oczywiście. Ale to możemy jedynie zgadywać. Cała ta rozmowa przebiegała w takim podnieceniu i tak szybko po rosyjsku, że Floyd rozumiał z niej ledwie połowę. Kiedy wreszcie

54

Tania zlitowała się nad nim i wyjaśniła, że „Tsien” przestrzelił i zmierzał ku zewnętrznym satelitom, jego reakcją był niepokój:

- Może mają poważne kłopoty? Co zrobimy, jeśli poproszą o pomoc?

- Chyba żartujesz. Wyobrażasz sobie Chińczyków zwracających się o pomoc? Są na to zbyt dumni. Poza tym byłoby to niemożliwe. Nie możemy zmienić profilu misji, o czym doskonale wiesz. Nawet gdybyśmy mieli dosyć paliwa...

- Masz oczywiście rację, ale niełatwo moglibyśmy o tym przekonać dziewięćdziesiąt dziewięć procent ogółu ludzi, nie znających się przecież na prawach mechaniki orbitalnej. Trzeba też rozważyć wszystkie implikacje polityczne. Nasz wspólny obraz zmieniłby się niekorzystnie... Wasilij, czy mógłbyś mi przekazać ich ostateczną orbitę, zaraz gdy będzie znana? Idę do siebie odrobić pracę domową.

Kabina Floyda nadal była pełna pudeł, piętrzących się na kojach Chandry i Cumowa wciąż pogrążonych w stanie hibernacji. Udało mu się uprzątnąć ką, gdzie ulokował swoje rzeczy osobiste. Obiecano mu też kolejne dwa metry kwadratowe, gdy ktoś będzie na tyle wolny, by mu pomóc w przemeblowaniu.

Floyd otworzył podręczną konsolę komunikacyjną, przełączył klucz deszyfratora i wywołał informacje o statku „Tsien”, które otrzymał z Waszyngtonu. Zastanawiał się, czyjego gospodarze odkodowali szyfr, który opierał się na dwustucyfrowych liczbach pierwszych i -według zapewnień Narodowej Agencji Bezpieczeństwa — był nie do złamania nawet dla najlepszych komputerów, przynajmniej nie przed Wielkim Wybuchem, kończącym życie wszechświata. Nie wiedział, niestety, jak sprawdzić to zapewnienie.

Raz jeszcze obejrzał doskonale fotografie chińskiego statku, zrobione tuż przed opuszczeniem ziemskiej orbity, potem gdy prawda o jego przeznaczeniu wyszła na jaw. Miał także późniejsze zdjęcia -nieco gorszej jakości ze względu na odległość, jaka dzieliła statek od fotografujących go kamer- z pierwszego etapu podróży w stronę Jowisza. Te fotografie interesowały go najbardziej, podobnie jak przekroje statku i szacunkowe parametry techniczne.

Przy najodważniejszych założeniach trudno sobie było wyobrazić, co zamierzają Chińczycy. Szaleńcza podróż przez Układ Słoneczny musiała wyczerpać przynajmniej dziewięćdziesiąt procent ich zapasów paliwa. Jeśli nie miała to być wyprawa samobójcza — a tego nie można wykluczyć - w grę wchodził jedynie plan zakładający hibernację i późniejszą misję ratunkową. Wywiad nie wierzył, że Chiń-

55

czycy opanowali technikę hibernacji w stopniu, który by usprawiedliwiał realność takiego planu.

Ale wywiad często się mylił i błędził po omacku wśród lawiny faktów, z którymi miał do czynienia - nazywali to „szumem informacyjnym”. Wykonali jednak wspaniałą robotę, jeśli chodzi o „Tsie-na” -zwłaszcza w tak krótkim czasie, jakim dysponowali. Floyd miał niemało kłopotów z selekcją danych, które mu dostarczono. Niektóre były nic niewarte, nie miały żadnego związku z misją.

Jednakże gdy nie wie się, czego szukać, należy wyzbyć się uprzedzeń i założeń wstępnych. Coś, co na pierwszy rzut oka mogło wydawać się nieważne, przy bliższym badaniu okazywało się istotną wskazówką. Z westchnieniem Floyd zaczął ponownie przeglądać pięćset stron informacji zawartych w diagramach, tablicach, fotografiach - tak zamazanych niekiedy, że mogły przedstawiać dosłownie wszystko — wiadomościach agencyjnych, listach delegatów na konferencje naukowe, tytułach publikacji technicznych, a nawet w dokumentacji handlowej. Wszystko to powoli przesuwało się na wysoko rozdzielczym ekranie komputera. Bardzo efektywna chińska siatka wywiadu gospodarczego musiała przeżyć ciężki okres. Kto by przypuszczał, że tyle modułów japońskiej holopamięci, szwajcarskich mikroprocesorów kontroli gazowej i niemieckich detektorów promieniowania

znajdzie się na Jowiszu, mając za pierwszy przystanek wyschnięte jezioro Lop Nor!

Niektóre wyroby musiały się znaleźć na chińskiej liście zamówień chyba przez pomyłkę, nie miały bowiem żadnego związku z misją. Nie wiadomo po co zakupiono za pośrednictwem podstawionej korporacji w Singapurze tysiąc czujników podczerwieni, mających zastosowanie tylko w wojsku. Wydawało się nieprawdopodobne, by „Tsien” spodziewał się ataku rakiet sterowanych termicznie. Kolejne zamówienie było naprawdę śmieszne: specjalistyczny sprzęt pomiarowo-geodezyjny z Glacier Geophysics Inc. w Anchorage na Alasce. Co za idiota mógł przypuszczać, że ekspedycja kosmiczna dalekiego zasięgu potrzebuje...

Uśmiech zamarł na twarzy Floyda. Poczł, że cierpnie mu kark. Mój Boże, nie ośmielą się! Co prawda ryzykowali już tak wiele... Wreszcie wszystko nabrało sensu.

Cofnął się do fotografii i domniemanych planów chińskiego statku. Tak, to było możliwe: te wyłobienia z tyłu, wzdłuż elektrod regulacji napędu, mają odpowiednie rozmiary...

Floyd połączył się z mostkiem.

56

- Wasilij, czy masz już ich orbitę? - zapytał.

- Tak - odpowiedział nawigator dziwnie stłumionym głosem. Floyd zrozumiał, że stało się coś nieoczekiwanego, i strzelił w ciemno:

- Lecą na Europę, tak?

Z drugiej strony dobiegł go wybuch niedowierzania.

- Czort pobieri! Jak na to wpadłeś?

- Zgadłem.

- Nie może być żadnej pomyłki. Sprawdziłem liczby do sześciu miejsc po przecinku. Manewr hamowania przebiegał tak, jak tego chcieli. Lecą teraz w kierunku Europy, i to nie przypadkiem. Będą tam za siedemnaście godzin.

- Wejdą na orbitę?

- Być może. To nie będzie ich kosztować dużo paliwa. Ale co chcą osiągnąć?

- Zaryzykuję kolejną odpowiedź. Przeprowadzą szybkie pomiary i wylądują.

- Oszalałeś albo wiesz coś, czego my nie wiemy.

- Nie, to sprawa prostej dedukcji. Stukniesz się w głowę, jak ci powiem.

- W porządku, Sherlock. Po co ktokolwiek miałby lądować na Europie? Co tam jest, na miłość boską?

Floyd cieszył się swoim małym zwycięstwem. Oczywiście, mógł się mylić.

- Co jest na Europie? Nic, poza najcenniejszą substancją we wszechświecie.

Przedobrzył. Wasilij nie był głupcem i sam udzielił sobie odpowiedzi.

- Woda! No tak!

- Dokładnie. Miliardy miliardów ton wody. Wystarczy, aby napełnić zbiorniki, oblecieć dookoła wszystkie satelity i w odpowiednim czasie dotrzeć do „Discovery”. A potem grzecznie wrócić do domu. Przykro mi to mówić, Wasilij, ale nasi chińscy przyjaciele kolejny raz wystawili nas do wiatru.

- Zakładając oczywiście, że im się uda.

Rozdział dziewiąty

Lód Wielkiego Kanału

Gdyby nie czarne jak smoła niebo, fotografia mogłaby przedstawiać którykolwiek arktyczny rejon Ziemi. Morze pofałdowanego lodu, ciągnące się po horyzont, wyglądało prawie znajomo. Jedyne pięć ubranych w skafandry kosmiczne postaci na pierwszym planie było świadectwem, że zdjęcie pochodziło z obcej planety.

Nawet teraz Chińczycy nie podali nazwisk członków załogi. Wśród anonimowych intruzów na zamrożonej powierzchni Europy znalazł się naczelny naukowiec, nawigator i pierwszy inżynier wraz ze swym zastępcą. „Cóż za ironia - pomyślał Floyd - że do ludzi na Ziemi ta fotografia dotarła godzinę wcześniej niż do załogi «Leonowa», znajdującego się nie opodal chińskiego statku". Jednakże transmisje z „Tsieną" przekazywano w tak wąskim paśmie, iż przechwycenie ich nie wchodziło w rachubę. „Leonów" odbierał jedynie sygnały ra-diolatarni Chińczyków, nadającej bez przerwy we wszystkich kierunkach. Ale nawet ona milczała, gdy Europa zwrócona była do rosyjskiego statku drugą stroną lub gdy przesłaniał ją olbrzymi Jowisz. Wszystkie informacje na temat misji Chińczyków przekazywano im z Ziemi.

Po wstępnych pomiarach „Tsien" wylądował na jednej z wielu wysp twardego lodu wznoszących się ponad lodową pokrywę księżyca. W większości Europa była płaska, nie miała atmosfery, żłobiącej powierzchnię lodu, ani syckiego śniegu, z którego powstają zaspas. Zamiast śniegu spadały tu meteoryty. Jedyne siły, które oddziaływały na rzeźbę terenu, były siły przyciągania spłaszczające lód oraz bezustanne trzęsienia ziemi wywoływane przez inne satelity

58

Jowisza, mijające Europę po swych orbitach. Jowisz, pomimo swojej masy, nie oddziaływał na nią aż tak gwałtownie. Jego wpływ ustał przed miliardami lat, gdy Europa wpadła w uścisk jowiszowego przyciągania.

O wszystkim tym wiedziano już od czasów przelotu „Yoyagerów" w latach siedemdziesiątych XX wieku, pomiarów „Galileo" z lat osiemdziesiątych i lądowań „Keplera" w latach dziewięćdziesiątych. Jednakże Chińczycy przez kilka godzin dowiedzieli się o Europie więcej niż łącznie wszystkie poprzednie misje. Niestety, zatrzymywali to dla siebie, co rzecz jasna było godnym pożałowania postępowaniem, nikt jednak nie mógł im odmówić tego prawa.

Odmawiano im natomiast, i to coraz głośniejsz, prawa do zaanektowania satelity Jowisza. Po raz pierwszy w historii jeden naród zamierzał przywłaszczyć sobie pozaziemskie terytorium i środki przekazu na Ziemi aż huczały od kwestionowania prawomocności takiego aktu. Chińczycy stali na stanowisku, że ponieważ nigdy nie podpisali Traktatu Kosmicznego Narodów Zjednoczonych z roku 2002, nie obowiązują ich też jego postanowienia - co oczywiście nie uspokajało gniewnych protestów.

Nagle Europa stała się obiektem powszechnego zainteresowania w całym Układzie Słonecznym. Nic dziwnego, że środki przekazu zwróciły się o pomoc do specjalnych wysłanników obecnych wprawdzie nie na miejscu samych wydarzeń, ale w każdym razie w odległości „tylko" kilku milionów kilometrów.

- Mówi Heywood Floyd z pokładu „Kosmonauty Aleksieja Le-onowa", zmierzającego w kierunku Jowisza. Obecnie wszystkie nasze myśli skupiają się wokół Europy. Patrzą na nią przez najsilniejszy teleskop, jakim dysponuje nasz statek. Przy takim powiększeniu Europa jest

dziesięciokrotnie większa niż Księżyc oglądany gołym okiem z Ziemi. A widok rzeczywiście jest niesamowity.

Powierzchnia tego księżycy Jowisza ma kolor różowy, z kilkoma brązowymi plamami. Pokryta jest skomplikowaną siecią linii, rozbiegających się we wszystkich kierunkach. Przypomina to zdjęcie z książki medycznej, ukazujące żyły i arterie.

Niektóre z tych linii ciągną się setkami, może nawet tysiącami kilometrów. Przywodzi to na myśl iluzoryczne kanały, które Percival Lowell i inni astronomowie z początków dwudziestego wieku widzieli na Marsie.

59

Kanały Europy nie są jednak iluzją, choć oczywiście powstały w sposób naturalny. Co więcej, zawierają wodę, wprawdzie pod postacią lodu. Niemal cały ten księżyc pokrywa ocean, którego głębokość wynosi przeciętnie pięćdziesiąt kilometrów.

Europa znajduje się bardzo daleko od Słońca, toteż temperatura na jej powierzchni waha się w granicach stu pięćdziesięciu stopni poniżej zera. Można by się więc spodziewać, że cały tamtejszy ocean to jedna bryła lodu.

W rzeczywistości jest inaczej, ponieważ wewnętrzne pływy Europy wytwarzają znaczne ilości ciepła. Są to te same siły, które wywołują erupcje wulkaniczne na pobliskim księżycu Io.

Lód na powierzchni Europy bez przerwy topi się, łamie i ponownie zamraża, tworząc szczeliny i szpary podobne do tych, które spotykamy w ziemskich regionach polarnych. To właśnie tę skomplikowaną siatkę szczelin widzimy przez teleskop. Większość z nich jest ciemna i prawdopodobnie bardzo stara, być może liczy sobie miliony lat. Niektóre jednak są śnieżnobiałe - to nowe szczeliny, powstałe całkiem niedawno. Lód na nich ma zaledwie kilka centymetrów grubości.

„Tsien” wylądował tuż obok jednej z białych szczelin o długości tysiąca pięciuset kilometrów, którą nazwano Wielkim Kanałem. Chińczycy prawdopodobnie zamierzają przepompować wodę stamtąd do swoich zbiorników paliwa, dzięki czemu będą mogli zbadać system satelitów Jowisza i powrócić na Ziemię. Zadanie, jakiego się podjęli, z pewnością nie jest łatwe, lecz można sądzić, że wiedzą, co robią. Dokonali także dokładnych pomiarów miejsca lądowania.

Obecnie wiemy już, dlaczego podjęli takie ryzyko i dlaczego roszczą sobie prawa do Europy. Mają zamiar przekształcić ją w stację paliwową, która może się stać kluczem do przestrzeni zewnętrznych, poza Układem Słonecznym. Co prawda na innym satelicie, Ganime-desie, też występuje woda, jednakże całkowicie zamrożona i trudniej dostępna z powodu silnej grawitacji tego satelity.

Przyszło mi do głowy jeszcze inne wyjaśnienie. Nawet gdyby Chińczycy nie zdołali opuścić Europy, załoga statku może przetrwać w oczekiwaniu na misję ratunkową. Mają wystarczającą ilość energii i minerałów, a jak wiemy, Chińczycy są mistrzami w produkcji syntetycznej żywności. Ich życie na księżycu Europa z pewnością nie należałoby do łatwych, ale znam kilka osób, które z ochotą przystąpiłyby na taką egzystencję, choćby ze względu na wspaniały widok Jowisza na europejskim niebie; widok, który za kilka dni sami będziemy podziwiać.

60

W imieniu kolegów i własnym żegna się z państwem Heywood Floyd z pokładu „Aleksieja Leonowa”.

- Mówi mostek. Dobra robota, Heywood. Powinieneś zostać dziennikarzem.
- No cóż, ma się tę praktykę... Połowę czasu w mojej poprzedniej pracy spędzałem w D.R.
- D.R.?
- Działe Reklamy, to znaczy tłumaczeniu politykom, dlaczego powinni dać nam więcej

pieniędzy. Wy chyba nie musicie się o to martwić.

- Chciałbym, żebyś miał rację. W każdym razie przyjdź do sterowni. Mamy nowe wiadomości, które powinniśmy przedyskutować.

Floyd odpiął mikroport, zamknął teleskop i wysunął się z punktu obserwacyjnego. Wychodząc zderzył się niemal z Nikołajem Tier-nowskim, który zmierzał również na mostek.

- Chciałbym ukraść ci parę cytatów dla Radia Moskwa, Woody. Nie masz nic przeciwko temu?

- Oczywiście, że nie, towarzyszc. Jakżebym mógł ci przeszkodzić.

Na mostku zamyślona kapitan Orłowa wpatrywała się w kolumny cyfr i słów na głównym ekranie. Floyd z wysiłkiem zaczął wgłębiać się w rosyjskie litery, kiedy mu nagle przerwano.

- Nie martw się o szczegóły. Są to dane szacunkowe czasu, jakiego potrzebuje „Tsien”, aby napełnić zbiorniki i przygotować się do startu.

- Moi ludzie robią takie same obliczenia, ale za dużo w nich zmiennych.

- Pozbyliśmy się jednej. Czy wiesz, że najlepszymi pompami wodnymi, jakie można znaleźć na rynku, dysponuje straż pożarna? Zdziwisz się, kiedy ci powiem, że oddział straży pożarnej w Pekinie musiał pozbyć się nagle czterech najnowszych modeli, i to wbrew protestom burmistrza.

- Jestem pełen podziwu. Mów dalej, proszę.

- Może to zbieg okoliczności, ale te pompy mają odpowiednie wymiary. Biorąc pod uwagę czas potrzebny na rozwinięcie węży, przewiercenie lodu i tak dalej - no cóż, sądzę, że wystartują za pięć dni.

- Zapięć dni!

- Jeśli będą mieli szczęście i wszystko przebiegnie według planu. I jeśli nie będą tankować do pełna, a tylko tyle, by dolecieć do „Disco-

61

very” przed nami. Nawet jeśli znajdą się przy „Discovery” godzinę wcześniej niż my, w zupełności im to wystarczy. Mogą ogłosić, że znaleźli się w sytuacji przymusowej, co uspokoi opinię publiczną.

- Prawnicy z Departamentu Stanu zaprotestują. W odpowiednim momencie ogłosimy, że „Discovery” nie jest porzuconym statkiem, że czeka na orbicie parkingowej, byśmy go przejęli. Każda próba zawładnięcia statkiem będzie poczytana za piractwo.

- Nie mam złudzeń, że Chińczycy wezmą to sobie do serca.

- Jeśli nie, to nie mam pojęcia, co możemy zrobić.

- Jest nas więcej. Dwóch na jednego, jeśli obudzimy Chandrę i Cumowa.

- Mówisz poważnie? Gdzie w takim razie są kordy do abordażu?

- Kordy?

- Taka broń sieczna, o zakrzywionej klindze.

- Ach, tak! Możemy użyć telespektrometrów laserowych, które trafiają w miligramowe asteroidy z odległości tysiąca kilometrów.

- Nie jestem pewien, czy podoba mi się ta rozmowa. Mój rząd nie będzie popierał przemocy, chyba że w przypadku samoobrony.

- Naiwni Amerykanie! Ale my jesteśmy realistami, musimy być. Wszyscy wasi dziadkowie umierali ze starości, Heywoodzie. Trójka moich zginęła podczas drugiej wojny światowej.

Gdy byli sami, Tania zawsze mówiła na niego Woody. Albo więc rzeczywiście sprawy teraz wyglądały poważnie, albo Rosjanie sprawdzali jego reakcję.

- W każdym razie „Discovery” to zaledwie kilka miliardów dolarów złomu. Statek nie jest ważny. Liczą się tylko znajdujące się tam informacje.

- Właśnie. Informacje, które można skopiować i wymazać.

- Ostatnio, Taniu, przychodzą ci do głowy same wesołe pomysły. Czasami odnoszę wrażenie, że wszyscy Rosjanie to paranoicy.

- Dzięki Napoleonowi i Hitlerowi. Ale nie opowiadaj mi, że nie opracowałeś już własnego -jak to się mówi...? — scenariusza wydarzeń.

- Nie było to konieczne - odpowiedział poważnie Floyd. - Zrobił to za mnie Departament Stanu, na dodatek w kilku wersjach. Wystarczy poczekać i zobaczyć, którą wybiorą Chińczycy. I wcale bym się nie zdziwił, gdyby nas znów zaskoczyli.

Rozdział dziesiąty

Krzyk z Europy

Spania w stanie nieważkości trzeba się nauczyć. Floyd przez tydzień poszukiwał najlepszego sposobu mocowania nóg i ramion, tak by nie obudzić się w niewygodnej pozycji. Teraz był już ekspertem i porzucił marzenia o powrocie grawitacji. W rzeczy samej, ciężenie wywoływało u niego nocne koszmary.

Ktoś nim potrząsał za ramię. Nie, chyba śni. Na statku skrupulatnie przestrzegano norm towarzyskich. Nikt nigdy nie wchodził do cudzej kabiny bez zaproszenia. Floyd zacisnął powieki, ale potrząsanie nie ustawało.

- Doktorze Floyd, proszę się obudzić. Jest pan potrzebny na mostku.

Nikt już nie nazywał go doktorem Floydem. „Pan” było jedyną formą grzecznościową, jakiej mógł się spodziewać. Co się działo?

Niechętnie otworzył oczy. Znajdował się w swojej maleńkiej kabinie, delikatnie przytrzymywany w koi przez kokon służący mu za poślanie. Poinformowała go o tym rozbudzona część jego umysłu. Dlaczego więc patrzy na Europę? Znajdowali się przecież w odległości milionów kilometrów od satelity Jowisza.

Dostrzegł znajomą siatkę kanałów: trójkąty i wielokąty wyznaczone przecinającymi się liniami. A oto i sam Wielki Kanał - nie, to niemożliwe! Jest przecież ciągle we własnej kabinie na pokładzie „Leonowa”.

- Doktorze Floyd!

Tym razem zupełnie się obudził. Jego lewa ręka znajdowała się o kilka centymetrów od oczu. Linie papilarne na dłoni wyglą-

63

dały jak mapa Europy. Oszczędna Matka Natura lubiła się powtarzać i niekiedy robiła to w nieporównywalnej skali: rozważmy choćby przykład wzorów, jakie tworzy śmietanka po wlaniu do kawy, czy chmury zwiastujące cyklon i ramiona mgławicy spiralnej.

- Przepraszam, Maks - powiedział po chwili. - Co się stało? Mamy jakieś problemy?

- Chyba tak, ale nie my, tylko „Tsien”.

Kapitan, nawigator i główny inżynier siedzieli na mostku przypięci pasami do foteli. Reszta załogi „pływała” wokół, przytrzymując się uchwytów i w podnieceniu spoglądając na monitory.

- Wybacz, że cię tak nagle obudziliśmy, Heywoodzie - przeprosiła go dość szorstkim tonem Tania. - Sytuacja wygląda następująco: dziesięć minut temu otrzymaliśmy z Kontroli Lotu informację zakwalifikowaną do pierwszej klasy ważności. „Tsien” zaprzestał transmisji radiowych. Stało się to nagle, w połowie przekazywania zakodowanej wiadomości. Najpierw mieli jakieś zakłócenia, a potem cisza.

- A co z radiolatarnią?

- Również nie działa. Nikt jej nie odbiera.

- To znaczy, że sprawa jest poważna. Być może, awaria. Macie jakieś domysły?

- Wiele, poruszamy się jednak po omacku. Wybuch, osunięcie się lub trzęsienie ziemi, któż to może wiedzieć?

- Nikt, dopóki ktoś nie wylądjuje na Europie albo nie przeleci dostatecznie blisko, by przyjrzeć się wszystkiemu. Tania potrząsnęła głową.

- Nie mamy wystarczającego delta v. Możemy zbliżyć się do Europy najwyżej na pięćdziesiąt tysięcy kilometrów. Z takiej odległości niewiele można zobaczyć.

- W takim razie nic się nie da zrobić.

- Niezupełnie, Heywood. Kontrola Lotu ma pewną propozycję. Chcą, abyśmy nakierowali antenę na Europę. Może uda się przechwycić wołanie o pomoc. To jest - jak wy to mówicie...? - ryzykowna sprawa, ale warto spróbować. Co o tym sądzisz?

Pierwsza reakcja Floyda była zdecydowanie negatywna.

- Oznaczałoby to zerwanie kontaktu z Ziemią.

- Oczywiście, ale przecież i tak musimy przez to przejść, gdy będziemy przelatywać obok Jowisza. A wznowienie łączności zajmie nam tylko kilka minut.

64

Nie odpowiedział. Propozycja wydawała się całkowicie rozsąd-[na, ale w głębi duszy odczuwał niepokój. Zastanawiał się nad tym j kilka sekund i nagle odkrył źródło swoich obaw.

Kłopoty „Discovery” zaczęły się w momencie, gdy wielki spodek -główny zespół antenowy - utracił kontakt z Ziemią. Powody przerwania łączności pozostały niejasne, lecz z pewnością miał z tym coś wspólnego Hal. Z drugiej strony, tutaj nie istniało podobne niebezpieczeństwo. Komputery „Leonowa” były małymi, autonomicznymi jednostkami, których nie kontrolowała żadna nadrzędna sztuczna inteligencja. Pozostawali tylko ludzie.

Rosjanie czekali cierpliwie na jego odpowiedź.

- Zgadzam się - powiedział w końcu. - Musimy przekazać na Ziemię wiadomość o naszych zamiarach i możemy rozpocząć nasłuch. Sądzę, że będziemy śledzić wszystkie częstotliwości alarmowe.

- Tak, natychmiast gdy obliczymy poprawkę na przesunięcie Dopplera. Jak ci idzie, Sasza?

- Dajcie mi jeszcze dwie minuty. Potem rozpocznę automatyczne przeszukiwanie częstotliwości. Jak długo będziemy prowadzić nasłuch?

Kapitan Tania odpowiedziała niemal natychmiast. Floyd często podziwiał jej umiejętność podejmowania szybkich decyzji. Kiedyś, w nieczęstym przyпыwie dobrego humoru, powiedziała: „Dowódca, Woody, może się mylić, ale nie wolno mu być niepewnym”.

- Nasłuch przez pięćdziesiąt minut, potem przez dziesięć minut raport dla Ziemi. I powtórzenie cyklu.

Nie mogli niczego dostrzec ani usłyszeć. Automaty znacznie lepiej radziły sobie z filtrowaniem radiowego szumu niż ludzkie ucho. Od czasu do czasu Sasza jednak zwiększał głośność monitorów audio i kabinę wypełniał wtedy ryk jowiszowych pasów promieniowania. Brzmiało to jak odgłos morskich fal załamujących się na wszystkich ziemskich plażach; odgłos, który czasem przerywały olbrzymie wyładowania piorunów w atmosferze Jowisza. Nigdzie nie dało się wychwycić śladu ludzkich sygnałów. Członkowie załogi, którzy nie mieli służby, opuszczali kabinę jeden za drugim.

Czekając i nasłuchując, Floyd prowadził ciche obliczenia. Cokolwiek wydarzyło się na „Tsienie”, doszło do tego przed dwiema godzinami, ponieważ wiadomość otrzymali z Ziemi.

„Leonów” mógłby odebrać bezpośrednią wiadomość z Europy po upływie niecałej minuty, Chińczycy mieli więc dosyć czasu, by nawiązać kontakt radiowy. Cisza w eterze oznaczała jakąś tra-

5-2010 Odyseja kosmiczna

65

giczną w skutkach awarię i Floyd rozważał kolejne możliwości katastrofy.

Pięćdziesiąt minut wlokło się niczym lata całe. Gdy wreszcie upłynął czas nasłuchu, Sasza nakierował zespół antenowy na Ziemię i zameldował o braku kontaktu. Resztę czasu, który pozostał

mu z dziesięciu minut łączności, wypełnił przekazywaniem dodatkowych danych, po czym pytająco spojrzął na dowódcę.

- Czy warto jeszcze raz próbować? - w jego głosie pobrzmiwał skrajny pesymizm.

- Oczywiście. Możemy skrócić czas nasłuchu, ale będziemy go kontynuować.

Po upływie godziny wielki spodek znów skierowano na Ziemię. I gdy po nadaniu meldunku antena powróciła do przeszukiwania częstotliwości wokół Europy, na monitorze zamigotało światółko z napisem ALARM. Ręka Saszy śmignęła do pokrętki natężenia głosu i kabinę ponownie wypełniły odgłosy Jowisza. Z ich tła przebijał się słaby, ale rozpoznawalny ludzki szept. Nie mogli zidentyfikować języka, lecz Floyd po wsłuchaniu się w rytm i intonację stwierdził, że nie był to chiński. Mówiono prawdopodobnie w jakimś europejskim języku. Ziemią europejskim.

Sasza umiejętnie dostroił sygnał, tak że wypowiedzane słowa stały się bardziej zrozumiałe. Bez wątpienia mówiono po angielsku, ale treść wypowiedzi była wciąż niejasna.

Istnieje jedna kombinacja dźwięków, którą ludzkie ucho rozszyfruje natychmiast, nawet w najbardziej hałaśliwym otoczeniu. Floyd pomyślał, że śni, gdy owa kombinacja dała się słyszeć na tle ryku Jowisza. To jakiś koszmar -jego koledzy spoglądali po sobie z niedowierzaniem. Potem skierowali wzrok na niego; wzrok, w którym czaiła się podejrzliwość.

Pierwsze zrozumiałe słowa z Europy brzmiały:

- Doktorze Floyd, doktorze Floyd, chyba mnie pan słyszy...

Rozdział jedenasty

Próżnia i lód

Kto to jest? - zapytał ktoś szeptem, ale został natychmiast uciszony. Floyd podniósł ręce do góry w geście wyrażającym kompletną niewiedzę i -jak miał nadzieję - niewinność.

- .. .wiem, że jest pan na pokładzie „Leonowa”... zostało mi mało czasu... staram się nakierować antenę nadajnika z mojego skafandra tam, gdzie chyba...

Sygnal zanikł na kilka przerażających sekund, a potem znów powrócił, znacznie wyraźniej szy, choć niezbyt głośny.

- .. .przekazać tę informację na Ziemię. „Tsien” został zniszczony trzy godziny temu. Jestem jedyną osobą, która przeżyła. Używam nadajnika w skafandrze, nie mam pojęcia, czy ma wystarczający zasięg, ale to moja jedyna szansa. Proszę słuchać uważnie. NA EUROPIE ISTNIEJE ŻYCIE. Powtarzam: NA EUROPIE ISTNIEJE ŻYCIE...

Sygnal zanikł ponownie. Ciszy, która zapadła, nie przerywał żaden dźwięk. Czekając na dalszy ciąg transmisji, Floyd rozpaczliwie przeszukiwał swą pamięć. Nie rozpoznawał głosu. Mógł to być każdy z Chińczyków wykształconych na Zachodzie. Może ktoś, kogo spotkał na jakiejś konferencji naukowej, ale nie znając nazwiska, nie ma najmniejszej szansy na zidentyfikowanie tego człowieka.

- ...wkrótce po pomocy czasu miejscowego. Pompowaliśmy ostrożnie i zbiorniki napełnione były prawie do połowy. Doktor Lee i ja wyszliśmy sprawdzić izolację węży. „Tsien” stoi... stał około trzydziestu metrów od brzegu Wielkiego Kanału. Rury biegły prosto od statku, przez lód, do kanału. Lód bardzo cienki, niebezpiecznie po nim chodzić. Ciepłe prądy głębinowe...

67

I znowu długa cisza. Floyd pomyślał, że opowiadający może się poruszać i wtedy głos zostaje odcięty przez jakąś przeszkodę.

- .. .żadnych problemów, pięć kilowatów oświetlenia włączonego na statku. Coś pięknego, jak choinka oświetlająca lód dookoła. Wspaniałe kolory. Lee pierwszy to zobaczył - wielkie, potężne cielsko wylaniające się z głębin. Najpierw myśleliśmy, że to ławica ryb, bo było za duże jak na jeden organizm, a potem lód zaczął się kruszyć pod jego ciężarem. Doktorze Floyd, mam nadzieję, że pan mnie słyszy. Mówi profesor Chang, spotkaliśmy się w 2002 w Bostonie na konferencji IAU.

Nagle myśli Floyda, najzupełniej niestosownie do okoliczności, poszybowały przez miliard kilometrów. Niejasno przypominał sobie przyjęcie po ostatnim posiedzeniu kongresu Unii Astronautycznej, jeszcze zanim Chińczycy wycofali się z jej prac, co nastąpiło po drugiej rewolucji kulturalnej. Teraz wyraźnie przywołał w pamięci obraz Changa - drobnej budowy, wesołego astronoma i egzobiologa, który sypał żartami na prawo i lewo. Jak odmiennie brzmiał teraz jego głos.

- .. .jak olbrzymie macki wyschniętego morskoczynu pełzające po ziemi. Lee pobiegł do statku po kamerę, ja zostałem i meldowałem o sytuacji przez radio. To stworzenie poruszało się tak powoli, że z łatwością mogłem je wyprzedzić. Nie bałem się, chociaż wszyscy byliśmy podekscytowani. Wydawało mi się, że rozpoznaję to stworzenie: kiedyś w Kalifornii widziałem zdjęcia uprawy wodorostów, ale okazało się, że nie miałem racji...

- .. .widać było, że ma poważne kłopoty z przetrwaniem w temperaturze o sto pięćdziesiąt stopni niższej od temperatury jego normalnego otoczenia. Sunąc naprzód zamarzało na kamień, odpadały od niego kawałki przypominające szkło, lecz ciągle podążało w kierunku statku, jak czarna fala przyływu, wolniej i wolniej. Byłem tak zaskoczony tym wszystkim, że nie mogłem logicznie myśleć,

nie miałem pojęcia, co zamierza...

- Czy możemy się jakoś z nim skontaktować? — zapytał pośpiesznie Floyd.

- Nie, jest już za późno. Europę wkrótce przesłoni Jowisz. Będziemy musieli poczekać do końca tutejszej nocy.

- ... wspinając się na statek i budując jednocześnie coś w rodzaju lodowego tunelu. Może miała to być osłona przed zimnem, coś takiego jak korytarze, które budują termity dla ochrony przed słońcem...

68

.. tony lodu na statku. Najpierw złamały się anteny radiowe, póź- Iniej zobaczyłem, że wsporniki ładownicze zaczynają pękać, a wszyst- jko to działo się bardzo powoli, niczym we śnie. Dopiero gdy statek zaczął się przewracać, zrozumiałem, o co chodziło temu stworzeniu, jniestety było już za późno. Mogliśmy ocalić i statek, i siebie, gdyby- [śmy wyłączyli te wszystkie światła...

Prawdopodobnie jest to stworzenie fototropiczne, którego cykl [biologiczny jest uzależniony od światła filtrowanego przez lód. Mo-; gliśmy też je zwabić jak ćmę lecąc do świecy. Nasze reflektory były | jaśniejsze niż wszystko, co do tej pory widziała Europa...

A potem statek się poddał. Widziałem pęknięty kadłub, z którego wyparowała atmosfera zamieniając się w chmurę wilgotnego śniegu. Światła zgasły. Zostało tylko jedno, zawieszona na kablu kilka metrów nad ziemią.

Nie wiem, co działo się później. Następną rzeczą, jaką pamiętam, jest to, że stoję pod tą lampą, obok wraku statku, a wokół pada śnieg. Widziałem wyraźnie swoje ślady. Musiałem biec. Minęła chyba minuta, może dwie...

Roślina, myślałem o tym jak o roślinie, pozostawała nieruchoma. Zastanawiałem się, czy katastrofa statku jej nie uszkodziła. Wokół leżały odłamane fragmenty tego czegoś, kawałki grubości, powiedzmy, ludzkiego ramienia, podobne do połamanych gałęzi.

Po chwili główny trzon zaczął się poruszać. Odsuwał się od kadłuba statku i zmierzał w moim kierunku. Wtedy ostatecznie przekonałem się, że to stworzenie reaguje na światło. Stałem dokładnie pod tysiącwatową lampą, która właśnie przestała się kołysać.

Wyobraźcie sobie dąb albo jeszcze lepiej: figowiec, ze wszystkimi gałęziami i korzeniami, spłaszczony przez siłę ciężenia, pełzający po ziemi. W odległości pięciu metrów od światła to coś zaczęło się rozciągać, aż do momentu gdy uformowało zamknięty krąg wokół mnie. Prawdopodobnie była to granica jego tolerancji, punkt, w którym fototropizm zamienia się we własne przeciwieństwo. Przez kilka minut nic się nie działo. Przypuszczałem, że to wreszcie zamarzło, stało się martwe.

I właśnie wtedy zobaczyłem duże pąki tworzące się na ramionach tego czegoś. Wyglądało to jak film poklatkowy rozwijającego się kwiatu. Naprawdę myślałem, że są to kwiaty, przy czym każdy z nich miał wielkość ludzkiej głowy.

Wokół pełno było delikatnych, kolorowych, rozwijających się tkanek. Przyszło mi do głowy, że nikt i nic nie widziało jeszcze takich

69

barw. Nie istniały, dopóki na ten świat nie przywieźliśmy światła, sprawcy wszystkich naszych nieszczęść.

Czulki, pręciki falujące delikatnie... Podszedłem do żywej ściany, która mnie otaczała. Widziałem wszystko bardzo dokładnie. Ani wtedy, ani w żadnym momencie wcześniej nie obawiałem się tego stworzenia. Byłem przekonany, że nie miało złych zamiarów, jeśli w ogóle posiadało jakąś świadomość. Widziałem dziesiątki dużych kwiatów w różnych stadiach rozwijania się. Przypominały motyle wydobywające się z poczwerek - z wymiętymi skrzydłami, bardzo słabe.

Byłem coraz bliższy odkrycia prawdy.

Ale one zamarzały, umierając niemal w chwili narodzin. Odpadały jeden po drugim od głównego pnia, szamocząc się przez kilka sekund niczym wyjęta z wody ryba. Na koniec odkryłem wreszcie, czym były naprawdę. To nie były płatki, były to płetwy. Lub ich odpowiedniki. Okres larwalny stworzenie to spędzało pływając w morzu. Przez większą część życia może było przyłączone do morskiego dna i tam wypuszczało ruchome nowe pędy w poszukiwaniu wolnego terytorium. Tak samo robią ziemskie korale.

Uklęknąłem, aby przyjrzeć się z bliska temu małemu stworzonku. Piękne ubarwienie zniknęło, wszystko stawało się brunatne. Niektóre z płatków-płetw odpadły, zamarzając w zetknięciu z podłożem. Ale stworzonko wciąż jeszcze się ruszało, starało się mnie ominąć, gdy się zbliżałem. Zastanawiałem się, jak wyczuło moją obecność. I wtedy dostrzegłem, że te nibypręciki mają na czubkach jasnoniebieskie plamki. Wyglądały jak maleńkie gwiazdziste szafiry albo niebieskie oczy małża przegrzebka, świadome światła, ale niezdolne do tworzenia obrazów. Gdy tak stałem, jasny błękit zniknął, szafiry przesłaniała mgła. Teraz były to zwykłe kamienie...

Doktorze Floyd czy ktokolwiek odbierający tę transmisję. Nie zostało mi wiele czasu. Jowisz wkrótce zasłoni mój nadajnik, ale już prawie skończyłem.

Wiedziałem, co muszę zrobić. Kabel tej tysiącwatowej lampy zsunął się prawie do ziemi. Pociągnąłem kilka razy, światło sypnęło iskrami i zgasło.

Zastanawiałem się, czy nie jest za późno. Przez kilka minut nic się nie działo. Podeszedłem więc do ściany splecionych ramion i kopnąłem je. Powoli stworzenie zaczęło się rozplątywać i przesuwać w stronę kanału. Było całkiem widno, tak że widziałem wszystko bardzo dokładnie. Na niebie świecił Ganimedes i Callisto. Jowisz był olbrzymim, cienkim półksiężycem. Na nocnej stronie Europy dostrze-

70

głem zorzę wywołaną wzajemnym wpływem Jowisza i Io. Nie musiałem używać reflektora umieszczonego na hełmie skafandra.

Poszedłem za stworzeniem aż do wody, kopiąc je od czasu do czasu, gdy zwalniało, i czując, jak lód kruszy mi się pod stopami... Zbliżając się do kanału nabierało sił i energii, jak gdyby czuło, że wraca do domu. Zastanawiałem się, czy przetrwa, by móc ponownie zakwitnąć.

Zniknęło pod powierzchnią, zostawiając na lądzie kilka martwych larw. Odsłonięty fragment wody burzył się przez kilka minut, po czym znów pokryła go ochronna warstwa lodu. Wróciłem do statku, by zbadać, czy coś ocalało; wołę o tym nie mówić.

Mam tylko dwie prośby, doktorze. Kiedy uczeni będą opracowywać systematykę tych stworzeń, chciałbym, aby nazwano je moim nazwiskiem. I druga prośba. Gdy tu przyleci następny statek, niech zabierze nasze prochy do Chin.

Jowisz za kilka minut przesłoni nadajnik. Chciałbym wiedzieć, czy ktoś mnie odbiera. W każdym razie powtórzę tę transmisję, jeśli tylko będzie to możliwe. Mam nadzieję, że mój skafander wytrzyma jeszcze trochę.

Mówi profesor Chang z Europy. Melduję o katastrofie statku kosmicznego „Tsien”. Wylądowaliśmy przy Wielkim Kanale i ustawiliśmy nasze pompy na krawędzi lodu...

Głos zanikł nagle, powrócił jeszcze na moment, by ostatecznie rozplątać się w radiowym szumie. „Leonów” ciągle prowadził nasłuch na tej samej częstotliwości, ale profesor Chang więcej się nie odezwał.

Część trzecia

DISCOvERY

Rozdział dwunasty

Lot ku Jowiszowi

Statek w końcu zaczął nabierać prędkości, zmierzając na spotkanie Jowisza. Dawno miał już za sobą grawitacyjną „ziemię niczyją” z czterema małymi księżycami zewnętrznymi - Sinope, Pazifae, Ananke i Carme - podążającymi po swoich ekscentrycznych orbitach. Były to bez wątpienia przechwycone przez Jowisza asteroidy i wszystkie miały nieregularne kształty. Średnica największej nie przekraczała trzydziestu kilometrów. Te z wyglądu postrzępione i zmurszałe skały mogły zainteresować co najwyżej geologów. Ich los był zależny od walki, jaką toczyły ze sobą dwa giganty: Słońce i Jowisz. Któregoś dnia szala zwycięstwa przechylił się na stronę Słońca.

Ale Jowisz może zachować kolejną grupę czterech księżyców, znajdujących się teraz w połowie drogi ku planecie - Elarę, Lizyję, Himalię i Ledę. Tworzyły one zwartą grupę, krążącą niemal w identycznej płaszczyźnie. Trwały dyskusje nad ich wspólnym pochodzeniem, lecz jeśli nawet były fragmentami tego samego ciała, ich przodek miał średnicę nie większą niż sto kilometrów.

Przelatywali w takiej odległości, że gołym okiem dawały się dostrzec tylko Carme i Leda. Powitano je jak stare przyjaciółki. Były wszak pierwszymi skrawkami lądu po długiej oceanicznej podróży, pierwszymi wyspami Jowisza. Odliczano godziny. Zbliżał się najbardziej krytyczny moment całej misji: wejście w atmosferę planety.

Jowisz był w tym czasie większy niż Księżyc oglądany z Ziemi. Wokół niego krążyły olbrzymie wewnętrzne satelity, których powierzchnia mieniła się barwami, natomiast rzeźby terenu nie dało się

75

uchwycić gołym okiem. Ruch księżyców wokół Jowisza - znikanie za jego tarczą i wyłanianie się po dziennej stronie w towarzystwie cienia — stanowił istny niebiański balet. Był to spektakl, który fascynował astronomów od momentu, gdy Galileusz po raz pierwszy dostrzegł księżyce wewnętrzne, niemal dokładnie czterysta lat temu. Członkowie załogi „Leonowa” jako jedyni żywi ludzie mogli go podziwiać gołym okiem.

Zaprzestano nie kończących się rozgrywek szachowych. Godziny po służbie upływały przy teleskopach, na rozmowach lub słuchaniu muzyki i jednoczesnym obserwowaniu gwiazd. Swój punkt kulminacyjny osiągnął co najmniej jeden z pokładowych romansów: częsta nieobecność Maksa Brajlowskiego i Żeni Marczenko stała się tematem dobrotliwych kpinek.

Obydwoje są z pozoru - przemyślni wąż Floyd - bardzo niedobraną parą. Maks był okazałym, przystojnym blondynem, mistrzem w gimnastyce, uczestnikiem finałów olimpiady w roku 2000. Przy swoich trzydziestu paru latach zachował otwartą, niemal chłopięcą twarz. I nie było to wcale mylące. Maks był doskonałym inżynierem, czasami jednak - co zauważył Floyd - zdarzało mu się zachować naiwnie, w sposób nieomal dziecinny. Należał do tych ludzi, z którymi miło się rozmawia, byle rozmowa nie trwała zbyt długo. Poza swoją wąską specjalizacją był kimś interesującym, ale raczej płytkim.

Żenią — najmłodsza z załogi ze swoimi dwudziestoma dziewięcioma latami - ciągle stanowiła zagadkę. Ponieważ nie poruszało się tego tematu, Floyd nigdy nie zagadnął o ślady ciężkich obrażeń, jakie musiała kiedyś odnieść. Informacje waszyngtońskie również nic o tym nie mówiły. Z pewnością przeżyła poważny wypadek, lecz równie dobrze mogła to być kraksa samochodowa, jak i coś zupełnie innego. Teoria, jakoby Żenią brała udział w tajnej misji kosmicznej — a jak wiadomo, wyprawy tego rodzaju należą do mitów popularnych we wszystkich krajach oprócz ZSRR - była

nieprawdziwa. Dzięki światowej sieci łączności i śledzenia statków kosmicznych tajne misje skończyły się pięćdziesiąt lat temu.

Oprócz fizycznych i z pewnością psychicznych blizn Żenią miała jeszcze jeden mankament: zastąpiła Irinę Jakuninę i wszyscy o tym wiedzieli. Irina miała być dietetykiem i pomocniczą siłą medyczną na pokładzie „Leonowa”, ale przydarzył się jej wypadek na lotni; połamała zbyt wiele kości.

Każdego dnia, punktualnie o 18. GMT, załoga składająca się z siedmiu osób i jednego pasażera zbierała się w tak zwanej świe-

76

tlicy - małym pomieszczeniu oddzielającym sterownię od mesy i kwater prywatnych. Okrągły stół pośrodku pokoju był wystarczająco duży, by zmieściło się przy nim osiem osób. Po przebudzeniu Cumowa i Chandry będą musieli znaleźć dwa dodatkowe krzesła.

„Narada o szóstej”, jak nazywano te konferencje okrągłego stołu, rzadko trwała dłużej niż dziesięć minut, odgrywała jednak ważną rolę w utrzymywaniu morale załogi. Tematem posiedzeń mogło być wszystko: skargi, sugestie, krytyka, meldunki o postępach prac -i tylko dowódca miał prawo sprzeciwu, z którego zresztą korzystał z umiarem.

Do kwestii typowych poruszanych w czasie narad należały żądania zmiany jadłospisu, prośby o przedłużenie czasu prywatnych rozmów z Ziemią, sugestie co do repertuaru filmowego, wymiana wiadomości, plotek i dobrodusznym przytyków, które najczęściej kierowano pod adresem amerykańskiej mniejszości na pokładzie. Ale to się zmieni po zbudzeniu dwóch pozostałych Amerykanów - oceniał Floyd. Ich szansę wzrosną z 1 : 7 do 3 : 9. Ponadto nie wspominał o swoim osobistym przekonaniu, że Curnow jest w stanie przegadać albo zakrzyczeć każdego z oponentów.

Większą część wolnego czasu Floyd spędzał w świetlicy, która mimo niewielkich rozmiarów była znacznie mniej klaustrofobiczna niż jego własna kabina. Poza tym miała przyciągające oko dekoracje - wszystkie płaskie powierzchnie, aż do najmniejszego skrawka, pokrywały fotografie pięknych ziemskich krajobrazów, lądowych i morskich, zdjęcia z zawodów sportowych, portrety popularnych gwiazd wideo i inne pamiątki z Ziemi. Jednakże elementem głównym był oryginał obrazu Aleksieja Leonowa z roku 1965, zatytułowany Obok Księżyca i namalowany w tym samym roku, w którym jego autor - wówczas młody podpułkownik -jako pierwszy z ludzi wyszedł poza statek kosmiczny, w przestrzeń.

Z pewnością była to praca utalentowanego amatora, a jej tematyka niecodzienna. Obraz ukazywał krawędź Księżyca z kraterami, pośród których dominowało piękne Sinus Iridum z Zatoką Tęczy w tle. Nad księżycowym horyzontem wznosił się olbrzymi zarys Ziemi, częściowo zaciemnionej. Nad nim zaś jaśniało Słońce, którego korona rozciągała się na miliony kilometrów.

Niezwykłość obrazu wyrażała się i w tym, że dawał niejako wgląd w przyszłość, odległą w momencie jego powstawania o całe trzy lata. Wtedy bowiem, podczas lotu „Apollo 8”, Anders, Borman i Lovell

77

podziwiali identyczny widok bez pomocy teleskopu. Działo się. to w dniu Bożego Narodzenia roku 1968.

Heywood Floyd lubił patrzeć na ten obraz, ale doświadczał przy tym dziwnych uczuć. Nie potrafił zapomnieć, że dzieło Leonowa było starsze, aniżeli wszyscy znajdujący się na statku ludzie - z jednym wyjątkiem.

Gdy Aleksiej Leonów malował swój obraz, Floyd był już dziewięcioletnim chłopcem.

Rozdział trzynasty

Księżyc Galileusza

Nawet teraz, blisko trzydzieści lat po pierwszych lotach „Yoyage-rów”, nikt nie mógł zrozumieć, dlaczego cztery wielkie satelity Jowisza tak bardzo się różnią. Wszystkie mają zbliżoną wielkość i znajdują się w tej samej części Układu Słonecznego, ale każdy jest inny od pozostałych - niczym dzieci różnych rodziców.

Jedynie Callisto, krążący wokół Jowisza najdalej z całej czwórki, wyglądał tak, jak się spodziewano. Gdy „Leonów” przelatywał koło satelity w odległości stu tysięcy kilometrów, większe z niezliczonych kraterów tego księżyca można było dostrzec gołym okiem. Przez teleskop Callisto wyglądał jak szklana kula, której używano za cel przy strzelaniu z broni automatycznej. Całą powierzchnię pokrywały kratery o różnych rozmiarach; najmniejsze trudno było dostrzec nawet przy silnym powiększeniu. Callisto, jak ktoś trafnie zauważył, bardziej przypominał ziemski Księżyc aniżeli sam Księżyc.

I nie było się czemu dziwić. Ciało niebieskie usytuowane w takim miejscu, na krawędzi pasa asteroid, nieustannie bombardowały pozostałości z okresu tworzenia się Układu Słonecznego. Jednakże Ganimedes, sąsiad Callisto, wyglądał już zupełnie inaczej. W odległej przeszłości także pokrywały go kratery oduderzeniowe, ale przez wieki przeorał je czas. Określenie to jest szczególnie trafne, olbrzymie powierzchnie Ganimedesa bowiem pokrywają bruzdy i zwały przywodzące na myśl ślady, jakie zostawia po sobie pług oracza. Dostrzegli również jasne pasma pośród bruzd, niczym szlaki olbrzymich ślimaków, z których każdy musiałby mieć szerokość pięćdziesięciu kilometrów. Najbardziej tajemnicze były jednak długie, po-

79

skręcane trakty porysowane równoległymi liniami. Nikołaj Tiernow-ski wpadł na pomysł, że były to autostrady wytyczone przez pijanych geodetów. Utrzymywał nawet, że dopatrywał się zjazdów i bezkolizyjnych skrzyżowań.

„Leonów” przekazał tryliony bitów informacji o Ganimesedzie, zanim przeciął orbitę Europy. Zamarznięty księżyc z wrakiem „Tsie-na” i ciałami astronautów pozostawał z drugiej strony Jowisza, wciąż jednak zajmował poczesne miejsce w ludzkiej pamięci.

Na Ziemi doktor Chang został uznany za bohatera i jego ojczyznę - mimo widocznego zakłopotania Chin - zasypywały miliony telegramów z wyrazami współczucia. Telegram taki wystosowała również załoga „Leonowa”, lecz jego ostateczna treść - jak domyślał się Floyd - zredagowana została w Moskwie. Na pokładzie statku dawano wyraz mieszanym uczuciom: podziw i współczucie przeplatały się z ulgą. Wszyscy astronauty, bez względu na kraj swego pochodzenia, traktowali siebie jak obywatele wszechświata złączonych więzami wspólnego losu, a także dzielących zwycięstwa i tragedie innych. Nikt na „Leonowie” nie wyrażał zadowolenia z powodu katastrofy Chińczyków, można było jednak wyczuć tłumioną ulgę, że wyścig nie nabrał rozmachu.

Nieoczekiwane odkrycie życia na Europie wprowadziło jeszcze jeden element do całej sprawy - element, który wywołał burzę spekulacji na Ziemi, a także na pokładzie statku. Niektórzy egzobiolodzy krzyczeli: „A nie mówiliśmy!”, wskazując jednocześnie, że ludzkość prędzej czy później musiała dokonać takiego odkrycia. Jeszcze w latach siedemdziesiątych badania głębin morskich wykazały istnienie olbrzymich kolonii dziwnych stworzeń, żyjących w środowisku, które według wszelkich reguł nie sprzyjało żadnym formom egzystencji, a mianowicie w rowach na dnie

Pacyfiku. Wulkaniczne źródła, nawożące i ogrzewające owe nisze ekologiczne, stworzyły oazy życia pośród morskich głębin.

Wszystko, co działo się na Ziemi, miało szansę na miliony powtórzeń we wszechświecie - był to jeden z „anonów wiary współczesnych naukowców. Woda, co prawda w formie lodu, znajdowała się na wszystkich księżycach Jowisza, na Io zaś bezustannie wybuchały wulkany, z tego też względu można się było spodziewać słabszej działalności sejsmicznej na sąsiednim satelicie. Jeśli wziąć pod uwagę te dwa fakty, okaże się, że istnienie życia na Europie było nie tylko możliwe, ale wręcz nieuniknione. Choć prawdę mówiąc, wszystkie niespodzianki, jakie przynosi nam natura, wyglą-

80

f dają w ten sposób, gdy patrzy się na nie z perspektywy całkowitej [pewności.

Pewność co do istnienia życia na Europie stwarzała podstawę

; do dalszych pytań, z których jedno miało zasadnicze znaczenie dla

' misji „Leonowa". Czy życie odkryte na księżycach Jowisza miało związek z Monolitem z

Tycho i tajemniczym obiektem orbitującym obok Io?

Był to ulubiony temat dyskusji na naradach o szóstej. Powszechnie zgadzano się, że istoty, które napotkał doktor Chang, nie reprezentowały wysokich form inteligencji - oczywiście, jeśli interpretacja ich zachowania była poprawna. Żadne zwierzę obdarzone choćby minimalną zdolnością rozumowania nie ryzykowałoby życia dla tak niskich instynktów, porównywalnych z przyciąganiem śmę przez płomień świecy.

Wasilij Orłow przedstawił szybko kontrargument, który osłabiał, a kto wie czy nie podważał, znaczenie poprzedniego.

- Spójrzcie na wieloryby i delfiny - powiedział. - Mówimy, że są to stworzenia obdarzone inteligencją, a przecież tak często dokonują masowych samobójstw rzucając się na mielizny. Jest to jeden z tych przypadków, kiedy instynkt bierze górę nad rozumowaniem.

- Nie ma potrzeby odwoływać się do delfinów — wtrącił Maks Brajlowski. - Jeden z najlepszych inżynierów z mojego roku na studiach zakochał się tragicznie w blondynce z Kijowa. Kiedy słyszałem o nim po raz ostatni, pracował w warsztacie samochodowym. A zdobył nagrodę za projekt stacji kosmicznej. Cóż to za strata!

Nawet gdyby stworzenia odkryte przez doktora Changa nie były rozumne, nie wykluczało to istnienia wyższych form życia w innym miejscu. Trudno oceniać biologię całego świata na podstawie jednego egzemplarza, i to zaledwie jednego gatunku.

Do tej pory sądzono, że rozwinięte formy inteligencji nie mogą powstać w morzu, ponieważ nie występują tam trudne sytuacje, morze samo w sobie bowiem stanowi dość łagodne i mało zróżnicowane środowisko naturalne. Przede wszystkim jednak nie można rozwinąć żadnych form techniki bez ognia.

Możliwe, że był to błąd w rozumowaniu. Droga, którą poszła ludzkość, nie była drogą jedyną. W morskich głębinach innych światów istnieją prawdopodobnie całe cywilizacje.

Wydawało się niemożliwe, by na Europie rozwinęła się kultura morska, nie zostawiając po sobie najmniejszego śladu w formie budowli, obiektów naukowych, portów i tak dalej. Niestety Europa, od

6-2010 Odyseja kosmiczna

81

bieguna do bieguna, pokryta była równą warstwą lodu, ponad którą sterczały jedynie nagie skały.

Gdy „Leonów” mijał orbitą Io, nie było już czasu na spekulacje i rozważania. Obok maleńkiego Mimasza załoga pracowała niemal bez przerwy, przygotowując się do spotkania z Jowiszem i krótkiego powrotu ciężenia po miesiącach stanu nieważkości. Należało zabezpieczyć wszystkie przedmioty, zanim statek znajdzie się w atmosferze planety i gwałtowne hamowanie osiągnie spodziewaną wartość 2 g.

Floyd miał szczęście. Tylko jemu wystarczyło czasu, by podziwiać zbliżającą się planetę, która zajmowała już pół nieba. Ponieważ nie istniał żaden układ odniesienia, trudno było ocenić rzeczywiste wymiary globu. Musiał sobie powtarzać, że półkula, na którą patrzy, mogłaby pomieścić pięćdziesiąt globów wielkości Ziemi.

Chmury w kolorach, jakie można oglądać tylko przy najwspanialszych zachodach słońca na Ziemi, przesuwały się tak szybko, że po dziesięciu minutach patrzenia miały zupełnie nowe zarysy. Olbrzymie wiry formowały się wzdłuż niezliczonych pasów wokół planety i rozpływały się jak dym. Z głębin atmosfery wydobywały się gejzery białego gazu, które rozwiewała niewyobrażalna wichura wywoływana obrotami Jowisza. Najdziwniejsze ze wszystkiego były białe plamy, rozmieszczone - regularnie jak perły w naszym juku - na drodze zwrotnikowych wiatrów planety.

Tuż przed wejściem w atmosferę Floyd prawie nie spotykał kapitana ani nawigatora. Orłowie rzadko opuszczali mostek, sprawdzając niestrudzenie orbitę zbliżania i dokonując minimalnych poprawek kursu „Leonowa”. Statek znajdował się obecnie na szlaku, którym dotrze do zewnętrznych rejonów atmosfery Jowisza. Jeśli polecą zbyt wysoko, nie zdołają wyhamować na tyle, by nie opuścić Układu Słonecznego bez żadnej nadziei na ratunek. Jeśli z kolei znajdzie się zbyt nisko, spłoną niczym meteoryt. Pomiędzy tymi dwiema możliwościami nie było miejsca na błąd.

Przykład Chińczyków dowodził, iż aerohamowanie jest wykonalne, zawsze jednak istniała groźba, że coś się nie powiedzie. Floyd nie był więc zaskoczony, gdy na godzinę przed spotkaniem z Jowiszem, naczelny lekarz Rudenko powiedziała:

— Żałuję, Woody, że nie wzięłam tej ikony.

Rozdział czternasty

Podwójne spotkanie

Dokumenty hipoteczne domu w Nantucket powinny być w kartotece pod literą „H”, w bibliotece.

To chyba wszystko, jeśli chodzi o interesy. Przez ostatnie kilka godzin krążyło mi po głowie wspomnienie obrazu, który oglądałem jako chłopiec w jakimś starym albumie sztuki wiktoriańskiej. Książka już wtedy miała ze sto pięćdziesiąt lat. Nie pamiętam, czy obraz był kolorowy, ale nigdy nie zapomnę tytułu, który brzmiał, nie śmiej się, Ostatni list do domu. Nasi prapradziadowie uwielbiali ten rodzaj sentymentalnych melodramatów.

Obraz ukazywał pokład szkunera w czasie huraganu, zdarte żagle, przelewające się fale. W tle załoga walczy, by ocalić statek. A na pierwszym planie chłopiec okrętowy pisze list, obok zaś stoi butelka, w której wiadomość ma popłynąć do domu.

I chociaż byłem jeszcze wtedy dzieckiem, wydawało mi się, że ten młody chłopiec winien pomagać załodze, a nie pisać list. W każdym razie wszystko to bardzo mnie poruszyło. Jak mogłem przypuszczać, że któregoś dnia zachowam się jak tamten niedoszły marynarz?

Oczywiście jestem pewien, że otrzymasz tę wiadomość, a na pokładzie „Leonowa” nie mam po prostu nic do roboty. Prawdę mówiąc, poproszono mnie uprzejmie, abym nie przeszkadzał, sumienie mam więc czyste i dyktuję te słowa.

Idę zaraz na mostek przekazać list, bo za piętnaście minut przerywamy łączność z Ziemią, chowając wielką antenę i zwijając żagle -jeszcze jedno morskie porównanie. Jowisz zajmuje teraz całe niebo.

83

Nie będę próbował go opisać, zresztą niedługo sam nie będę go widział, bo opuszczamy zasłony za kilka minut. Kamery opiszą wam ten widok znacznie lepiej ode mnie.

Do widzenia, najmilsza. Kocham was wszystkich, szczególnie Chrisa. Gdy odbierzesz ten przekaz, będzie już po wszystkim, w tę lub drugą stronę. Pamiętaj, że zawsze chciałem jak najlepiej dla nas wszystkich. Do zobaczenia.

Odłożywszy mikroport, Floyd popłynął do centrum łączności i przekazał nagrany tekst Saszy Kowalewowi.

- Bądź tak uprzejmy i nadaj to, zanim skończymy transmisję -powiedział z naciskiem.

- Nie martw się - obiecał Sasza. - Ciągle jeszcze pracuję na wszystkich kanałach i zostało nam dobre dziesięć minut. Sasza wyciągnął do niego rękę.

- Jeśli nam jeszcze przyjdzie się zobaczyć, zamienim uśmiech; jeśli przeciwnie, bracie mój, w poręmy się pożegnali. Floyd zamrugął.

- To chyba Szekspir?

- Oczywiście, Brutus i Kasjusz przed bitwą. Do zobaczenia.

Tania i Wasilij byli za bardzo zajęci obserwacją danych na monitorach, by powiedzieć cokolwiek, pomachali więc tylko Floydowi na pożegnanie. Wrócił do swojej kabiny. Z resztą załogi zegnał się już wcześniej. Nie pozostało mu nic innego, jak czekać. Jego śpiwór był przygotowany na wypadek powrotu ciężenia w czasie hamowania, mógł więc tylko wspiąć się na koję i...

- Anteny schowane. Podnieść osłony termiczne - dobiegło z głośnika komunikacji wewnętrznej.

- Pierwsze stadium hamowania za pięć minut. Wszystko działa normalnie.

- Ja użyłbym innego słowa - zamruczał do siebie Floyd. - Chodziło ci chyba o „nominalnie”.

Ledwo skończył mówić, usłyszał niepewne pukanie do drzwi.

- Kto tam? - powiedział po rosyjsku. Ku jego zaskoczeniu była to Żenią.

- Czy mogę wejść? - zapytała głosem niezręcznej uczennicy, który Floyd ledwie rozpoznał.

- Oczywiście, że nie. Dlaczego nie jesteś w swojej kabinie? Za pięć minut wchodzimy w atmosferę.

Stawiając jej to pytanie, zdał sobie sprawę z własnej głupoty. Odpowiedź była tak oczywista, iż Żenią nie próbowała nawet otworzyć ust.

84

Była jednak ostatnią osobą, której mógł się spodziewać. Jej stosunek do niego był niezmiennie uprzejmy, ale wyrażał ogromny dyjstans. Była jedyną osobą na statku, która dotąd, zwracając się do [niego, zaczynała od słów: „doktorze Floyd”. A teraz stała w drzwiach, j szukając pocieszenia i towarzystwa w chwili trwogi.

- Żeniu, moja droga - powiedział z wymuszonym uśmiechem. -[Wejdz, bardzo proszę. Warunki u mnie nie są komfortowe. Powie-I działbym nawet, że są spartańskie...

Uśmiechnęła się z zażenowaniem, ale nie powiedziała ani słowa, gdy na koniec znalazła się w kabinie. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że dziewczyna była nie tylko podenerwowana - była przerażona. I zrozumiał, dlaczego przyszła właśnie do niego. Po prostu wstydziła się okazywać strach wśród swoich.

Całe to rozumowanie nie należało do przyjemnych. Musiał jednak zaopiekować się samotną przerażoną istotą ludzką, która nie miała tutaj nikogo bliskiego. Fakt, że — pomimo widocznych blizn - była atrakcyjną kobietą, dwa razy od niego młodszą, nie powinien mieć znaczenia. A jednak miał. Floyd dorastał do sytuacji.

Musiała to wyczuć, gdy leżeli obok siebie w śpiworze, ale nie zrobiła nic, co mogłoby go zachęcić lub zniechęcić. Z ledwością mieścili się na koi, a Floyd nerwowo dokonywał obliczeń. Przypuśćmy, że maksymalne g będzie większe, niż przewidywano, i nie wytrzyma zawieszenie? Obydwoje mogą zginąć...

Oczywiście istniał duży margines bezpieczeństwa. Nie musi martwić się o tak niesławny koniec. Śmiech jest wrogiem pożądania. Ich uścisk był teraz całkowicie niewinny. Nie wiedział, czy cieszyć się czy płakać.

Było już jednak za późno na wyrzuty. Z bardzo, bardzo daleka dotarł do nich szept, jakby echo jęku potępieńca. W tej samej chwili odczuli słaby wstrząs. Śpiwór zaczął się kołysać, zawieszenie napięło się. Po tygodniach stanu nieważkości wracało ciężenie.

Po kilku sekundach jęk zamienił się w przeciągły ryk, a kokon, w którym byli zamknięci, stał się przeładowanym hamakiem. „To nie był dobry pomysł” -pomyślał Floyd. Z trudnością łapał oddech. I nie była to wyłącznie wina hamowania. Żenią uchwyciła go wpół, jak tonący, który chwytą się przysłowiowej brzytwy.

Uwolnił się z jej uścisku tak delikatnie, jak tylko mógł.

- Wszystko jest dobrze, Żeniu. Jeśli udało się „Tsienowi”, uda się i nam. Odpręż się, przestań się martwić.

Trudno jest krzyczeć delikatnie, toteż nie był pewien, czy Żenią usłyszała go poprzez ryk silników wyrzucających rozżarzony wodór.

85

Ale nie była już tak przerażona jak na początku i Floyd mógł wreszcie głębiej zaczerpnąć powietrza.

Co pomyślałaby Caroline, gdyby zobaczyła go teraz? Czy kiedyś jej o tym opowie? Nie miał pewności, czy rozumiałaby ich położenie. W chwili takiej jak ta wszystkie więzy z Ziemią zdawały się tracić na znaczeniu.

Nie mogli mówić ani się poruszać. Powoli jednak przyzwyczajali się do siły ciężenia i jedynym nieprzyjemnym uczuciem było dla Floyda drętwienie ręki, na której leżała Żenia. Z trudem wysunął ramię spod jej ciała. Gest ten, tak dobrze znany skądinąd, wywołał u niego przyływ poczucia winy. Gdy w ręce powracało krążenie, Floyd przypominał sobie słynne zdanie przypisywane wielu astronautom i kosmonautom: „Opowieści zarówno o problemach, jak i przyjemnościach związanych z seksem w stanie nieważkości są mocno przesadzone”.

Zastanawiał się, jak radzi sobie reszta załogi, pomyślał też o Cur-nowie i Chandrze, którzy spokojnie spali, nie wiedząc, co się dzieje. I nigdy sienie dowiedzą, jeśli „Leonów” spłonie niczym meteoryt na niebie Jowisza. Nie zazdrościł im, stracili życiowe doświadczenie.

Z głośnika rozbrzmiał głos Tani, ale trudno ją było zrozumieć ze względu na ryk silników. Mówiła spokojnie i tak zwyczajnie, jak gdyby ogłaszała pierwszy lepszy komunikat. Floyd zdołał spojrzeć na zegarek i ze zdziwieniem stwierdził, że ma już za sobą połowę manewru hamowania. Dokładnie w tym momencie „Leonów” znalazł się w najmniejszej odległości od Jowisza. Tylko automatyczne sondy zagłębiły się dalej w atmosferę planety.

- Minęliśmy połowę, Żeniu — krzyknął. - Wynurzamy się!

Nie wiedział, czy usłyszała i czy rozumiała jego okrzyk. Miała zaciśnięte powieki, ale uśmiechała się leciutko.

Statek zaczął się kołysać jak łódka na wzburzonym morzu. Czy to normalne? — zastanawiał się Floyd. Dobrze, że głównym powodem jego zmartwień była Żenia. Dzięki temu nie mógł koncentrować się na własnym strachu. Przez ułamek sekundy przemknął mu przed oczami obraz ścian, które nagle rozgrzewają się do czerwoności i zapadają wprost na niego. Jak koszmar dręczący bohatera Studni i wahadła Edgara Allana Poe, który przypominał mu się po trzydziestu latach...

Ale to nigdy się nie stanie. Nawet gdyby nie wytrzymały osłony termiczne, statek zostałby spłaszczony i spalony w ułamku sekundy przez potężną zaporę gazów. Nie zdążyliby poczuć bólu. Ich systemy nerwowe nie miałyby czasu na reakcję. Floyd miał bardziej pocieszające myśli, ale i tej nie należało odrzucać.

86

Ciążenie powoli znikało. Z głośnika ponownie dobiegły niezrozumiałe słowa komunikatu Tani (obiecał sobie, że to wykorzysta jako temat żartów, kiedy będzie już po wszystkim). Czas płynął teraz bardzo wolno. Po chwili przestał spoglądać na zegarek, bo trudno mu było uwierzyć w jego wskazania. Cyfry zmieniały się tak powoli, że wyobraził sobie jakąś einsteinowską pętlę czasu, w której się znaleźli.

A potem stało się coś jeszcze bardziej niepojętego. Najpierw to go rozbawiło, a potem odrobinę oburzyło. Otóż Żenia usnęła. Niezupełnie w jego ramionach, ale przecież w jego łóżku.

Była to naturalna reakcja - napięcie musiało ją wyczerpać, organizm domagał się swoich praw. Floyd również poczuł zmęczenie, prawie jak po stosunku; to podwójne spotkanie wyczerpało go emocjonalnie. Walczył ze snem...

.. Zapadał się coraz niżej... i niżej... i niżej, aż wszystko się skończyło. Statek ponownie znalazł się w kosmosie, tam, gdzie było jego miejsce. Floyd i Żenia odpływali od siebie.

Nigdy już nie będą tak blisko, ale pozostanie im ten szczególny rodzaj czułości, którym nie mogli podzielić się z nikim.

Rozdział piętnasty

Ucieczka od Jowisza

dy Floyd znalazł się wreszcie na pokładzie obserwacyjnym - dla porządku: kilka minut po Żeni - Jowisz oddalał się od statku. Było to jednak złudzenie wynikające z wiedzy, a nie z obrazu na ekranie. Dopiero co wynurzyli się z atmosfery i planeta w dalszym ciągu zajmowała większą część nieba.

Stali się teraz — zgodnie z planem - więźniami Jowisza. Przez ostatnią godzinę celowo wytracili szybkość, która mogłaby wynieść ich poza granice Układu Słonecznego. Krążyli teraz po elipsie, klasycznej orbicie Hohmanna, która przebiegała między Jowiszem a Io na wysokości trzystu pięćdziesięciu tysięcy kilometrów. Jeśli nie zdołają ponownie odpalić silników, „Leonów” pozostanie na swojej orbicie, krążąc wokół Jowisza z prędkością jednego obrotu na dziewiętnaście godzin. „Leonów” był teraz najbliższym satelitą planety, ale nie na długo. Za każdym razem, gdy zbliżali się do atmosfery, tracili wysokość. Gdyby nie odlecieli, „Leonów” w przewidywalnej przyszłości runąłby na Jowisza kończąc swój żywot.

Floyd nigdy nie lubił wódki, ale tym razem chętnie przyłączył się do wspólnego toastu za zdrowie projektantów statku i za sir Izaaka Newtona. Po pierwszym kieliszku Tania stanowczo zamknęła butelkę w szafce. Mieli jeszcze dużo pracy.

Nagły odgłos wybuchów zaskoczył wszystkich, mimo że znali jego przyczynę. Poczuli lekki wstrząs. Kilka sekund później na ekranie pojawił się rozżarzony dysk, który koziółkując odpływał od statku.

- Spójrzcie - krzyknął Maks - latający spodek! Kto ma kamerę?

W śmiechu, który ich ogarnął, wyraźnie brzmiała nuta histerycznej ulgi. Radość przerwał poważny głos dowódcy.

- Żegnam starą, dobrą osłonę termiczną. Wspaniale wykonała swoje zadanie.

- Cóż za strata! - powiedział Sasza. - Zostało jeszcze kilka ładnych ton. Ile dodatkowego ładunku mogliśmy zabrać!

- Jeśli na tym polega dobra, konserwatywna rosyjska technologia - odpowiedział Floyd - popieram ją ze wszystkich sił. Lepiej mieć kilka ton za dużo niż jeden miligram za mało.

Wszyscy wyrazili aprobatę wypowiedzi Floyda, a odpalona osłona termiczna zmieniała tymczasem kolor na żółty, później czerwony i w końcu stała się tak czarna jak otaczająca ją przestrzeń. Po kilku kilometrach zupełnie stracili ją z oczu i tylko nagłe zaciemnienia odległych gwiazd dawały znać o jej istnieniu.

- Wstępny test orbity zakończony - zameldował Wasilij. - Jesteśmy dziesięć metrów na sekundę w prawo od właściwego wektora. Nieźle, jak na pierwszy raz.

Odetchnęli z ulgą, słysząc tę wiadomość. Kilka minut później Wasilij przekazał kolejny komunikat.

- Zmiana położenia i korekta kursu. Delta v sześć metrów na sekundę. Za minutę włączę silniki na dwadzieścia sekund.

Znajdowali się tak blisko Jowisza, że trudno było uwierzyć, iż statek wszedł na orbitę i krąży wokół planety. Równie dobrze mogli lecieć na wysokim pułapie samolotem, który dopiero co wynurzył się z morza chmur. Nie istniał żaden punkt odniesienia. Z łatwością mogli sobie wyobrazić, że pozostał za nimi ziemski zachód słońca. Czerwienie, róże i fiolety Jowisza wzmagały to złudzenie.

Złudzenie, ponieważ nic tutaj nie miało żadnego związku z Ziemią. Kolory, które podziwiali, nie pochodziły od Słońca, były dziełem olbrzymiej planety. Obce były też chmury gazowe: metan, amoniak, węglowodory mieszały się w kotle wodoro-helowym. Ani śladu tlenu, którym oddychają ludzie.

Chmury przemieszczały się od horyzontu po horyzont w równoległych pasmach, które niekiedy łamały się w przypadkowych wirach i fałdach. Tu i ówdzie prądy jaśniejszych gazów zniekształcały wzór. Floyd dostrzegł także ciemną krawędź gigantycznego cyklonu, którego dolna część sięgała niezmiernych głębini Jowisza.

Zaczął szukać Wielkiej Czerwonej Plamy, by nagle zdać sobie sprawę z własnej ograniczoności. Przecież cały krajobraz chmur, który widział poniżej, mógł być jedynie drobną częścią ogromnej Plamy.

89

Równie dobrze mógłby próbować ujrzeć Stany Zjednoczone z samolotu lecącego nisko nad Kansas.

- Korekta zakończona. Jesteśmy na orbicie przechwyrywania Io. Czas przybicia: osiem godzin i pięćdziesiąt pięć minut.

„Mniej niż dziewięć godzin na odlot z Jowisza i spotkanie z niewiadomym - pomyślał Floyd. - Uciekliśmy olbrzymowi, ale w porównaniu z tym, co nas czeka, był on tylko słupem milowym na drodze ku nieznanemu. A jeśli przetrwamy, będziemy musieli tu wrócić. Potrzebujemy siły Jowisza na powrót do domu”.

Rozdział szesnasty

Prywatna linia

- Cześć, Dmitrij. Mówi Woody. Przełączam się na kanał drugi za piętnaście sekund... Cześć, Dmitrij. Pomnóż kanał trzeci i czwarty, wyciągnij z tego pierwiastek sześcienny, dodaj pi do kwadratu i użyj najbliższej liczby całkowitej jako kanału piątego. Jeśli wasze komputery nie są milion razy szybsze od naszych - a jestem cholernie pewny, że nie są - nikt nie rozszyfruje pasma, na którym rozmawiamy, zarówno z twojej, jak i z mojej strony. Nie jest wykluczone, że będziesz musiał się tłumaczyć, ale ty zawsze byłeś w tym dobry.

Przy okazji, moje jak zwykle dobrze poinformowane źródła donoszą, że się wam nie udało przekonać starego Andrieja, by zrezygnował. Słyszałem, że wasza delegacja miała jeszcze mniej szczęścia niż inne. Dobrze jest mieć stałego przewodniczącego. Przyjmij moje kondolencje, ale Akademia zasłużyła na to. Wiem, że ma już ponad dziewięćdziesiąt lat i zaczyna być odrobinę... uparty. Ale nie mogę wam pomóc, chociaż jestem głównym światowym, co ja mówię - wszechświatowym specjalistą od bezbolesnego usuwania naukowców w zaawansowanym wieku.

Czy masz pojęcie, że jestem jeszcze trochę pijany? Zafundowaliśmy sobie małe przyjęcie po spotkaniu... cholera, po spotkaniu z „Discovery”. Oprócz tego powitaliśmy dwóch nowych członków załogi. Chandra nie wierzy w alkohol, bo mu się zdaje, że po wypiciu kropelki stanie się bardziej ludzki. Za to Walter Curnow pił za nich obu. Jedynie Tania nie tknęła kieliszka, tak zresztą, jak można było się spodziewać.

Moi bracia Amerykanie — do diabła, mówię niczym polityk — wyszli ze stanu hibernacji bez żadnych problemów i obydwaj aż palą

91

się do roboty. Wszyscy musimy się spieszyć. Ucieka czas i „Disco-very” jest w bardzo złym stanie. Cały kadłub, który kiedyś był biały jak śnieg, żółkł i poczerniał.

Wszystko to za sprawą Io, oczywiście. „Discovery” zszedł na wysokość trzech tysięcy kilometrów, a co kilka dni jeden z wulkanów Io wyrzuca w przestrzeń kilka megaton siarki. I choć oglądałeś filmy, nie możesz sobie wyobrazić, co to znaczy wisieć nad tym piekłem. Z radością stąd odlecę, chociaż to, co czeka nas dalej, może okazać się jeszcze gorsze.

W 2006 leciałem nad Kilauea podczas erupcji i bałem się, ale w porównaniu z tym, co mamy tutaj, Kilauea jest niczym, całkowicie niczym. W tej chwili jesteśmy po nocnej stronie i wszystko wygląda jeszcze gorzej. Widzi się wystarczająco dużo, by móc wyobrazić sobie resztę. Chyba już nigdy nie będę tak blisko piekieł jak teraz...

Niektóre z siarczanych jezior są tak gorące, że aż świecą, ale większość światła pochodzi z wyładowań elektrycznych. Co kilka minut cały krajobraz eksploduje, jak gdyby ktoś używał lampy błyskowej. Nie jest to wcale takie złe porównanie: miliony amperów przepływają między Jowiszem a Io, no i mamy wtedy wyładowanie. Jest to największa błyskawica w całym Układzie Słonecznym, a wtóruje jej połowa naszych bezpieczników.

Właśnie dostrzegłem nową erupcję na linii dnia z nocą. Widzę olbrzymią chmurę, która wspina się w naszym kierunku i w kierunku Słońca. Nie sądzę, aby zdołała dotrzeć na naszą wysokość, a jeśli nawet, to nic nam nie grozi z jej strony. Wygląda jednak okropnie, jak potwór, który chce nas pożreć.

Zaraz gdy tu dolecieliśmy, zdałem sobie sprawę, że Io coś mi przypomina. Zastanawiałem się

nad tym kilka dni, później musiałem jeszcze konsultować się z archiwum misji, bo nasza biblioteka nie miała niestety tego, o co mi chodziło. Pamiętasz, jak pierwszy raz pokazałem ci w Oksfordzie - jakimi dzieciakami byliśmy wtedy! - Władcę pierścieni? To to kraina Mordor, możesz sprawdzić w trzeciej części. Jest tam taki fragment o „potokach stopionej skały... które wiły się torując sobie drogę przez kamienistą równinę, aż wreszcie ochłodzone zastygały w dziwne kształty, niby potworne smoki, wyplute z głębi udręczonej ziemi”. Wspaniały opis. Ciekawe, skąd Tolkien wiedział, jak wygląda to, i to ćwierć wieku przedtem, zanim ktokolwiek mógł zobaczyć zdjęcie tego księżycy? A mówi się, że przyroda nie naśladuje sztuki!

92

Przynajmniej nie musimy tutaj lądować. Nie sądzę, aby nawet nasi świętej pamięci chińscy koledzy zdecydowali się na taki krok. Ale może kiedyś i to stanie się wykonalne. Są tutaj regiony, które wyglądają całkiem stabilnie, nie zalewa ich w każdym razie morze siarki.

Kto by pomyślał, że przelecimy taki kawał drogi do Jowisza, największej planety, a potem całkowicie go zignorujemy. Przynajmniej tak jest do tej pory. Kiedy nie patrzymy na to czy „Discovery”, myślimy o... obiekcie.

Znajduje się w odległości dziesięciu tysięcy kilometrów, dokładnie w punkcie libracji, ale gdy patrzę na niego przez główny teleskop, wydaje się tak blisko, że chciałoby się wyciągnąć rękę i go dotknąć. Nie ma na nim żadnej skazy, nie mogę więc ocenić jego wymiarów, ale jeśli dobrze myślę, ma mniej więcej kilka kilometrów długości, i jeśli jest to ciało stałe, musi ważyć miliardy ton.

Ale czy rzeczywiście jest stałe? Nie daje prawie wcale radarowego echa, nawet w pozycji na wprost nas. Widzimy go jedynie jako czarny zarys na tle chmur Jowisza, od którego dzieli nas trzysta tysięcy kilometrów. Pomijając wymiary, wygląda zupełnie tak samo jak Monolit, który wykopaliliśmy na Księżycu.

Jutro wchodzimy na pokład „Discovery” i nie wiem, kiedy znowu będę miał czas, by z tobą rozmawiać. Ale zanim skończę, chciałbym ci powiedzieć, stary przyjacielu, coś jeszcze.

Chodzi o Caroline. Ona nigdy nie chciała zrozumieć, dlaczego muszę lecieć, i chyba nigdy mi tego nie wybaczyła. Dla niektórych kobiet miłość nie jest tylko jedną z tych rzeczy. Jest dla nich po prostu wszystkim. I może mają rację... W każdym razie, już za późno na dyskusje.

Spróbuj ją rozweselić, jeśli będziesz miał chwilę czasu. Mówi mi, że chce przenieść się na kontynent. Obawiam się, że jeśli to zrobi, to...

Jeżeli dodzwonisz się do niej, pociesz ją, a szczególnie Chrisa. Tęsknię za nim bardziej, niż mogę się przyznać.

Jeśli wujek Dmitrij powie mu, że tata go ciągle kocha, to uwierzy. Powiedz im, że wrócę do domu najszybciej, jak będę mógł.

Rozdział siedemnasty

Wejście na „Discovery”

Nawet w najbardziej sprzyjających warunkach nie jest łatwo wejść na porzucony statek. W rzeczy samej, może się to okazać bardzo niebezpieczne.

Walter Curnow znalazł tę abstrakcyjną formułę. Nigdy jednak nie miał okazji jej sprawdzić, dopóki nie zobaczył stumetrowej konstrukcji „Discovery” obracającej się bezładnie w przestrzeni, w bezpiecznej odległości od „Leonowa”. Przed wielu laty tarcie spowodowało zatrzymanie wirówki „Discovery”, przenosząc jednocześnie jej prędkość kątową na cały statek. Obecnie obracał się wokół własnej osi niczym wyrzucona w powietrze wielka batuta kapelmistrza orkiestry wojskowej.

Ich pierwsze zadanie polegało na wstrzymaniu tego obrotu, gdyż sprawiał on, że statek był nie tylko niesterowny, ale i niedostępny. Nakładając w służbie powietrznej skafander i patrząc na Maks Brajlowskiego, Curnow jak rzadko kiedy czuł się niekompetentny, a nawet gorszy. Zadanie, które mieli wykonać, nie należało do zakresu jego obowiązków. Kilkakrotnie usiłował to wyjaśnić, mówiąc ponuro: „Jestem inżynierem kosmicznym, a nie kosmiczną małpą”. Ktoś jednak musiał wykonać tę pracę. Tylko on posiadał odpowiednie umiejętności, by wyrwać „Discovery” z potrzasku lo. Maks i jego koledzy, posługując się nie znanymi im przyrządami i diagramami, z pewnością nie daliby sobie rady. Przywrócenie gotowości operacyjnej statku trwałoby za długo, podczas gdy „Discovery” coraz bardziej zbliżał się do siarkowego morza lo.

- Chyba się nie boisz? - zapytał Maks, kiedy wkładali hełmy.

94

- Nie na tyle, by zanieczyścić skafander, ale boję się. Maks zakasłał.

- Myślę, że twój strach pasuje w sam raz do naszej pracy. Ale nie martw się, dowiozę cię tam w jednym kawałku na... Jak wy to nazywacie?

- Miotła. Bo jeżdżą na niej wiedźmy.

- No tak. Jeździłeś już na niej?

- Kiedyś próbowałem, ale mi uciekła, i wszyscy uważali, że było to cholernie śmieszne.

Istnieją zawody, które stworzyły unikalne i tylko sobie właściwe narzędzia: robotnicy portowi udoskonalili hak, garncarze - wirujące koło, murarze wynaleźli kielnię, a geolodzy wymyślili kilof. Ludzie, którzy spędzali większość czasu na konstrukcjach w stanie nieważkości, wynaleźli... miotłę.

Wyglądała bardzo prosto. Była to rura o długości jednego metra, miała podpórkę na nogi na jednym końcu i pętlę uchwytu na drugim. Po naciśnięciu guzika zwiększała swoją długość pięcio- lub sześciokrotnie. Wewnętrzne teleskopy umożliwiały wykonywanie najbardziej skomplikowanych manewrów. Podpórka na nogi mogła w razie potrzeby służyć za kleszcze lub hak. Rurę wyposażono w wiele innych urządzeń, wyglądała także na łatwą w obsłudze, co niestety było zwodnicze.

Pompy powietrzne zakończyły pracę. Rozjarzył się napis WYJŚCIE. Otworzyły się zewnętrzne drzwi służby i powoli wypłynęli w próżnię.

„Discovery” koziółkował w odległości dwustu metrów orbitując wokół lo, który zajmował teraz połowę nieba. Jowisz znajdował się po drugiej stronie satelity. Nie przypadkiem wybrali taką konfigurację planety i jej księżycy: lo służył za tarczę, która chroniła przed prądem energetycznym łączącym obydwie ciała. Mimo to poziom promieniowania był niebezpiecznie wysoki. Mieli mniej niż piętnaście minut na znalezienie schronienia.

Tuż po wyjściu Curnow stwierdził, że skafander nie bardzo na niego pasuje.

- Na Ziemi leżał na mnie jak ulał. A teraz czuję się jak w garniturze po starszym bracie.

- To zwykła rzecz - powiedziała Katierina Rudenko przez radio. - Podczas hibernacji straciłeś dziesięć kilogramów. I wcale nie wyszło ci to na złe. Niestety po obudzeniu znów przytyłeś o trzy kilo.

Curnow nie zdążył wymyślić odpowiedzi, gdy poczuł delikatne szarpnięcie, które oderwało go od „Leonowa”.

95

- Spokojnie, Walter - powiedział Brajlowski. - Nie używaj swoich silników, nawet gdybyś zaczął koziółkować. Pozwolisz, że ja będę czuwał nad wszystkim.

Curnow dostrzegł obłoczki pary wydobywające się z silników umieszczonych na plecach Maksa. Popłynęli w kierunku „Discove-ry”. Każde pojawienie się pary oznaczało szarpnięcie linki holowniczej i Curnow wtedy zbliżał się do Brajlowskiego, lecz nigdy na tyle, by się z nim zderzyć. Chroniło ich przed kolizją kolejne szarpnięcie. Curnow czuł się jak jo-jo - znów modne na Ziemi - wędrujące w górę i w dół na sznurku.

Był tylko jeden bezpieczny sposób zbliżenia się do opuszczonego statku: należało podejść do niego wzdłuż osi, wokół której powoli się obracał. Środek obrotu „Discovery” znajdował się mniej więcej w połowie statku, obok głównego zespołu antenowego. Tam właśnie zmierzał Brajlowski, ciągnąc niecierpliwego partnera, którego głównym zmartwieniem było w tej chwili, w jaki sposób Maks ich zatrzyma.

„Discovery” wyglądał teraz jak olbrzymi dzwon, przesłaniający całe niebo przed nimi. Pełny obrót statku wokół własnej osi trwał kilka minut, mirno to szczyt i koniec „Discovery” poruszały się ze znaczną szybkością. Curnow starał się nie zwracać na nie uwagi i skoncentrował się na nieruchomym środku, do którego nieuchronnie się zbliżali.

- Rozpoczynam manewry końcowe - powiedział Brajlowski. - Nie pomagaj mi i nie dziw się niczemu.

Co on przez to rozumie? — zastanawiał się Curnow, starając się niczemu nie dziwić.

Wszystko zajęło im około pięciu sekund. Brajlowski uruchomił miotłę, która wyciągnęła się na długość czterech metrów i dotknęła kadłuba statku. Zaraz po tym dotknięciu zaczęła się kurczyć. Jej wewnętrzne amortyzatory przejmowały moment pędu Brajlowskiego. Curnow sądził, że Maks zatrzyma się przy wspornikach anteny, nagle jednak miotła wydłużyła się, odrzucając Rosjanina od statku z taką samą prędkością, z jaką zbliżał się do niego. Maks przepłynął obok Cumowa w odległości kilku centymetrów i poszybował w przestrzeń. Wystraszony Amerykanin zdążył tylko dostrzec szeroki uśmiech na twarzy kolegi.

Sekundę później poczuł szarpnięcie liny holowniczej i zaczął hamować dzięki manewrowi Maksa. Ich prędkości o przeciwnych wektorach zrównoważyły wspólny moment pędu. Zatrzymali się przed statkiem. Wystarczyło sięgnąć ręką do najbliższego uchwytu.

96

- Próbowales kiedyś bawić się w rosyjską ruletkę? — spytał Cur-now, gdy wreszcie złapał oddech.

- Nie, a co to jest?

- Kiedyś ci pokażę. Zabija nudę prawie tak dobrze jak to.

- Mam nadzieję, Walterze, że nie proponujesz Maksowi czegoś niebezpiecznego - w głosie doktor Rudenko brzmiało prawdziwe zaniepokojenie.

Curnow postanowił nie odpowiadać. Do Rosjan czasem nie trafiało jego specyficzne poczucie humoru.

- Prawie dałem się nabrać - wyszeptał do siebie, tak by nikt go nie słyszał.

Teraz, kiedy mocno trzymali się orbitującego wraka statku, nie czuli już jego obrotów. Curnow przyjrzał się metalowym płytom na wprost swoich oczu, następnie przeniósł wzrok na drabinę przymocowaną wzdłuż smukłego korpusu statku. Sferyczny moduł dowodzenia na samym końcu korpusu wydawał się odległy o kilka lat świetlnych. W rzeczywistości dzieliło ich od niego pięćdziesiąt metrów.

- Pójdę pierwszy - powiedział Brajlowski, skracając linię holowniczą. - Pamiętaj, że przez cały czas będziemy schodzić w dół. Przytrzymuj się jedną ręką. Tam na dole ciężenie wynosi jedną dziesiątą g. To proste jak... Jak się to u was mówi... chu...?

- Chciałeś powiedzieć: drut. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, zacznę schodzić nogami w dół. Nigdy nie lubiłem łaźnić po drabinie w odwrotnej pozycji, nawet przy minimalnym ciężeniu.

Curnow zdawał sobie sprawę, jak bardzo ważny był ów ton przyjacielskiego podkpiwania. Gdyby nie to, obydwaj mogli pogрузić się w ponurych myślach i rozpamiętywaniu powagi własnej sytuacji. Znajdowali się przecież miliard kilometrów od Ziemi i mieli właśnie wejść na pokład najszlachetniejszego opuszczonego statku w całej historii badań kosmicznych. Kiedyś pewien reporter przyrównał „Discovery” do „Mary Celeste” epoki podboju przestrzeni i nie było to wcale złe porównanie. Mimo wszystko ich sytuacja była wyjątkowa. Nawet gdyby zignorowali koszmarny księżyc, wypełniający połowę nieba, jego obecność czuło się dosłownie pod ręką. Za każdym razem, gdy chwyтали szczeble drabiny, spod rękawic unosiły się tumany siarkowego pyłu.

Brajlowski miał rację. Ciężenie wywołane obrotami statku dało się łatwo pokonać. Curnow szybko się przyzwyczał, a nawet ucieszył, ponieważ ciężenie przywracało mu poczucie kierunku.

Wreszcie, całkiem nieoczekiwanie, dotarli do dużej, odbarwionej kuli modułu dowodzenia „Discovery”. Kilka metrów od nich znaj-

97

7-2010 Odyseja kosmiczna

dował się zawór bezpieczeństwa - ten sam, którym się posłużył Bow-man wchodząc siłą na statek opanowany przez Hala.

- Chyba uda się nam wejść - zamruczał Brajlowski. - Szkoda byłoby pokonać taki kawał drogi i zastać drzwi zamknięte.

Starł rękawicą siarkowy pył, odsłaniając tablicę z napisem STAN ŚLUZY POWIETRZNEJ.

- Oczywiście, nie działa. Mam spróbować?

- Nie zaszkodzi, ale to nic nie da.

- Masz rację. Spróbujmy ręcznie...

Zafascynowani obserwowali pojawienie się cienkiej jak włos szpary w krzywiźnie kadłuba. Wydobył się z niej obłoczek pary i skrawek papieru. Może jakaś ważna wiadomość? Nigdy się nie dowiedzą. Papier poszybował w przestrzeń, obracając się na wszystkie strony, i po chwili zniknął gdzieś na tle gwiazd.

Brajlowski przekręcał ręcznie zawór otwierania śluzy i po pewnym czasie ich oczom ukazała się ciemna, odpychająca jaskinia włazu. Curnow miał nadzieję, że przynajmniej działają światła awaryjne. Nic z tego.

- Walter, ty jesteś teraz szefem. Witam na terytorium USA.

Curnow przekroczył właz. Wnętrze statku nie wyglądało zachęcająco. Omiótł je światłem latarki przymocowanej do hełmu. Na pierwszy rzut oka wszystko było w porządku. „Czego zresztą mogłem się spodziewać?” - zapytał sam siebie ze złością.

Ręczne zamykanie śluzy zajęło im więcej czasu niż jej otwarcie. Nie mieli jednak wyboru,

dopóki nie uruchomi się zasilania. Po przykręceniu zasuw Curnow zaryzykował spojrzenie na oszalałą panoramę na zewnątrz statku.

W pobliżu równika otwierało się jezioro lśniące błękitem. Był pewien, że nie widział go przed kilkoma godzinami. Oślepiające żółte płomienie, charakterystyczne dla płonącego sodu, tańczyły wzdłuż jego brzegów. Całą nocną stronę księżycą rozjaśniał upiorny blask wyładowań plazmowych, które świeciły niczym zorze lo. „Pożywka dla przyszłych koszmarów” - pomyślał Curnow. I jakby tego było jeszcze nie dość, pojawił się kolejny obraz godny pędzla oszalałego surrealisty. Z płonących głębin księżycy wzbijał się olbrzymi zakrzywiony róg - widok, jaki śmiertelnie ranny torreador mógłby ujrzeć w chwili prawdy.

Nad lo wschodził Jowisz, witając zmierzające po wspólnej orbicie statki.

Rozdział osiemnasty

Ratunek

W momencie gdy za Curnowem i Brajlowskim zamknęła się śluza, zmieniły się ich role. Curnow był teraz u siebie, a Maks czuł się obco w labiryncie mrocznych korytarzy i tuneli. Teoretycznie powinien znać rozkład statku, wiedza ta jednak oparta była tylko na badaniach planów i projektów pojazdu. Natomiast Curnow spędził całe miesiące przy budowie nie ukończonego jeszcze bliźniaka „Disco-very”. Znał więc statek od podszewki.

Posuwali się wolno, ta część modułu bowiem przewidziana była do pracy w stanie nieważkości. Nie kontrolowany obrót statku wywoływał teraz sztuczne ciężenie, które mimo że nieznaczące, działało w najmniej odpowiednim kierunku.

- Pierwszą rzeczą, jaką musimy zrobić - zamruczał Curnow po przejściu kilku metrów i bezskutecznych poszukiwaniach uchwytu — jest zatrzymanie tego cholernego obrotu. Ale nie zrobimy tego bez zasilania. Mam nadzieję, że Dave Bowman zabezpieczył wszystkie systemy przed wyjściem.

- Jesteś pewny, że wyszedł ze statku? A jeśli tak, to może chciał wrócić?

- Masz rację. Nigdy się nie dowiemy. Obawiam się, że nawet on nie wiedział.

Weszli do pomieszczenia przeznaczonego dla kapsuł kosmicznych. W garażu „Discovery” normalnie powinny znajdować się trzy sferyczne moduły jednoosobowe, służące do prac poza statkiem. Znaleźli tam tylko kapsułę numer 3. Numer 1 przepadł podczas tajemniczego wypadku, w którym zginął Frank Poole. Numer 2 był z Bow-manem - gdziekolwiek Dave mógł teraz przebywać.

99

W garażu znajdowały się również dwa skafandry przypominające, niezbyt szczęśliwie, dwa bezgłowe ciała. Wyobraźnia Brajlowskiego, pracująca teraz na pełnych obrotach, podsuwała mu najbardziej fantastyczne wyobrażenia postaci, które mogą wyskoczyć ze skafandrów.

Szcęściem poczucie humoru Cumowa, pojawiające się w nieoczekiwanych momentach, zawładnęło nim i teraz:

— Maks - powiedział śmiertelnie poważnym tonem - bez względu na to, co się stanie, nie przeraż się kota mieszkającego na statku.

Brajlowski dał się nabrać. Już prawie otwierał usta, by powiedzieć: „Dobrze, będę uważał”, gdy pojął, że to żart. Niewiele brakowało, a byłby się przyznał do cholernej słabości. Zamiast tego powiedział:

— Chciałbym spotkać idiotę, który umieścił ten film w naszej bibliotece.

— To dzieło Katieriny. Ona zawsze sprawdza naszą równowagę psychiczną. W każdym razie nieźle się uśmiełaś podczas seansu w zeszłym tygodniu.

Brajlowski milczał. Uwaga Cumowa była zgodna z prawdą, ale oglądali film siedząc wśród przyjaciół, na dobrze znanym, ciepłym i jasnym pokładzie „Leonowa”. Teraz znaleźli się na ciemnym, lodowatym statku, opuszczonym i pełnym duchów. Nawet ktoś zupełnie racjonalnie myślący mógł sobie z łatwością wyobrazić niepokonaną obcą bestię przemierzającą korytarze w poszukiwaniu kolejnej ofiary.

To wszystko twoja wina, babciu - niech ci syberyjska tundra lekką będzie - to ty opowiadałaś mi te wszystkie potworne bajki. Zamykam oczy i widzę chatkę baby-jagi, stojącą w lesie na kurzej nóżce...

Dość tych bzdur. Jestem młodym, zdolnym inżynierem, przed którym stoi najważniejsze w życiu

zadanie. Nie wolno mi ujawnić przed tym Amerykaninem, że boję się niczym dziecko...

Niepokoili go także hałasy. Było ich za wiele i choć wydawały się bardzo odległe, Maks Brajlowski, przyzwyczajony do pracy w absolutnej ciszy, denerwował się słysząc trzaski i zgrzyty wywoływane z pewnością wpływem ciepła z pobliskiego łoża. Słońce było bardzo daleko, a jednak występowała duża różnica temperatury pomiędzy obszarami światła i cienia.

Doskwierał mu także skafander. Normalnie na zewnątrz kombinezonu panowała próżnia, tutaj na statku było inaczej: ciśnienie istniało zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz skafandra. Maks czuł, że wszystkie siły działające na jego stawy zachowują się inaczej. Nie

100

[mógł poruszać się tak, jak by sobie tego życzył. Czuł się niczym 1 żółtodziób, ktoś rozpoczynający trening kosmiczny. Koniec z tym -! powiedział do siebie ze złością. Czas się wziąć do jakiejś roboty...

- Walter, chciałbym sprawdzić atmosferę.

- Ciśnijcie w porządku, temperatura, no, no, sto pięć poniżej zera.

- Ładna rosyjska zima. Ale powietrze w skafandrze ochroni mnie przed zimnem.

- W porządku. Zaczynaj, ale pozwolisz, że oświetlę cię latarką i będę sprawdzał, czy nie robisz się niebieski. I mów przez cały czas.

Brajlowski odpiął klamrę i uniósł przednią część hełmu. Momentalnie skurczył się w sobie, gdy jego policzków dotknęła lodowata ręka mrozu. Zaczął ostrożnie wachać, a potem głębiej wciągnął powietrze.

- Zimno, ale płuca mi nie zamarzają. Czuję jakiś dziwny zapach -kwaśny... zgniły... jak gdyby coś... O nie!

Brajlowski szybko zatrzasnął wizjer hełmu. Był bledszy niż zwykle.

- O co chodzi, Maks? - zapytał w podnieceniu Curnow.

Brajlowski nie odpowiedział. Starał się zapanować nad własnym organizmem, gdyż bliski był tego strasznego i zawsze niebezpiecznego wypadku, jakim są torsje w skafandrze kosmicznym.

Zapadła długa cisza. Pierwszy odezwał się Curnow:

- Wiem. Ale zapewniam cię, że się mylisz. Poole zginął w kosmosie. A Bowman, meldował, że... pozbył się tych, którzy zmarli w stanie hibernacji. Jesteśmy przekonani, że tak zrobił. Tutaj nie ma nikogo. Poza tym jest zimno... - chciał dodać: „Jak w kostnicy”, lecz w porę ugryzł się w język.

- Ale przypuśćmy - wyszeptał Brajlowski - tylko przypuśćmy, że Bowman zdołał powrócić na statek i umarł tutaj?

I znowu cisza, jeszcze dłuższa niż poprzednio, a potem Curnow spokojnie, nie śpiesząc się otworzył wizjer.

Skrzywił się, gdy lodowate powietrze wtargnęło mu do płuc, i z o-brzydzeniem pokręcił nosem.

- Rozumiem, o co ci chodzi. Ale pozwalasz własnej wyobraźni sprowadzać się na manowce. Zakładam się dziesięć do jednego, że ten zapach pochodzi z mesy. Prawdopodobnie jakieś mięso, które zepsuło się, nim „Discovery” zamarzł. Bowman był zbyt zajęty, żeby dbać o czystość na statku. Byłem w wielu starokawalerskich domach, które śmierdziały gorzej niż ten.

- Może masz rację, chciałbym, żebyś miał.

101

- Oczywiście, że mam. A nawet jeśli nie, to, do cholery, cóż to za różnica? Mamy robotę, Maks. Jeśli Dave Bowman jest tutaj, to nie nasza sprawa, czyż nie tak, Katierino?

Nie usłyszeli odpowiedzi naczelnego lekarza. Powędrowali za daleko w głąb statku i połączenie radiowe z „Leonowem” zostało przerwane. Zdani byli tylko na siebie. Maks poczuł, że

wraca mu pogoda ducha. Praca u boku Waltera była zaszczytem. Amerykanin na pierwszy rzut oka wydawał się miękki i rozkojarzony, ale w rzeczywistości był profesjonalistą w każdym calu i w razie potrzeby potrafił być nieugięty.

Razem przywrócą życie „Discovery”, a może nawet sprowadzą statek na Ziemię.

Rozdział dziewiętnasty

Operacja „Wiatrak”

Ody „Discovery” rozjarzył się wszystkimi światłami, gdy zapłonęły lampy nawigacyjne i wewnętrzne, na pokładzie „Leonowa” rozległ się okrzyk, który prawdopodobnie można było słyszeć w próżni między dwoma statkami. Okrzyk triumfu wkrótce zamienił się w jęk rozczarowania, gdy światła na statku zgasły.

Przez następne pół godziny nic się nie działo. A potem okna obserwacyjne pokładu dowodzenia „Discovery” rozjaśnił delikatny purpurowy blask świateł awaryjnych. Kilka minut później z pokładu „Leonowa” dostrzeżono sylwetki Cumowa i Brajlowskiego poruszające się wewnątrz statku, pokrytego pyłem siarkowym.

- Halo, Maks, Walter, czy nas słyszycie? - wołała przez radio Tania Orłowa.

Obydwie sylwetki pomachały rękami, lecz przez radio nie dotarła żadna odpowiedź. Byli za bardzo zajęci, żeby ucinać sobie przyjacielskie pogawędki. Obserwatorzy na „Leonowie” czekali cierpliwie, aż zapalą się poszczególne światła - z których część natychmiast gasła - otworzą się i zamkną drzwi garażu kapsuł, a potem główna antena odwróci się o dziesięć stopni.

- Halo, „Leonów” — powiedział w końcu Curnow. — Przepraszam za zwłokę, ale byliśmy trochę zajęci. Podaję wstępną ocenę stanu „Discovery” na podstawie tego, co zobaczyłem do tej pory. Statek jest w znacznie lepszym stanie, niż się spodziewałem. Kadłub jest cały, przecieki nieznaczne, ciśnienie powietrza wynosi osiemdziesiąt pięć procent nominalnego. Da się oddychać, ale trzeba zregenerować powietrze, bo śmierdzi tu jak diabli.

103

- Najlepszą nowiną jest to, że działa zasilanie. Główny reaktor jest stabilny, akumulatory - w dobrym stanie. Niemal wszystkie bezpieczniki są przepalone. Bowman przed opuszczeniem statku zabezpieczył ważniejsze urządzenia. Czeka nas jednak olbrzymia robota ze sprawdzeniem wszystkiego, zanim damy pełne zasilanie.

- Jak długo to będzie trwać, przynajmniej jeśli chodzi o najważniejsze systemy: podtrzymywanie życia i napęd?

- Trudno powiedzieć, pani szyper. Ile mamy czasu do zderzenia?

- Według obecnych ocen co najmniej dziesięć dni. Ale może się to zmienić, w górę albo w dół.

- No tak, jeśli nie wystąpią jakieś niespodzianki, to sądzę, że wyciągniemy „Discovery” z tego piekła na stałą orbitę za, powiedzmy, tydzień.

- Czy potrzebujecie czegoś?

- Nie, radzimy sobie. Teraz idziemy do wirówki, by sprawdzić zawieszenie. Chciałbym ją uruchomić najszybciej, jak się da.

- Wybacz, Walterze, ale czy to konieczne? Ciężenie przydaje się, owszem, ale dawaliśmy sobie radę bez niego.

- Nie chodzi o ciężenie, mimo że przydałoby się nam, nie przeczę. Ważne jest to, że jeśli uda się uruchomić wirówkę, jej obrót zlikwiduje koziółkowanie statku. A wtedy będzie można połączyć „Leonowa” i „Discovery” śluzami powietrznymi, co ułatwi przechodzenie ze statku na statek. Sto razy łatwiej będzie nam pracować.

- Niezły pomysł, Walter, ale chyba nie mówisz poważnie o połączeniu mojego statku z tym.. wiatrakiem. Przypuśćmy, że zatrze się zawieszenie i wirówka puści. Rozerwie nas wtedy na kawałki.

- Zgoda. Porozmawiamy o tym później. Na razie odmeldowuję się.

Przez kolejne dwa dni mieli pełne ręce roboty, pod koniec praktycznie nawet spali w skafandrach, ale udało im się skończyć przegląd „Discovery” i nie wykryli żadnych niespodzianek. Zarówno Agencja Kosmiczna, jak i Departament Stanu odetchnęły z ulgą po otrzymaniu wstępnego raportu, który umożliwił ogłoszenie światu -i nie bez pewnej dozy racji - że „Discovery” nie był porzuconym statkiem, lecz „czasowo unieruchomionym amerykańskim pojazdem kosmicznym”. Nadszedł więc czas uruchomienia pojazdu.

Po włączeniu zasilania najważniejsze stało się powietrze. Nawet bardzo skrupulatne sprzątanie statku nie wystarczyło, by usunąć okropny zapach. Curnow trafnie rozpoznał źródło fetoru: okazała się nim zepsuta żywność w nieczynnej chłodni. Curnow także utrzymywał - z udawaną powagą- że zapach statku wywołuje romantyczne skojarzenia:

104

- Wystarczy mi zamknąć oczy - twierdził - a już widzę, że jestem na statku wielorybniczym. Czy macie pojęcie, jak musiał cuchnąć „Peąuod”?

Wszyscy zgadzali się, że po wizycie na „Discovery” nie trzeba było bujnej wyobraźni, by potwierdzić skojarzenia Cumowa. W końcu jednak rozwiązano problem lub raczej zredukowano go do znośnych granic, usuwając powietrze ze statku. Na szczęście dodatkowe zbiorniki tlenu jeszcze zawierały wystarczający zapas.

Z największym zadowoleniem przyjęto jednak wiadomość o zapasach paliwa na „Discovery”: statek miał dziewięćdziesiąt procent ilości paliwa niezbędnej do powrotu na Ziemię. Wybór amoniaku -zamiast wodoru -jako płynu napędowego silnika plazmowego bardzo się opłacił. Wodór wyparowałby w przestrzeń już przed wielu laty, pomimo izolacji zbiorników i niskiej temperatury na zewnątrz. Amoniak w dalszym ciągu pozostawał w stanie płynnym i było go dosyć, żeby statek mógł bezpiecznie powrócić na orbitę okołoziemską. A już z pewnością na Księżyc.

Najtrudniejszym zadaniem okazało się ustabilizowanie obrotów statku. Sasza Kowalew porównywał Cumowa i Brajlowskiego z Don Kichotem i Sancho Pansą i wyrażał nadzieję, że walka z wiatrakami pierwszej dwójki okaże się skuteczniejsza.

Bardzo ostrożnie, z częstymi przerwami na testy, włączono zasilanie silników wirówki. Olbrzymi bęben zaczął się obracać, pochłaniając zarazem nie kontrolowany ruch statku, trwający od wielu lat. „Discovery” zatrzymał się po serii coraz wolniejszych obrotów. Ostatnie niepewne ruchy statku zlikwidowano za pomocą silników pozycyjnych. „Leonów” i „Discovery” płynęły teraz obok siebie. Przysadzisty, krępy „Leonów”, a obok - długi, smukły „Discovery”.

Przejsie z jednego statku na drugi stało się łatwe i bezpieczne, jednakże kapitan Orłowa nie wyraziła zgody na połączenie. Wszyscy poparli jej decyzję: lo zbliżał się na niebezpieczną odległość i nie wykluczano możliwości porzucenia statku, który z takim wysiłkiem przywracany był do życia.

Tajemniczy do niedawna powód zmiany orbity przez „Discove-ry” stał się zupełnie jasny, co niestety w niczym nie mogło dopomóc. Otóż za każdym razem, gdy statek mijał Jowisza i lo, przepływał przez niewidzialny prąd energetyczny łączący obydwie te ciała - elektryczną rzekę między planetą a jej księżycem. Powstawały wtedy zawirowania, które z kolei zmniejszały prędkość pojazdu, ilekroć przecinał ową rzekę.

105

Nie można było przewidzieć momentu zderzenia, ponieważ siła i natężenie prądu zmieniały się zależnie od niezbadanych wyroków Jowisza. Czasami zdarzały się dramatyczne przypiływy aktywności energetycznej, którym towarzyszyły elektryczne burze i zorze na lo. „Discovery” opadał wtedy o wiele kilometrów i jednocześnie stawał się nieprzyjemnie gorący, dopóki nie ochłodziły go

systemy kontroli termicznej.

Ten niespodziewany efekt wystraszył i zaniepokoił załogę „Leono-wa”. Dopiero po pewnym czasie udało się go wyjaśnić. Każda forma hamowania łączy się z powstaniem ciepła. Prądy powstające w kadłubach „Leonowa” i „Discovery” zamieniły je okresowo w niskonapięciowe piece elektryczne. Nic zatem dziwnego, że część zapasów żywności na „Discovery” na przemian gotowała się i chłodziła...

Zropiały krajobraz lo, który coraz bardziej przypominał ilustrację z książki medycznej, był oddalony zaledwie o pięćset kilometrów, gdy Curnow zaryzykował uruchomienie głównego napędu. „Leonów” pozostawał w bezpiecznej odległości. Z początku nie było żadnego wizualnego efektu - ani dymu, ani ognia, tak charakterystycznych dla chemicznie napędzanych rakiet starego typu. Po pewnym czasie jednak statki zaczęły się oddalać. „Discovery” zwiększył prędkość. Po kilku godzinach ostrożnych manewrów obydwie pojazdy znalazły się o tysiąc kilometrów wyżej. Nadszedł czas krótkiego odpoczynku i przygotowania planu kolejnego etapu misji.

- Wykonałeś wspaniałą robotę, Walter - powiedziała Katierina Rudenko, obejmując potężnymi ramionami wyczerpanego Cumowa.

- Jesteśmy z ciebie dumni.

Niepostrzeżenie złamała kapsułkę pod jego nosem. Obudził się po upływie doby, zły i głodny.

Rozdział dwudziesty

Gilotyna

- Co to jest? - zapytał Curnow z lekkim obrzydzeniem, trzymając w dłoni mały mechanizm. -

Gilotyna na myszy?

- Niezły opis, ale chodzi mi o grubszą zwierzynę - odpowiedział Floyd, wskazując pulsującą strzałkę na ekranie monitora, gdzie widniał skomplikowany diagram.

- Widzisz tę linię?

- Tak, główne zasilanie. I co z tego?

- W tym miejscu zasilanie wchodzi do centralnego procesora Hala. Chciałbym, abyś właśnie tutaj umieścił to urządzenie. Wewnątrz kabla, tak by nie można go było znaleźć bez specjalnych poszukiwań.

- Rozumiem. Zdalne sterowanie, które umożliwi ci wyłączenie Hala w każdej chwili, gdy zechcesz. Bardzo zgrabne. Ostrze wykonane z izolatora, obędzie się więc bez niepotrzebnych spięć, kiedy naciśniesz przycisk. Kto robi takie zabawki, CIA?

- Nieważne. Sterowanie tym urządzeniem znajduje się w mojej kabinie. Chodzi o ten mały, czerwony kalkulator, który zawsze leży na biurku. Naciskasz dziewięć dziewiątek, wyciągasz pierwiastek kwadratowy, wciskasz INT, i to wszystko. Nie mam pewności co do zasięgu, będziemy musieli to sprawdzić, ale dopóki odległość między statkami nie przekracza kilku kilometrów, możemy być pewni, że nam Hal znów nie zwariuje.

- Komu powiesz o tej... rzeczy?

- Cóż, jedyną osobą, przed którą muszę to ukryć, jest Chandra.

- Domyślałem się.

- Ale sam rozumiesz, że im mniej osób o tym wie, mniejsze jest prawdopodobieństwo, że ktoś się wygada. Powiem Tani o istnieniu

107

tego urządzenia. Jeśli wystąpiłoby jakieś zagrożenie, możesz ją poinformować, jak ten aparacik działa.

- Jakie zagrożenie?

- To nie jest mądre pytanie, Walterze. Gdybym wiedział, nie potrzebowałbym tej cholernej rzeczy.

- Chyba masz rację. Kiedy mam zainstalować twoją opatentowaną pułapkę na Hala?

- Gdy tylko będziesz mógł. Najlepiej dziś w nocy, kiedy Chandra będzie spał.

- Żartujesz sobie? Przecież on nigdy nie śpi. Zachowuje się jak matka czuwająca przy chorym dziecku.

- Kiedyś przecież musi wrócić na „Leonowa”. Chyba też jada od czasu do czasu?

- Mam dla ciebie nowinę: ostatnio przeszedł na „Discovery” z przywiązaniem do pasa woreczkiem ryżu. Wystarczy mu to na całe tygodnie.

- W takim razie będziemy musieli użyć słynnych kapsulek nokautujących Katieriny Rudenko. Jeśli udało nam się z tobą, uda się i z Chandrą.

Curnow żartował sobie z Chandry, tak przynajmniej zdawało się Floydowi, chociaż nie był do końca pewien. Inżynier potrafił wygłaszać niestworzone rzeczy z całkiem niewinnym wyrazem twarzy. Minęło dość dużo czasu, zanim Rosjanie się do tego przyzwyczaili. Zaczęli też stosować

samoobronę wybuchając radosnym śmiechem, nawet gdy Curnow zachowywał się poważnie.

Sam Curnow śmiał się, chwalał Bogu, rzadziej aniżeli w czasie pierwszego spotkania z Floydem na promie, kiedy jego dobre samopoczucie podlewał wyśmienity szampan. Floyd obawiał się kolejnego wybuchu dobrego humoru na przyjęciu z okazji spotkania „Di-discovery”, ale pomimo wypitego alkoholu Curnow, o dziwo, pozostał niemal tak poważny jak kapitan Orłowa.

Istniała jednak sprawa, którą Curnow traktował niezwykle poważnie. Chodziło o jego pracę. W czasie podróży z Ziemi był pasażerem. A teraz był jednym z członków załogi.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Zmartwychwstanie

Mamy zamiar obudzić śpiącego olbrzyma- mówił do siebie Floyd. - Jak zareaguje Hal na naszą obecność po tylu latach? Co zapamiętał z przeszłości? Czy będzie wrogiem, czy przyjacielem?" Płynąc tuż za Chandrą przez pozbawiony ciężenia pokład „Disco-very”, Floyd myślał bez przerwy o wyłączniku bezpieczeństwa, który przetestowali i zainstalowali kilka godzin wcześniej. Pilot zdalnego sterowania znajdował się o kilka centymetrów od jego ręki i Floyd z tego powodu czuł się dość głupio. Hal nie był jeszcze połączony z żadnym systemem operacyjnym. Po uruchomieniu będzie jedynie mózgiem pozbawionym ciała, chociaż przywrócone mu zostaną zmysły. Będzie mógł się porozumiewać, ale nie działać. Jak powiedział Curnow: „Najgorsza rzecz, jaką może zrobić, to nas skłąć”.

- Jestem gotów do przeprowadzenia pierwszej próby kapitanie -powiedział Chandra. - Wszystkie brakujące moduły zastąpiliśmy nowymi, programy diagnostyczne przetestowały wszystkie systemy. Całość przedstawia się normalnie, przynajmniej na tym poziomie.

Kapitan Orłowa spojrzała na Floyda, który skinął głową. Chandra nalegał, aby przy uruchomieniu Hala były obecne tylko trzy osoby, i zdawano sobie sprawę, że nawet tak nieliczna publiczność była dla niego kłopotem.

- W porządku, doktorze Chandra -powiedziała kapitan Orłowa, jak zwykle świadoma swoich obowiązków. - Doktor Floyd wyraził zgodę, a zatem możemy zaczynać.

- Muszę wyjaśnić - rozpoczął Chandra głosem, w którym czuło się niechęć - że syntetyzatory mowy i moduł rozpoznawania głosu

109

zostały mocno uszkodzone. Trzeba więc nauczyć go mówić. Na szczęście Hal uczy się miliony razy szybciej niż ludzie.

Palce Chandry zatańczyły na klawiaturze. Napisał kilkanaście słów - raczej bez związku — starając się wymawiać je głośno i wyraźnie, w chwili gdy pojawiały się na ekranie. Te same słowa powracały jak zniekształcone echo z głośnika komputera. Ich brzmienie pozbawione było życia, głos był mechaniczny, bez najmniejszego śladu inteligencji. „To nie może być stary Hal - pomyślał Floyd. -Brzmi jak jedna z tych prymitywnych mówiących zabawek, które pojawiły się w czasach mojego dzieciństwa”.

Chandra nacisnął klawisz POWTÓRZ. Z głośnika popłynęła jeszcze raz cała sekwencja. Dało się jednak zauważyć niewielką poprawę, choć w dalszym ciągu głos brzmiał mechanicznie.

- Słowa, które wypisałem, zawierają podstawowe angielskie fo-nemy. Po dziesięciu powtórzeniach jego głos zabrzmiał normalniej. Nie mam niestety odpowiednich urządzeń, by przeprowadzić pełną terapię.

- Terapię? - zapytał Floyd. - Chodzi panu o to, że... że on ma uszkodzony mózg?

- Nie - odpowiedział szybko Chandra. - Jego obwody logiczne są w doskonałym stanie. Głos jest oczywiście uszkodzony, ale z czasem i to się poprawi. Rozmawiając z nim, starajcie się mówić wyraźnie i sprawdzajcie odpowiedzi na monitorze.

Floyd uśmiechnął się kwaśno do Orłowej i zapytał:

- A co w takim razie z rosyjską intonacją?

- Jestem pewien, że kapitan Orłowa i doktor Kowalew nie będą mieć problemów. Reszta, no

cóż... Będziemy musieli przeprowadzić indywidualne testy i każdy, kto nie zda, zostanie skazany na ograniczenie się do klawiatury.

- Tak, ale mówimy o przyszłości. Obecnie pan jest jedyną osobą, która powinna komunikować się z Halem. Zgoda, kapitanie?

- Zgoda.

Chandra nieznacznie kiwnął głową. Jego palce zajęte były wpisywaniem kolumn słów i cyfr, które pojawiały się na monitorze z taką szybkością, że nikt spośród ludzi nie mógłby ich odczytać. Chandra prawdopodobnie miał pamięć fotograficzną. Jedno spojrzenie wystarczyło, by sobie przyswajał całe strony tekstu.

Floyd i Orłowa mieli właśnie wyjść, zostawiając naukowca sam na sam z komputerem, gdy Chandra podniósł rękę w geście zachęcającym do pozostania. Bardzo powoli - w przeciwieństwie do poprzed-

110

nich ruchów - nacisnął pojedynczy klawisz. Niemal natychmiast rozległ się głos, który nie był już parodią ludzkiej mowy. Wyczuwało się w nim inteligencję, świadomość, a nawet samoświadomość, chociaż na bardzo niskim poziomie.

- Dzień dobry, doktorze Chandra. Mówi Hal. Jestem gotów do pierwszej lekcji.

Na moment zapadła cisza. A potem, jak gdyby wiedzeni wspólnym impulsem, Floyd i Orłowa opuścili pokład.

Heywood Floyd nie wierzył własnym oczom. Doktor Chandra płakał.

Część czwarta

LAGRANGE

Rozdział dwudziesty drugi

Wielki Brat

Co za wspaniała wiadomość o tym małym delfinie! Wyobrażam sobie, jak cieszył się Chris, gdy dumni rodzice przyłączyli z nim do nas do domu. Szkoda, że nie słyszałaś tych wszystkich ochów i achów, gdy pokazywałem reszcie załogi taśmę z nagraniem Chrisa pływającego na grzbiecie to jednego, to drugiego delfina. Rosjanie proponują, by nazwać małego delfina „Sputnik”, co po rosyjsku oznacza „towarzysz” lub „satelita”.

Wybacz, że od tak dawna nie kontaktowałem się z tobą, ale mieliśmy tutaj mnóstwo pracy, o czym zapewne wiesz z wiadomości. Nawet kapitan Orłowa porzuciła marzenia o regularnym rozkładzie godzin. Każdy problem musimy rozwiązywać zaraz, gdy się pojawi. Wszyscy pracują, a śpimy, kiedy już dłużej nie można utrzymać się na nogach.

Sądzę, że mamy prawo do zadowolenia z wykonanej pracy. Obydwa statki znajdują się w pełnej gotowości operacyjnej. Ukończyliśmy też pierwszą rundę testów Hala. Za kilka dni będzie wiadomo, czy można powierzyć mu „Discovery”, gdy odlecimy stąd na spotkanie z Wielkim Bratem.

Nie mam pojęcia, kto wymyślił tę nazwę. Rosjanie, ze zrozumiałych względów, nie przepadają za nią. Sami jednak wypowiadają się raczej z sarkazmem o oficjalnej nazwie TMA-2, która nie oddaje ich zdaniem istoty zjawiska. Przecież Tycho jest prawie miliard kilometrów za nami, a Bowman nie meldował o żadnych magnetycznych anomaliach w pobliżu płyty. Podobieństwo sprowadza się do kształtu. Zapytani o propozycję nazwy, podali mi rosyjskie słowo zagad-

115

ka. To rzeczywiście doskonała nazwa, ale wszyscy się uśmiechają, gdy staram się ją wymówić. Wolę zatem Wielkiego Brata.

Pomijając sprawę nazwy, płyta znajduje się teraz w odległości dziesięciu tysięcy kilometrów i podróż do niej zajmie nam tylko kilka godzin. Jesteśmy przed tą ostatnią rundą trochę zdenerwowani, nie obawiam się użyć tego słowa.

Mieliśmy nadzieję, że na pokładzie „Discovery” znajdziemy jakieś przydatne informacje. Niestety spotkało nas rozczarowanie, choć w zasadzie można się było tego spodziewać. Hal został odłączony przed spotkaniem z płytą, a Bowman zabrał swoje sekrety ze sobą. Automatyczne zapisy na statku zawierają dane, które znaliśmy już od dawna.

Jedyna nowość, którą znaleźliśmy, ma charakter osobisty. Jest to wiadomość od Bowmana dla jego matki. Zastanawiam się, dlaczego jej nie wysłał. Wydaje mi się, że liczył, iż wróci na statek po swojej ostatniej misji. Oczywiście przekazaliśmy wiadomość pani Bowman, która przebywa teraz w domu starców gdzieś na Florydzie. Jak słyszałem, jej stan psychiczny nie jest najlepszy, niewykлучzone więc, że ostatnia wiadomość od syna nic dla niej nie będzie znaczyć.

To już chyba wszystko, co chciałem ci przekazać. Nie masz pojęcia, jak tęsknię za wami... i błękitnym niebem, i szarozielonym morzem. Kolory, które tu oglądamy - te wszystkie czerwienie, pomarańcze, fiolety - są też bardzo piękne, prawie tak piękne jak u nas o zachodzie słońca, ale po pewnym czasie człowiek zaczyna marzyć o zimnych, czystych barwach z drugiego krańca spektrum.

Kocham was bardzo i skontaktuję się z wami wkrótce.

Rozdział dwudziesty trzeci

Rendez-vous

Nikołaj Tiernowski, specjalista w zakresie cybernetyki i sterowania, był jedyną osobą na pokładzie „Leonowa”, która mogła porozumiewać się z Chandrą w najbliższym mu języku. Twórca i mentor Hala niechętnie przyjmował oferowaną mu pomoc, jednakże zwykłe ludzkie wyczerpanie zmusiło go w końcu do jej zaakceptowania. Rosjanin i Amerykanin hinduskiego pochodzenia zawarli okresowe przymierze, które funkcjonowało nad podziw dobrze. Było to w większym stopniu zasługą dobrodusznego Nikołaja, który zdumiewająco trafnie wyczuwał nastroje i potrzeby Chandry. To, że Nikołaj posługiwał się angielskim najslabiej z całej załogi, nie stanowiło przeszkody, ponieważ obaj mężczyźni używali zazwyczaj języka komputerowego, raczej niezrozumiałego dla postronnych.

Po tygodniu powolnej i ostrożnej reintegracji Hal odzyskał sprawność we wszystkich nadzorczych i kierowniczych funkcjach. Mimo to przypominał człowieka, który potrafi chodzić, wykonywać polecenia i związane z nimi zadania, udzielać odpowiedzi na proste pytania, lecz jego współczynnik inteligencji nie przekracza 50. Z dawnej osobowości Hala nie ocalało prawie nic.

Poruszał się wprawdzie po omacku, ale zdaniem Chandry mógł poprowadzić „Discovery” z orbity wokół Io na spotkanie z Wielkim Bratem.

Wszyscy z zadowoleniem przyjęli zamiar oddalenia się o dodatkowe siedem tysięcy kilometrów od płonącego piekła. W porównaniu z odległościami astronomicznymi był to dystans niewielki, oznaczał jednak, że niebo nad statkiem przestanie przypominać obrazy

117

jakby wyjęte wprost z Dantego lub zapożyczone od Hieronima Bo-scha. Co prawda erupcje na Io nie mogły w żaden sposób zagrozić statkowi, któż jednak miał pewność, że wulkaniczny księżyc nie zechce ustanowić nowego rekordu? Widzialność z pokładu obserwacyjnego „Leonowa” pogarszała się z dnia na dzień. Wizjery statku przesłaniała coraz grubsza warstwa siarki, tak że prędzej czy później, ktoś będzie musiał wyjść poza statek i oczyścić okna.

Gdy przekazano kontrolę nad „Discovery” Halowi, na pokładzie statku znajdował się tylko Curnow i Chandra. Odpowiedzialność Hala była w znacznym stopniu ograniczona i komputer odtwarzał jedynie zapisany w pamięci program, nadzorował też jego wykonanie. W przypadku jakiegoś zakłócenia stery natychmiast przejmowali ludzie.

Hal włączył silniki na dziesięć minut i zameldował o wejściu na orbitę transferową. Gdy radar i inne urządzenia namiarowe „Leonowa” potwierdziły tę informację, rosyjski statek skierował się na identyczną trajektorię. Wprowadzono dwie drobne poprawki kursu. Trzy godziny i piętnaście minut później obydwa statki dotarły bezpiecznie do pierwszego punktu Lagrange'a (L. 1) na wysokości dziesięciu tysięcy pięciuset kilometrów, na niewidzialnej linii łączącej środkowe punkty tarcz Io i Jowisza.

Hal sprawował się bez zarzutu, nastrój Chandry zaś wykazywał ślady takich ludzkich uczuć jak zadowolenie, a może nawet radość. W tym samym czasie myśli całej załogi były jednak skierowane gdzie indziej: Wielki Brat, alias Zagadka, znajdował się w odległości stu kilometrów.

Płyta była teraz większa aniżeli Księżyc oglądany z Ziemi. Jej nienaturalna geometryczna perfekcja przyprawiała o zawrót głowy. Gdyby znajdowała się na tle pustej przestrzeni, płyta byłaby niewidoczna, jednakże pędzące trzysta pięćdziesiąt tysięcy kilometrów poniżej chmury Jowisza uwydatniały jej ostry zarys. Wywoływały też złudzenie, któremu trudno się było oprzeć. Ponieważ

nie istniał sposób, by gołym okiem ustalić rzeczywiste położenie płyty, jej zarys na tarczy Jowisza nieodparcie przypominał otwarte wrota.

Nie było powodu, aby przypuszczać, że sto kilometrów jest odległością bezpieczniejszą niż dziesięć lub groźniejszą niż, powiedzmy, tysiąc. Sto kilometrów wydawało się najodpowiedniejszą odległością do przeprowadzenia wstępnego rekonesansu. Teleskopy statku przy takim oddaleniu wychwytywały szczegóły wielkości kilku centymetrów, tu jednak nie mogły dostrzec niczego. Wielki Brat miał

118

powierzchnię bez skazy, co w przypadku obiektu, który przetrwał zapewne miliony lat bombardowania kosmicznymi odpadami, było wprost niewiarygodne.

Gdy Floyd spoglądał przez teleskop, wydawało mu się, że wystarczy sięgnąć ręką, by dotknąć gładkiej, czarnej niby heban powierzchni - tak jak dłonią w rękawicy zrobił to na Księżycu wiele lat temu. Dopiero po umieszczeniu Monolitu w kopule ciśnieniowej mógł naprawdę go dotknąć.

Nie odczuł jednak żadnej różnicy, w istocie trudno powiedzieć, by odczuł cokolwiek. Dotykając TMA-1, palce napotykały niewidzialną barierę. Im mocniej naciskał, tym silniejszy stawał się opór płyty. Floyd był ciekaw, czy Wielki Brat ma podobne właściwości.

Przed zbliżeniem się na odległość pozwalającą na dotknięcie płyty musieli jednak przeprowadzić wiele testów i badań, a także poinformować o wynikach Ziemię. Znajdowali się w sytuacji specjalistów badających nowy rodzaj bomby, która może eksplodować przy jakimkolwiek fałszywym ruchu. Z tego, co wiedzieli, nawet najdelikatniejsze badania radarowe mogły doprowadzić do katastrofy o skutkach trudnych do przewidzenia.

Przez pierwszą dobę prowadzili obserwacje tylko za pomocą pasywnych instrumentów: teleskopów, kamer i wszelkiego rodzaju czujników. Wasilij Orłow dokonał pomiarów płyty, które potwierdziły - do sześciu miejsc po przecinku - słynną już formułę $1 : 4 : 9$. Wielki Brat był bliźniakiem TMA-1, tylko ze względu na swą długość: powyżej dwu kilometrów, przerósł księżycowy Monolit siedemset osiemnaście razy.

Wyłoniła się też kolejna zagadka matematyczna. Od lat dyskutowano na temat przedziwnej proporcji boków płyty - $1 : 4 : 9$. Liczby te są potęgami pierwszych trzech liczb całkowitych. Teraz przybył kolejny temat do rozważań.

Statystycy, fizycy i matematycy z entuzjazmem wkrótce zasiedli do komputerów, poszukując związku między proporcjami płyty a fundamentalnymi stałymi, które obserwuje się w przyrodzie, takimi jak prędkość światła, stosunek masy protonu do elektronu, stała grawitacyjna. Potem włączyli się numerolodzy, astrolodzy i mistycy, dorzucając wysokość Wielkiej Piramidy, średnicę kamiennego kręgu w Sto-nehenge, oznaczenia azymutowe rysunków z Nazca, położenie geograficzne Wyspy Wielkanocnej i całą masę innych czynników, które pozwalały im wysnuwać najbardziej zaskakujące wnioski w sprawach przyszłości. Nie czuli się obrażeni nawet wtedy, gdy znany wasyng-

119

toński humorysta ogłosił, iż według jego obliczeń świat skończył się 31 grudnia 1999 roku i że wszyscy byli znanadto skacowani, by to zauważyć.

Wielki Brat zdawał się nie dostrzegać dwóch statków, które znalazły się w pobliżu, nie reagował na ostrożne próby badania jego powierzchni radarem ani na łańcuchy impulsów radiowych, które - jak się spodziewano - miały skłonić inteligentnego słuchacza do odpowiedzi w podobnej formie.

Po dwóch dniach bezskutecznych badań, mając aprobatę Kontroli Lotu, statek zmniejszył dystans o połowę. Z odległości pięćdziesięciu kilometrów powierzchnia płyty wydawała się cztery razy

większa aniżeli Księżyc oglądany z Ziemi. Widok był imponujący, jednakże wciąż trudno by go porównywać z Jowiszem, który stał się teraz dziesięciokrotnie większy. Nastrój załogi przeszedł z bojaźliwej gotowości w swoistą niecierpliwość.

Walter Curnow wyraził to w zdaniu:

- Wielki Brat, być może, chciałby jeszcze poczekać parę milionów lat, ale nam się śpieszy.

Rozdział dwudziesty czwarty

Rekonesans

"Discovery" opuścił Ziemię wyposażony w trzy kapsuły kosmiczne, pozwalające na wykonywanie prac poza statkiem w komfortowych niemal warunkach. Jedna kapsuła przepadła podczas wypadku - jeśli był to wypadek - w którym zginął Frank Poole. Druga uniosła Dave'a Bowmana na spotkanie z Wielkim Bratem i prawdopodobnie podzieliła jego los. Trzecia nadal pozostawała w garażu „Discovery”.

Miała ona jedną istotną wadę: brakowało zasuw zabezpieczającej, z której Bowman musiał zrezygnować podczas niebezpiecznego przejścia przez próżnię do śluzy powietrznej statku, kiedy Hal odmówił podporządkowania się jego rozkazom. Wybuch, który otworzył kapsułę, pchnął ją również na odległość kilkuset kilometrów od statku, zanim Bowman mógł ją sprowadzić drogą radiową do garażu. Nic dziwnego, że dowódca „Discovery” nie miał czasu na zajęcie się naprawami.

Kapsuła numer 3, na której Maks bez podania przyczyn napisał imię „Nina”, była teraz przygotowywana do opuszczenia statku. Ciągle brakowało zasuw, ale obecnie była to rzecz bez znaczenia, ponieważ kapsuła leciała bez załogi.

Dzięki Bowmanowi, który w dramatycznych okolicznościach nie zapomniał sprowadzić kapsuły na statek, można się nią było teraz posłużyć jako automatyczną sondą, która przeprowadzi z bliska badanie Wielkiego Brata, pozwalając ludziom uniknąć ryzyka. Tak przynajmniej wyglądało to w teorii. Nikt nie mógł wykluczyć, że reakcja Wielkiego Brata obejmie statek - pięćdziesiąt kilometrów to przecież tyle co nic w relacjach kosmicznych.

121

Po latach zaniedbania „Nina” nie prezentowała się najlepiej. Pył, w stanie nieważkości unoszący się wokół kapsuły, osiadł teraz na całej powierzchni kadłuba, który z białego zamienił się w brudnoszary. Oddalając się powoli od statku, z zewnętrznymi manipulatorami ustawionymi do tyłu i owalnym wizjerem wpatrzonym w przestrzeń jak olbrzymie martwe oko, kapsuła nie prezentowała się imponująco, szczególnie w roli ambasadora ludzkości. Miało to jednak pewną dobrą stronę. Skromny emisariusz mógł zostać zaakceptowany - jego niewielkie wymiary i mała prędkość podkreślały pokojowe intencje. Niektórzy sugerowali nawet, by kapsuła zbliżyła się do Wielkiego Brata z otwartymi szeroko ramionami, większość jednak szybko odrzuciła ów pomysł, jako że „Nina” z rozpostartymi mechanicznymi manipulatorami mogła tylko straszyć.

Po dwugodzinnej podróży mały pojazd zatrzymał się w odległości stu metrów od narożnika prostokątnej płyty. Z tak bliska trudno było ocenić rzeczywisty jej kształt, równie dobrze mogła być sześcianem, jak i każdą inną bryłą. Instrumenty pokładowe nie wykryły najmniejszych śladów promieniowania czy pola magnetycznego. Wielki Brat pozostawał głuchy i martwy - poza niewielkim ułamkiem światła słonecznego, które zdecydował się odbijać.

Po pięciominutowej przerwie, która w zamierzeniu miała być odpowiednikiem powitania, „Nina” rozpoczęła lot wzdłuż przekątnej krótszego boku, po czym powtórzyła to samo wobec pozostałych boków, cały czas znajdując się w odległości pięćdziesięciu metrów. Przy mijaniu narożników płyty zbliżała się do Wielkiego Brata na minimalny dystans pięciu metrów, bez względu jednak na odległość Monolit pozostawał tak samo nieporuszony i gładki. Wkrótce cała operacja stała się dość nudna i widzowie na obydwu statkach zajęli się własnymi sprawami, tylko od czasu do czasu rzucając okiem na monitor.

- To wszystko - powiedział Walter Curnow, gdy „Nina” powróciła do pozycji wyjściowej. - Moglibyśmy spędzić tu całe życie, a i tak nie byłibyśmy mądrzejsi ani na jotę. Co mam z nią zrobić, sprowadzić do garażu?

- Nie - odpowiedział Wasilij z pokładu „Leonowa”. - Mam pewną propozycję: ustaw ją dokładnie pośrodku większego boku, w odległości, powiedzmy, stu metrów. Zaparkuj ją tam i włącz radar na maksimum.

- Żaden problem. Oprócz tego, że może powstać jakiś miejscowy prąd. Czy możesz mi wyjaśnić, o co ci chodzi?

122

- Właśnie przypomniałem sobie jedno ćwiczenie z kursu astronomii na studiach. Dotyczyło przyciągania grawitacyjnego przez nieskończone płaską powierzchnię. Nigdy nie sądziłem, że spotkam się z czymś takim w rzeczywistości. Myślę, że obserwując ruchy „Niny” przez kilka godzin, będę mógł obliczyć przynajmniej masę Zagadki. Zakładając, oczywiście, że ma jakąś masę. Czasem wydaje mi się, że mamy do czynienia z czystą iluzją.

- Jest prosty sposób, żeby to sprawdzić, i myślę, że w końcu będziemy zmuszeni do niego się uciec. Po prostu „Nina” powinna dotknąć płyty.

- Już dotknęła.

- O czym ty mówisz? - zapytał podniecony Curnow. - Przecież nie zbliżyła się do płyty na odległość mniejszą niż pięć metrów!

- Nie krytykuję twoich umiejętności sterowania pojazdem, Walter, chociaż za pierwszym razem byłeś bliski zderzenia, prawda? Chodzi mi jednak o to, że „Nina” stukała w Zagadkę za każdym razem, kiedy włączałeś silniki blisko powierzchni płyty. Odrzut, Walterze, odrzut!

- Mówisz o pchle skaczącej po słońcu!

- Możliwe. Po prostu nie wiemy. Lepiej jednak będzie, jeśli zrobimy wszystko, by sprawdzić, czy płyta w taki czy inny sposób jest świadoma naszej obecności i czy zgadza się nas tolerować, dopóki nie sprawiamy jej kłopotów.

Wasilij nie kontynuował swojej myśli. Jak można sprawić kłopot dwukilometrowej czarnej płycie? I w jaki sposób okaże ona swe poirytowanie?

Rozdział dwudziesty piąty

Widok z Lasrange'a

Astronomia pełna jest tajemniczych, intrygujących zjawisk, jak choćby to, że Słońce i Księżyc oglądane z Ziemi mają taką samą średnicę. Tutaj, w punkcie libracji L. 1, wybranym przez Wielkiego Brata na miejsce spoczynku między siłami grawitacyjnymi Jowisza i Io, występował podobny fenomen. Planeta i jej księżyc zdawały się mieć identyczne wymiary.

I to jakie wymiary! Nie chodziło o marne pół stopnia Słońca i tyleż Księżyca. Jowisz i Io oglądane z punktu Lagrange'a miały średnicę czterdzieści razy większą, ich obszar zaś był większy od Księżyca i Słońca tysiąc sześćset razy. Widok, jaki przedstawiały obydwie te ciała, napełniał umysły podziwem i wprawiał w zdumienie. Było to jedyne w swoim rodzaju zjawisko kosmiczne.

Co czterdzieści dwie godziny Jowisz i Io przechodziły pełny cykl wszystkich faz. Gdy Io pozostawał w nowiu, Jowisz był w pełni - i na odwrót. Ale nawet gdy Słońce skrywało się za tarczą Jowisza i planeta prezentowała swoją nocną stronę, nie można było nie dostrzec jej obecności - tego olbrzymiego, czarnego dysku przesłaniającego gwiazdy! Niekiedy ciemność rozrywały błyskawice, trwające przez wiele sekund, a powstałe na skutek burz elektrycznych, których obszar przewyższał znacznie całą powierzchnię Ziemi.

Po przeciwnej stronie nieba, zwrócony zawsze tą samą stroną w kierunku planety, znajdował się jej księżyc Io - niby rozżarzony piec pełen czerwieni i fioletołów - na którym od czasu do czasu wznosiły się żółte chmury wybuchów wulkanicznych i zaraz opadały z dużą szybkością na powierzchnię księżycą. Podobnie jak Jowisz, także Io

124

był pozbawiony geografii. Jego powierzchnia zmieniała się w ciągu dziesięcioleci, w przypadku Jowisza trwało to jedynie kilka dni.

Gdy Io zbliżał się do ostatniej kwadry, olbrzymi, poznaczony smugami krajobraz Jowisza rozpalał się w promieniach odległego Słońca. Niekiedy po powierzchni planety przesunął się cień Io albo jakiegoś innego dalekiego księżycą. Podczas każdego obrotu widoczny stawał się wir - Wielka Czerwona Plama - huragan, który nie ustawał od setek, a może i tysięcy lat.

Zawieszona pomiędzy tymi cudami załoga „Leonowa” gromadziła materiał naukowy, który później wypełni lata studiów, jednakże naturalne ciała niebieskie znajdowały się na samym końcu listy priorytetów wyprawy. Numerem pierwszym był Wielki Brat. Obydwie statki znajdowały się teraz w odległości pięciu kilometrów od płyty, a jednak Tania odmawiała zgody na bezpośredni kontakt fizyczny.

- Poczekam - mówiła - do momentu, gdy będziemy mogli szybko odlecieć. Na razie siedźmy cicho i obserwujmy, dopóki nie otworzy się okno konfiguracji powrotu na Ziemię. A wtedy zastanowimy się nad kolejnym posunięciem.

„Nina” w końcu wylądowała na powierzchni Wielkiego Brata: powolne opadanie zajęło jej aż pięćdziesiąt minut. Fakt ten umożliwił Wasilijowi obliczenie masy obiektu. Ku zaskoczeniu wszystkich wynosiła ona jedynie dziewięćset pięćdziesiąt tysięcy ton, co oznaczało, że płyta ma gęstość zbliżoną do powietrza. Przypuszczenie, że Wielki Brat jest pusty w środku, wywołało z kolei burzę spekulacji na temat, co może znajdować się wewnątrz.

Mieli także całą masę codziennych praktycznych problemów, które dawały wytchnienie umysłom udręczonym tak doniosłymi sprawami. Dziewięćdziesiąt procent czasu zajmowały prace na

obydwu statkach, które połączono plastycznym rękawem, gdy Curnow zdołał wreszcie przekonać Tanie, że wirówka „Discovery” nie zatnie się i nie rozerwie obydwu statków na kawałki. Mogli teraz swobodnie przechodzić z pokładu na pokład, tylko zamykając i otwierając dwie śluzy powietrzne. Skafandry i czasochłonne wyjścia w próżnię nie były już konieczne - ku radości wszystkich z wyjątkiem Maksa, który uwielbiał pozostawać na zewnątrz i jeździć na miotle.

Tylko dwóch członków załogi prowadziło życie jakby nie związane ani z jednym, ani z drugim statkiem. Byli to Chandra i Tiernow-ski, którzy praktycznie nawet sypiali przy konsolce Hala - wykorzystując w tym celu przerwy w nie kończących się rozmowach z komputerem.

125

- Kiedy będziecie gotowi? -pytano ich przynajmniej raz dziennie. Nic nie obiecywali. Hal w dalszym ciągu był inteligentnym kretynem.

Wreszcie, po tygodniu od spotkania z Wielkim Bratem, Chandra nieoczekiwanie oznajmił:

- Jesteśmy gotowi.

Na pokładzie „Discovery” zgromadziła się cała załoga z wyjątkiem personelu medycznego, dla którego po prostu nie starczyło miejsca; ta część załogi miała oglądać przebieg operacji na monitorach „Leonowa”. Floyd stanął tuż za Chandrą. Jego ręka spoczywała obok tego, co Curnow - z właściwą sobie swadą - nazwał „kieszonkową pułapką na olbrzyma”.

- Jeszcze raz podkreślam - rozpoczął Chandra - potrzebę zachowania absolutnej ciszy. Rozmowy, ich obcy akcent i intonacja, mogą rozproszyć uwagę komputera. Osobą mówiącą będę ja - i nikt inny. Czy zostałem dobrze zrozumiany?

Chandra mówił i zachowywał się jak ktoś skrajnie wyczerpany. Jednakże w jego głosie pobrzmiwał władczy ton, którego nigdy przedtem nie słyszeli. Tania mogła rządzić wszędzie, ale nie tu. Tutaj dowódcą był on!

Publiczność, której część trzymała się uchwytów, a reszta unosiła się w powietrzu, wyraziła zgodę na warunki Chandry. Hindus wcisnął klawisz AUDIO i powiedział wyraźnie, choć ściszym głosem:

- Dzień dobry, Hal.

Nim upłynęła sekunda, Floyd zdał sobie sprawę, że cofnął się o lata w przeszłość. Komputer nie był już elektroniczną zabawką, odpowiadającą na zadawane mu pytania. Powrócił prawdziwy Hal.

- Dzień dobry, doktorze Chandra.

- Czy czujesz się zdolny do podjęcia na nowo obowiązków?

- Oczywiście. Znajduję się w pełnej gotowości operacyjnej i wszystkie moje obwody funkcjonują bez zarzutu.

- Czy pozwolisz, że zadam ci kilka pytań?

- Bardzo proszę.

- Czy przypominasz sobie awarię zespołu sterowania anteną AE-35?

- Nie, nic o tym nie wiem.

Pomimo ostrzeżeń Chandry zebrani wydali cichy jęk. To przypomina spacer po polu minowym - powiedział do siebie Floyd, poklepując jednocześnie znajomy kształt wyłącznika. Gdyby pytania Chandry wywołały kolejną psychozę Hala, Floyd był gotów zabić komputer w ciągu sekundy (całą procedurę przećwiczył dziesiątki razy). Dla

126

komputera jednak sekunda stanowiła wieki całe - i było to ryzyko, które musieli podjąć.

- Nie pamiętasz również, że Dave Bowman i Frank Poole wyszli wymienić podzespół AE-35?

- Nie. Nic takiego nie mogło się zdarzyć, ponieważ nie wiem o tym. Gdzie są Frank i Dave?

Kim są ci ludzie? Znam tylko ciebie, chociaż mogę stwierdzić z prawdopodobieństwem sześćdziesięciu pięciu procent, że osobą, która stoi za twoimi plecami, jest doktor Heywood Floyd.

Pamiętając wstępną uwagę Chandry, Floyd powstrzymał się od złożenia gratulacji Halowi. Po upływie dziesięciu lat sześćdziesiąt pięć procent nie było złym wynikiem. Wielu ludzi miało większe problemy z rozpoznaniem jego twarzy.

- Nie martw się, Hal. Wyjaśnię ci wszystko później.

- Czy misja dobiegła końca? Wiesz, że jestem bardzo entuzjastycznie do niej nastawiony.

- Misja się skończyła. Wykonałeś swój program. A teraz, jeśli pozwolisz, chcielibyśmy porozmawiać bez twego udziału.

- Oczywiście.

Chandra wyłączył zasilanie dźwięku i obrazu. Hal był teraz ślepy i głuchy, przynajmniej w tej części statku.

- Co to wszystko znaczy? — domagał się odpowiedzi Wasilij Orłow.

- To znaczy - odparł Chandra spokojnie i precyzyjnie - że wymazałem z pamięci Hala wszystko, co zdarzyło się od momentu, gdy zgłosił usterkę podzespołu AE-3 5.

- To brzmi nieźle - odezwał się Sasza. - Jak udało się tego dokonać?

- Obawiam się, że wyjaśnienia zabrałyby mi więcej czasu niż cała operacja.

- Chandra, ja też jestem specjalistą komputerowym, przyznaję, że nieco mniejszej klasy niż pan czy Nikołaj. Wiem, że w serii 9000 wykorzystano pamięć holograficzną, czyż nie? Nie mógł więc pan wymazać jego pamięci chronologicznie. Musiał pan posłużyć się jakimś wirusem, który zaatakował wybrane zdarzenia czy pojęcia.

- Wirusem? - zapytała Katierina przez radio. - Sądziłam, że wirusy to moja specjalność i że można je tylko oglądać pod mikroskopem. O czym wy mówicie?

- To żargon komputerowy, Katierino. Kiedyś, dawno temu, konstruowano programy komputerowe, które po wprowadzeniu do dowolnego systemu lub sieci atakowały i niszczyły wyznaczone reje-

127

ny pamięci. Zdaje się, że to samo można zrobić z ludźmi za pomocą hipnozy?

- Tak, ale jest to zabieg odwracalny. Ludzie nigdy do końca nie zapominają, nawet jeśli wydaje im się, że zapomnieli, jest to po prostu złudzenie.

- Ale komputer to nie człowiek. Odpowiednio zaprogramowany, całkowicie zapomina to, czego żądamy. Bez śladu wymazuje wskazaną przez nas informację.

- A więc Hal absolutnie nie pamięta swojego... zachowania?

- Oczywiście nigdy nie można mieć stuprocentowej pewności - odpowiedział Chandra. - Być może istnieją jakieś obszary pamięci, które w czasie przeszukiwania przez... wirusa znajdowały się w drodze spod jednego adresu pod drugi. Ale jest to bardzo mało prawdopodobne.

- Fascynujące - powiedziała Tania po dłuższej chwili, kiedy wszyscy rozważali wypowiedź Chandry. - Ale podstawowe pytanie brzmi obecnie tak: czy można zaufać mu w przyszłości?

Floyd uprzedził odpowiedź Chandry:

- Możemy założyć, że identyczny zespół warunków zewnętrznych nigdy nie występuje powtórnie. Potraktujcie to jako deklarację intencji, ponieważ kłopoty z Halem zaczęły się w momencie, gdy usiłowaliśmy mu wyjaśnić, czym jest bezpieczeństwo.

- Ludzie też tego nie rozumieją - dodał Cumow, nie siląc się na szept.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz - powiedziała niezbyt pewnie Tania. - Jaki będzie następny krok, Chandra?

- Teraz pójdzie nam znacznie łatwiej, pomijając oczywiście pracochłonność zadania, które musimy zrealizować. Polega ono na zaprogramowaniu Hala w ten sposób, by rozpoczął sekwencję powrotu na Ziemię w trzy lata po wejściu „Leonowa” na orbitę transferową.

Rozdział dwudziesty szósty

Okres próbny

Do: Yictor Millson, Sekretarz Narodowej Rady Astronautyki, Waszyngton

Od: Heywood Floyd, pokład amerykańskiego statku kosmicznego „Discovery”

Dotyczy: Awarii komputera pokładowego HAL 9000

TAJNE

Dr Chandrasegarampillai (określany dalej jako dr C.) zakończył wstępną fazę badań komputera HAL 9000. Uzupełniono brakujące moduły i komputer znajduje się w pełnej gotowości operacyjnej. Szczegóły działań podjętych przez drą C., a także płynące z nich wnioski zostaną przekazane w raporcie przygotowywanym przez ww. wspólnie z drem Tiernowskim.

Tymczasem zostałem poproszony o streszczenie tych działań bez powoływania się na wiedzę techniczną drą C. w celu przekazania tegoż streszczenia Radzie, zwłaszcza tym jej członkom, którzy uczestniczą w jej pracach od niedawna i mogą nie znać tła obecnych wydarzeń. Szczerze wątpię, czy podołam temu zadaniu, ponieważ nie jestem specjalistą omawianej dziedziny. Postaram się jednak przybliżyć interesujące nas problemy.

Wydaje się, że awaria komputera HAL 9000 była skutkiem konfliktu między podstawowymi instrukcjami, jakie otrzymał wymieniony komputer, a wymogami bezpieczeństwa. Zgodnie z bezpośrednim dekretem prezydenta istnienie obiektu TMA-1 utrzymywano w cał-

9-2010 Odyseja kosmiczna

129

kowitej tajemnicy. Dostęp do informacji miały tylko osoby niezbędne przy pracach związanych z zaistnieniem tegoż obiektu. Gdy odkopano obiekt TMA-1, który -jak wiadomo - przesłał swego rodzaju sygnał w okolice Jowisza, prace w ramach misji „Disco-very” dotyczące tej planety były znacznie zaawansowane. Pojawienie się obiektu TMA-1 wpłynęło na zmianę profilu planowanej misji, która pierwotnie miała przybrać zupełnie inny charakter. O zmianie profilu misji nie powiadomiono podstawowej załogi statku (Bowman, Poole), ponieważ jej zadaniem było jedynie dostarczenie pojazdu do wyznaczonego miejsca. Zespół badawczy, w o-sobach Kaminskiego, Huntera i Whiteheada, został przygotowany oddzielnie (dotyczy to również relacji między członkami tego zespołu) i poddany hibernacji przed rozpoczęciem misji, co miało zapewnić -jak sądzono -jeszcze wyższy stopień bezpieczeństwa, redukując do minimum możliwość przecieków (przypadkowych bądź innych).

W tym miejscu chciałbym przypomnieć, że kilkakrotnie zgłaszałem poważne obiekcje co do polityki tego rodzaju (memorandum: Hey-wood Floyd, NRA 342/23/ŚCIŚLE TAJNE 2001-04-30). Moje sugestie zostały jednak odrzucone na podstawie decyzji wyższego szczebla.

Komputer HAL 9000 zaprojektowano w ten sposób, by mógł sprawować kontrolę nad systemami operacyjnymi statku bez pomocy ludzi. Postanowiono również zaprogramować go tak, by w przypadku unieruchomienia pojazdu bądź śmierci załogi mógł wykonywać zadania związane z misją w sposób autonomiczny. Wymagało to oczywiście poinformowania go o zmianie profilu misji i nowych jej zadaniach, a także o konieczności zachowania tej informacji w tajemnicy przed podstawową załogą, czyli Bowmanem i Poole'em. Program tego rodzaju wywołał sprzeczność z podstawowym celem maszyn typu HAL 9000, którym jest przekazywanie i obróbka informacji bez zakłóceń i przekłamań. W rezultacie komputer HAL 9000 wytworzył coś, co można by określić - w

terminach odnoszących się do ludzi - jako wewnętrzną psychozę, a mówiąc ściślej: schizofrenię. Dr C. poinformował mnie, że - posługując się terminologią techniczną - komputer HAL 9000 został schwyty w pętlę Hofstadtera-Móbiusa, co zdarza się niekiedy komputerom tej generacji, wyposażonym w programy autonomiczno-docelowe. Dr C. sugeruje również, aby dalsze szczegóły tego fenomenu przedstawił sam profesor Hofstadter.

130

Zakładając, że dobrze zrozumiałem informację przekazaną mi przez drą C., można przyjąć, iż komputer HAL 9000 znalazł się wobec niemożliwego do rozstrzygnięcia dylematu i dlatego wytworzył symptomy paranoiczne skierowane przeciwko tym, którzy kontrolowali jego działanie na Ziemi. Pociągnęło to za sobą próbę zerwania łączności radiowej z Kontrolą Lotu, czemu służył meldunek o nie istniejącej usterce podzespołu antenowego AE-35. Fałszywy meldunek był nie tylko bezpośrednim kłamstwem, które przyczyniło się do dalszego rozwoju psychozy, lecz naraził też komputer HAL 9000 na konfrontację z załogą. Prawdopodobnie (nie dysponujemy żadnymi przekonującymi dowodami) komputer HAL 9000 postanowił, że jedynym rozwiązaniem powstałego problemu będzie eliminacja ludzkiej części załogi -co zresztą udało mu się po części zrealizować. Jeśli spojrzeć na sprawę czysto teoretycznie, interesujące może wydać się ewentualne zakończenie misji przez komputer bez ludzkiej pomocy.

To w zasadzie wszystko, czego zdołałem dowiedzieć się od drą C., i nie zamierzam stawiać mu dalszych pytań ze względu na jego pracę na granicy fizycznego wyniszczenia. Biorąc jednak pod uwagę wszystkie okoliczności, muszę stwierdzić (proszę o potraktowanie tej informacji jako absolutnie poufnej), że dr C. wydaje sienie przejawiać chęci do współpracy w stopniu, jakiego można by oczekiwać. Jego stosunek do komputera HAL 9000 jest absolutnie nie-obiektywny, co niekiedy znacznie utrudnia dyskusję w sprawie maszyny. Jest to tym dziwniejsze, że ten brak obiektywizmu drą C. podziela współpracujący z nim dr Tiernowski, po którym można by spodziewać się niezależnej opinii.

W każdym razie podstawowym pytaniem pozostaje, czy komputer HAL 9000 jest zdolny do wykonywania swoich zadań w przyszłości. Oczywiście dr C. nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Twierdzi w dalszym ciągu, że wymazał z pamięci maszyny wszystkie informacje związane z traumatycznymi wydarzeniami, które w efekcie doprowadziły do odłączenia komputera. Nie wydaje się, by dr C. podzielał zdanie, iż HAL 9000 może cierpieć na odpowiednik ludzkiego poczucia winy.

Jednakże nie sądzę, aby było prawdopodobne powtórzenie się sytuacji, która w efekcie spowodowała awarię. Komputer HAL 9000 zdaje się przejawiać pewne anomalie, lecz nie są one tak poważnej natury, by mogły wywoływać jakieś obawy. Są to drobiazgi, czasem nawet zabawne, które nie powinny przeszkadzać w wykonywaniu

131

zadań. Wszcząłem również pewne kroki - o których pozwoliłem sobie nie poinformować drą C. - zmierzające do zapewnienia nam absolutnej kontroli nad komputerem HAL 9000. Reasumując: działania wstępne podjęte w celu przywrócenia gotowości operacyjnej komputera HAL 9000 przebiegały zgodnie z planem. Obecnie komputer przechodzi okres próbny. Zastanawiam się, czy zdaje sobie z tego sprawę.

Rozdział dwudziesty siódmy

Interludium: godzina szczerości

Umysł ludzki ma zdumiewające zdolności do adaptacji. Po pewnym czasie nawet najbardziej niewiarygodne zdarzenia powszednieją i wchodzi w skład normalności. Załoga „Leonowa” coraz częściej traciła z oczu niezwykłość otoczenia. Możliwe, że była to podświadoma chęć pozostania przy zdrowych zmysłach.

Doktor Heywood Floyd zawsze uważał, że Walter Curnow pragnie za wszelką cenę być duszą towarzystwa. Jednakże tym razem jego posunięcie, które dało początek temu, co Sasza Kowalew nazwał „godziną szczerości”, było najzupełniej nie zaplanowane. Zaczęło się, gdy Curnow wyraził powszechną dezaprobatę dla urzędzeń sanitarnych w stanie nieważkości.

- Gdyby ktoś chciał spełnić moje jedno życzenie - wykrzyknął podczas codziennej narady o szóstej - prosiłbym o to, bym mógł się zanurzyć w wannie pełnej piany o zapachu sosnowym i leżeć w niej tylko z nosem na wierzchu.

Gdy ucichły pomruki aprobaty i ogólnej frustracji z powodu nie spełnionych marzeń, kwestię podjęła Katierina Rudenko.

- Cóż za wspaniała dekadencja, Walterze - powiedziała, patrząc na Cumowa wzrokiem pełnym dobrodusznej przygany. - Zachowujesz się tak, jak gdybyś był rzymskim cesarzem. Ja natomiast, gdybym była teraz na Ziemi, wolałabym coś bardziej aktywnego.

- Na przykład co?

- Hm... Czy wolno mi comać się w czasie?

- Bardzo proszę.

133

- Kiedy byłam dziewczynką, jeździliśmy na wakacje do kołchozu w Gruzji. Był tam piękny ogier pełnej krwi, kupiony przez dyrektora kołchozu za pieniądze z lewych interesów na czarnym rynku. Obiektywnie rzecz biorąc, dyrektor był nikczemnym łajdakiem, ale uwielbiałam go, ponieważ zezwalał mi galopować na Aleksandrze po całej okolicy. Z łatwością mogłam się wtedy zabić - to był naprawdę narowisty koń - ale ilekroć myślę o Ziemi, powraca do mnie to wspomnienie...

Zapadła cisza pełna zadumy, a potem Curnow zapytał:

- Kto na ochotnika?

Wszyscy zdawali się pogrążeni we własnych wspomnieniach i zabawa mogłaby się skończyć właśnie w tym momencie, gdyby nie Maks Brajlowski.

- Chciałbym nurkować - rozpoczął. - Było to moje hobby, kiedy oczywiście miałem trochę czasu. Uprawiałem nurkowanie podczas treningu kosmonautycznego. Nurkowałem u wybrzeży atoli na Pacyfiku, przy Wielkiej Rafie i w Morzu Czerwonym. Rify koralowe to coś najpiękniejszego na świecie. Ale najlepiej pamiętam inne zdarzenie: nurkowałem wtedy w japońskich lasach podmorskich. Te lasy wyglądały jak podwodne katedry, słońce przeświecało przez olbrzymie liście, a wszystko było takie tajemnicze... jakby zaczarowane. Byłem tam tylko raz i może to lepiej, bo za drugim razem nic nie jest już takie samo. Ale chciałbym tam wrócić.

- W porządku - powiedział Walter, który jak zwykle przejął obowiązki mistrza ceremonii. - Kto następny?

- Dam wam szybką odpowiedź - powiedziała Tania Orłowa. - Bol-szoj, Jezioro łabędzie. Ale Wasilij się nie zgodzi, on nie cierpi baletu.

- To jest nas dwóch. Co ty na to, Wasilij?

- Chciałem powiedzieć o nurkowaniu, ale Maks mnie uprzedził. Wybiorę więc przeciwny kierunek: lotnia. Unosisz się w chmurach, jest ciepły letni dzień, a wokół kompletna cisza. No, powiedzmy: prawie kompletna, bo słyszysz wiatr targający lotnią, szczególnie przy skrętach. Bardzo lubię oglądać Ziemię z perspektywy ptaka.

- Żenią?

- To proste. Narty w Pamirze. Uwielbiam śnieg.

- A ty, Chandra?

Gdy Curnow zwrócił się do Hindusa, atmosfera uległa nieznacznej zmianie. Mimo upływu czasu Chandra wciąż zachowywał się jak obcy. Był oczywiście nadzwyczaj uprzejmy, ktoś mógłby powiedzieć: aż za uprzejmy, ciągle jednak stanowił dla wszystkich zagadkę.

134

- Kiedy byłem chłopcem - zaczął powoli - mój dziadek zabrał mnie na pielgrzymkę do Yaranasi, czyli do Benaresu. Jeśli nie wiecie, co to jest, obawiam się, że możecie nie zrozumieć. Dla mnie, dla wielu Hindusów, i to wyznających różne religie, jest to środek świata. Któregoś dnia chciałbym tam wrócić.

- A ty, Nikołaj?

- No cóż, mieliśmy już niebo i morze, a ja połączę obydwie te rzeczy. Moim ulubionym sportem był windsurfing, ale obawiam się, że jestem już na to za stary. W każdym razie dobrze by było sprawdzić to jeszcze na Ziemi.

- Zostałeś tylko ty, Woody. O czym nam opowiesz? Odpowiedź była natychmiastowa, a jej treść zaskoczyła wszystkich, najbardziej jego samego.

- Nieważne, w którym miejscu Ziemi jestem, bylebym miał ze sobą syna.

Nikt nie powiedział nic więcej. Godzina szczerości dobiegła końca.

Rozdział dwudziesty ósmy

Frustracja

- Widziałeś wszystkie raporty techniczne, Dmitrij, rozumiesz więc naszą frustrację. Z bieżących testów i pomiarów nie wynika nic nowego. A Zagadka siedzi sobie tuż obok, zajmując połowę nieba, i i-gnoruje nas całkowicie. Ale przecież nie może być martwa, niczym jakiś porzucony statek. Wasilij wykazał, że musi funkcjonować, chociażby po to, aby utrzymać się w stałej pozycji w punkcie libracji. W innym przypadku odpłynęłaby stąd już dawno, tak jak „Discove-ry”, i spadła na lo.

A zatem co robimy dalej? Na pokładzie nie mamy broni nuklearnej, zgodnie z konwencją Narodów Zjednoczonych 08 przez 3, nieprawdaż? Wybacz, żartuję...

Napięcie na statku zmniejszyło się. Czekamy na konfigurację sprzyjającą powrotowi na Ziemię. Nasze okno otworzy się już za kilka tygodni; w związku z rym panuje ogólna nuda i zniechęcenie. Nie śmiej się, wiem, że tam u ciebie, w Moskwie, brzmi to dość idiotycznie, ale taka jest prawda. Na pewno zaraz zadasz mi pytanie, dlaczego ktoś inteligentny może nudzić się w otoczeniu takich cudo w jak te tutaj?

Nie wiem. Ale nie ulega wątpliwości, że morale załogi nie przypomina już tamtego, które utrzymywało się dawniej. Wtedy wszyscy zdawali się tryskać zdrowiem, teraz prawie każdy cierpi a to na jakieś przeziębienie, a to kłopoty żołądkowe lub nie może wyzbyć się zadrapań, które się nie goją pomimo leków stosowanych przez Katierinę, która też zresztą już się poddała i tylko klnie na nas.

136

Sasza usiłuje nas zabawiać w swoim biuletynie, który rozwiesza na statku. Jako temat wybrał sobie nie lada problem, mianowicie: ZLIKWIDOWAĆ ROSGIELSKJ! Sasza podaje przykłady okropnych zbitek językowych zasłyszanych na statku, a także kalki z jednego języka stosowane w drugim i tak dalej. Po powrocie na Ziemię wszyscy będziemy musieli przejść językową dekontaminację. Kilkakrotnie zdarzyło mi się spotkać twoich ziomków mówiących po angielsku bez wyraźnej potrzeby i, co gorsza, bez świadomości, że posługują się językiem obcym. Przeskakiwali na rosyjski tylko wtedy, gdy trudno im było odnaleźć jakąś frazę. Wczoraj przyłapałem się na tym, że rozmawiam po rosyjsku z Walterem Curnowem i żaden z nas nie zwrócił na to uwagi przez kilka minut.

Którejś nocy mieliśmy tutaj nieprzewidziany wypadek, który ci da, jak sądzę, niejakię pojęcie o stanie naszych umysłów. W środku nocy włączył się sygnał alarmowy oznaczający pożar. Jeden z czujników wykrył dym na statku.

I cóż się okazało? Otóż Chandra przeschmuglował na pokład ładunek swoich śmiertelnych cygar i nie mógł już dłużej oprzeć się pokusie. Zapalił sobie w toalecie, zupełnie jak uczeń...

Oczywiście był niewyobrażalnie zakłopotany, a wszyscy tarzali się ze śmiechu, co nie znaczy, że obeszło się bez paniki. Znasz z pewnością takie sytuacje, kiedy jakiś drobiazg czy trywialny żart wywołuje atak histerycznego śmiechu wśród skądinąd inteligentnych ludzi. Przez następnych kilka dni wystarczyło jedynie udawać, że zapala się cygaro, a już wszyscy znów zaczynali turlać się ze śmiechu.

Najśmieszniejsze w tym wszystkim jest to, że Chandra mógł po prostu iść do śluzy powietrznej, wyłączyć czujnik i palić sobie w spokoju. Ale on jest tak wstydlivy, że nie mógł się przyznać do zwykłej ludzkiej słabostki i teraz całe dni spędza rozmawiając wyłącznie z Halem.

Floyd nacisnął klawisz z napisem PAUZA i przerwał nagrywanie. Może nie postępował uczciwie wyśmiewając się z Chandry, choć dawał on wszelkie powody do takiego traktowania. Podczas ostatnich tygodni wyszły na jaw różne śmieszności i dziwactwa, zdarzały się kłótnie - większość bez wyraźnego powodu. A jeśli już o tym mowa, to jak było z jego własnym zachowaniem? Czy zawsze postępował bez zarzutu?

137

Wciąż nie był pewien, czy dobrze potraktował Cumowa. Zdawał sobie sprawę, że nigdy nie polubi ani samego inżyniera, ani nawet brzmienia jego głosu, mimo to jego stosunek do Cumowa zmienił się ostatnio ze zwykłej tolerancji w połączony z szacunkiem podziw. Rosjanie go uwielbiali - na co niemały wpływ miało wykonanie pieśni Poluszko, pole, które doprowadziło ich do łez. Lecz przynajmniej w jednym wypadku podziw Rosjan posunął się za daleko.

- Walter - powiedział kiedyś ostrożnie Floyd - nie sądzę, aby to był mój interes, ale chciałbym porozmawiać z tobą prywatnie.

- Jeśli ktoś mówi, że nie jest to jego interes, zazwyczaj ma rację. O co chodzi?

- Mówiąc prosto z mostu, o twój stosunek do Maksa.

Zapadła martwa cisza, podczas której Floyd studiował złuszczo-ną farbę na przeciwległej ścianie. Curnow odpowiedział głosem, w którym pobrzmiewał wyrzut.

- Odnoszę wrażenie, być może błędne, że Maks skończył już osiemnaście lat.

- Mylisz pewne sprawy. Poza tym nie chodzi mi o Maksa, chodzi mi o Żenię.

Curnow otworzył usta ze zdziwienia.

- Żenię? A co ona ma do tego?

- Jak na człowieka inteligentnego jesteś wyjątkowo mało spostrzegawczy, nawet tępy. Czy nie zdajesz sobie sprawy, że ona kocha Maksa? Nie zauważyłeś, jak patrzy na was, gdy obejmujesz go ramieniem?

Floyd nigdy nie przypuszczał, że Curnow może być kiedykolwiek zmieszany; strzał więc okazał się celny.

- Żenię? Myślałem, że wszyscy z niej żartują. To taka myszka. No i wszyscy kochają Maksa na swój sposób, nawet Katarzyna Wielka. Mimo to... hmm, powinienem chyba być bardziej ostrożny, przynajmniej w obecności Żeni.

Zapadła długa cisza i temperatura rozmowy ochłodziła o kilka stopni. A potem, jak gdyby chcąc udowodnić swoje dobre intencje, Curnow odezwał się przyjacielskim tonem:

- Wiesz, często myślałem o Żeni. Ktoś nieźle się przy niej namęczył, nad chirurgią plastyczną, ale i tak widoczne są ślady. Jej skóra jest za mocno naciągnięta i nie widziałem nigdy, żeby śmiała się normalnie. Może dlatego unikam patrzenia na nią. Czy uwierzyłbyś, Heywoodzie, że mam tak bardzo rozwinięty zmysł estetyczny?

138

Celowe użycie pełnej formy jego imienia sugerowało chęć delikatnego ukłucia. Nie była to jednak wrogość i Floyd się odprężył.

- Mogę częściowo zaspokoić twoją ciekawość, Waszyngton w końcu dokopał się informacji o niej. Jej rany, a raczej blizny po oparzeniach, pochodzą z wypadku lotniczego. Nie jest to żadna tajemnica, tyle że Aeroflot niechętnie przyznaje się do wypadków.

- Biedna dziewczyna. Ale dziwię się, że pozwolili jej lecieć w kosmos, chociaż po wyeliminowaniu Iriny mogli nie mieć nikogo odpowiedniego. Przykro mi z jej powodu. Wyobrażam sobie, jaki szok musiała przeżyć.

- Z pewnością, ale teraz jest całkowicie zdrowa.

„Nie mówisz prawdy - powiedział do siebie Floyd - i nigdy jej nie zdradzisz. Po tym dziwnym spotkaniu w czasie mijania Jowisza zawsze będzie istnieć między nami tajemna nić, nie, nie miłości, lecz jakiejś niewypowiedzianej czułości, która może okazać się trwalsza niż miłość”.

Nagle poczuł nieoczekiwaną wdzięczność wobec Cumowa, który wydawał się zaskoczony jego zainteresowaniem Żenią, a jednak nie próbował tego wykorzystać na swoją obronę.

Gdyby tak zrobił, przecież nie byłoby to nieuczciwe. Teraz, kilka dni po tej rozmowie, Floyd zastanawiał się, czy jego własne motywy były całkowicie czyste. Curnow dotrzymał obietnicy — można było nawet odnieść wrażenie, że celowo unika Maksa, przynajmniej wtedy, gdy w pobliżu znajdowała się Żenia. Samą Żenię traktował znacznie bardziej uprzejmie, udało mu się też rozśmieszyć ją parę razy.

W sumie rozmowa z Curnowem przyniosła rezultaty, bez względu na motywy, jakimi kierował się Floyd. Mimo to czynił sobie wyrzuty z powodu zawiści, jaką odczuwał - zawiści właściwej wszystkim osobnikom homo- czy heteroseksualnym - w stosunku do radosnego, pogodzonego ze światem i sobą biseksa.

Dłoń Floyda powędrowała do przycisku nagrywania i cofnęła się; tok jego myśli został przerwany. Zamiast meldunku dla Dmitrija zobaczył przed sobą własny dom i rodzinę. Zamknął oczy, by wspominać urodziny Christophera, od których minęła doba. Obraz syna zdmuchującego trzy świece na urodzinowym torcie - odtwarzał tę scenę już tyle razy, że pamiętał niemal każdy jej szczegół.

Czy Caroline zadba o to, by chłopiec nie zapomniał ojca i nie traktował go jak obcego, kiedy wróci po kolejnych urodzinach? Bał się zadawania takich pytań.

139

Nie winił jej za nic. Dla niego minęło jedynie kilka tygodni i upłynie kilka dalszych, zanim się spotkają. Ona zaś postarzeje się o dwa lata - to bardzo dużo jak dla młodej wdowy, nawet jeśli mąż zmartwychwstaje po hibernacyjnej śmierci.

„Zdaje się, że cierpię na jedną z przypadłości pokładowych” - pomyślał Floyd. Nigdy przedtem nie czuł się tak bardzo zniechęcony, a nawet zrezygnowany. Może stracić rodzinę i dom, a po co to wszystko, co dostaje w zamian? Na nic, zupełnie na nic. Znalazł się u kresu podróży, by stwierdzić, że kończy ją martwa ściana ciemności.

A przecież David Bowman krzyknął kiedyś: „Mój Boże! Tu jest pełno gwiazd!”

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Zjawa

Ostatni edykt Saszy brzmiał:

BIULETYN ROSGIELSKI Nr Temat: Towariszcz (tovarish)

Do naszych amerykańskich gości:

Ludzie, opamiętajcie się! Po raz ostatni słyszałem na Ziemi słowo towariszcz dwadzieścia lat temu, wypowiedane przez mojego dziadka. Każdemu Rosjaninowi żyjącemu w dwudziestym pierwszym wieku kojarzy się ono z pancernikiem „Potiomkin”, czapkami uszanka-mi, czerwonymi flagami i Włodzimierzem Iljiczem przemawiającym do robotników ze stopni wagonu.

Odkąd przyszedłem na ten świat, zwracano się do mnie bratiets lub družok. Wybór należy do was. Dziękuję.

Towariszcz Kowalew

Floyd tłumił jeszcze napady śmiechu po zapoznaniu się z biuletynem Saszy, gdy dołączył do niego Wasilij Orłów płynący korytarzem na mostek.

- To, co najbardziej mnie zdumiewa, towariszcz, to fakt, że Sa-sza znalazł czas na studiowanie czegoś innego poza fizyką inżynierską. Zawsze cytuje wiersze czy sztuki, o których ja nigdy nie słyszałem, a po angielsku mówi lepiej od... Waltera.

141

- Jego zainteresowanie naukami ścisłymi spowodowało, że stał się... jak wy to określicie?... aha, czarną owcą w rodzinie. Jego ojciec prowadził katedrę anglistyki w Nowosybirsku. W domu mówili po rosyjsku tylko od poniedziałku do środy, od czwartku do soboty obowiązywał angielski.

- A w niedzielę?

- Francuski i niemiecki na zmianę.

- No tak, teraz dokładnie rozumiem, co znaczy słowo niekul-turnyj. Pasuje do mnie jak ulał. Czy Sasza nie czuje się winny z powodu swojej... odmienności? Mając takie zaplecze, dlaczego wybrał fizykę?

- W Nowosybirsku można szybko nauczyć się, kto jest sługą, a kto panem. Sasza jest ambitny i bardzo zdolny.

- Podobnie zresztą jak ty, Wasilij.

- Et tu. Brute\ Widzisz, ja też potrafię cytować klasyków. Boże mój!... Co to było?!

Floyd był odwrócony plecami do okna obserwacyjnego i ku swojej rozpaczy nic nie dostrzegł. Gdy wreszcie zdołał po kilku sekundach odwrócić się, jedyną rzeczą, jaką zauważył, była znajoma sylwetka Wielkiego Brata, przecinająca tarczę Jowisza. Wszystko wyglądało normalnie.

Wasilij jednak przez moment, który zapamięta do końca życia, widział scenę... nie, to zupełnie niemożliwe. Wyglądało to tak, jakby nagle otworzyło się okno prowadzące do innego wszechświata.

Trwało to krócej niż przez sekundę, a potem musiał mrugnąć. Kiedy uniósł powieki, zobaczył przed sobą pole gwiazd, a raczej słońce, coś, co wyglądało jak serce galaktyki lub środek mgławicy spiralnej. Wasilij Orłów na zawsze stracił zainteresowanie dla ziemskiego nieba, które od tej chwili wydawało mu się nieznośnie puste. Nawet Orion i Skorpion były ledwie dostrzegalnymi iskierkami światła w porównaniu z wszechświatem, który zobaczył.

Po chwili wszystko zniknęło, ale nie, nie całkiem. W samym środku czarnego prostokąta świeciła gwiazda.

Ale gwiazdy nie poruszają się tak szybko! Orłów ponownie mrugnął. Tak, gwiazda naprawdę mknęła - to nie był twór jego wyobraźni.

Meteoryt? Szok, jaki przeżywał naczelny naukowiec Wasilij Orłów, był tak silny, że dopiero po kilku sekundach uświadomił sobie, że meteoryty przecież nie świecą w próżni pozbawionej atmosfery.

142

Nagle gwiazda zmieniła się w smugę światła i po chwili zniknęła za krawędzią Jowisza. Wasilij dochodził do siebie. Wkrótce znowu stał się chłodnym, obiektywnym obserwatorem.

Miał już ustaloną trajektorię obiektu. Nie mogło być żadnych wątpliwości: gwiazda zmierzała prosto ku Ziemi.

Część piąta

GWIEZDNE DZIECKO

Rozdział trzydziesty

Powrót do domu

Wyglądało to tak, jak gdyby obudził się ze snu - ze snu, który śnił we śnie. Międzygwiezdna brama wypuściła go na powrót do świata ludzi. Ale on sam nie był już człowiekiem.

Jak długo go nie było? Jedno ludzkie życie? Nie, dwa życia: jedno do przodu i jedno w tył.

Jako David Bowman, dowódca i jedyny pozostały przy życiu członek załogi amerykańskiego statku kosmicznego „Discovery”, schwytyany został w gigantyczną pułapkę zastawioną trzy miliony lat wcześniej i reagującą wyłącznie na odpowiedni bodziec w odpowiednim czasie. Pułapka okazała się bramą do innego wszechświata, gdzie zobaczył cuda - niektóre z nich już rozumiał, innych nie pojmie nigdy.

Podróżował coraz szybciej i szybciej nieskończonymi korytarzami światła, aż w końcu stał się szybszy niż ono. Wiedział, że to niemożliwe; dopiero teraz jednak rozumiał, że cud nie jest niczym niezwykłym. Bo jak powiedział Einstein: „Dobry Bóg działa subtelnie i nigdy nie jest złośliwy”.

Minał kosmiczną rozdzielnię, galaktyczną Stację Grand Central, i znalazł się nad powierzchnią olbrzymiego, czerwonego słońca, chroniony przez potężne siły przed wściekłością gwiazdy.

Zobaczył tam wschód słońca nad słońcem, kiedy pojawił się biały karzeł, towarzysz umierającej gwiazdy, ciągnący za sobą falę ognia. Nie bał się, a tylko zdumiewał, nawet wtedy gdy kapsuła kosmiczna zaniósła go wprost do piekieł poniżej... A tam znalazł się - co przechodziło wszelkie wyobrażenia - w wystawnym pokoju hotelowym, w którym na pierwszy rzut oka nie było nic szczególnego. Wszystko

147

jednak okazało się fałszywe: książki na półkach były makietami, pudełka płatków owsianych i puszki z piwem w lodówce zawierały ten sam pokarm, który wyglądał jak chleb, a smakował niczym rajskie przy smaki.

Miał wrażenie, że jest okazem w kosmicznym zoo. Jego klatka została zrekonstruowana na podstawie starych przekazów telewizyjnych. Czekał na pojawienie się gospodarzy i wyobrażał sobie ich wygląd.

Jakże głupie to było z jego strony! Teraz wiedział już, że równie dobrze mógłby czekać na ukazanie się kształtu wiatru lub ognia.

Padał z wyczerpania. David Bowman zasnął po raz ostatni. Był to dziwny sen, wydawało mu się bowiem, że śni na jawie. Coś zawładnęło jego umysłem, niczym mgła pełniąca przez las. Nie czuł nic konkretnego, otaczające go siły działały delikatnie, prawdziwa ich natura zniszczyłaby go jak ogień słońca, w którym się znajdował. Jego umysł został poddany badaniom, ale nie odczuwał ani strachu, ani nadziei.

Podczas tego długiego snu czasami śnił, że nie śpi. Mijały lata. W lustrze wiszącym naprzeciw łóżka dostrzegł pomarszczoną twarz, którą z trudem rozpoznał jako swoją. Jego ciało miało się ku zagładzie, wskazówki zegara biologicznego w szaleńczym tempie zbliżały się do nieosiągalnej północy. W ostatnim ułamku sekundy czas się zatrzymał i odwrócił swój bieg.

Odwróciła też swój bieg jego pamięć. Bowman wracał do przeszłości, przeżywał ją na nowo, ktoś go pozbawiał jego wiedzy i doświadczenia, cofał świadomość do czasu dzieciństwa. Jednakże nic nie uległo zagładzie. Wszystko, czym był, każda chwila jego życia znalazła się w dobrze chronionym depozycie. Gdy przestawał istnieć jeden David Bowman, rodził się następny,

nieśmiertelny, żyjący poza ograniczeniami materii.

Był zarodkiem bogów czekającym na powtórne przyjście. Zawieszony w pustce, wiedział, kim był, lecz nie wiedział, kim stał się obecnie. Jego stan był stanem przejściowym - coś między poczwarką a motylem, może gąsienicą a poczwarką...

I nagle bezruch zakończył się: czas zaczął biec ponownie. Czarna prostokątna płyta, którą ujrzał przed sobą, należała do starych znajomych.

Widział jąna Księżycu, spotkał na orbicie Jowisza i czuł, że kiedyś, dawno temu, widzieli ją jego przodkowie. Płyta zawsze była zagadką, choć teraz już rozumiał niektóre z jej tajemnic.

148

Zdał sobie sprawę, że nie była sama. Były ich miliardy. I bez względu na to, co mówiły instrumenty pomiarowe, zawsze miały ten sam kształt - kształt, który był koniecznością.

Jakże oczywisty stał się teraz matematyczny stosunek jej boków, wyrażający się w sekwencji liczb $1 : 4 : 9!$ I jakże naiwne okazało się przekonanie, że ta sekwencja kończy się tutaj, na trzech najprostszych wymiarach.

Gdy rozważał geometryczną prostotę płyty, jej powierzchnię pokryły gwiazdy. Pokój hotelowy - jeśli w ogóle istniał - rozwiął się w umyśle swego twórcy. Bowman zobaczył przed sobą jasny wir galaktyki.

Mógłby to być jakiś przepiękny, szczegółowy model odlany w bryle plastiku. Jednakże to, co widział, było prawdziwe. Pojął to wtedy, gdy uświadomił sobie, że odbiera rzeczywistość za pomocą zmysłów doskonalszych od wzroku. Jeśli zechciał, mógł dostrzec najdrobniejszą gwiazdę spośród miliardów, jakie miał przed sobą.

I oto znalazł się między rzekami słońc, w połowie drogi od ognistego serca galaktyki do samotnych gwiazd-strażników na jej obrzeżach. Przybywał z dalekiej okolicy niebios, z poskręcane go pasma ciemności, gdzie nie świeciły żadne gwiazdy. Wiedział, że ten bezkształtny chaos, widoczny tylko dzięki mglistej poświacie otaczającej jego brzegi, jest materią tworzenia, surowcem dla przyszłych ewolucji. Tam czas jeszcze się nie zaczął - i nie zacznie się, dopóki nie powstaną martwe gwiazdy, a życie nie wypełni pustki.

Był tam już kiedyś, chociaż nieświadomie. Teraz nadszedł czas, by wykorzystać wiedzę i znaleźć się tam znowu... Dlaczego?

Galaktyka rozerwała ramy jego umysłu. Gwiazdy i mgławice miały go, stwarzając złudzenie nieskończonej prędkości. Słońca wybuchały mu w twarz i zapadały się w przeszłość, gdy przelatywał jak cień przez ich ogniste serca.

Gwiazdy rozwiewały się, poświata Drogi Mlecznej zamieniała się w ducha jasności, którą znał i którą pozna na nowo. Wracał do przestrzeni nazywanej przez ludzi rzeczywistością, znalazł się w tym samym punkcie, z którego wyruszył przed kilkoma sekundami, a może wiekami.

Doskonale wiedział, gdzie się znajduje, otoczenie mówiło do niego na tysiąc sposobów, których nie znał w poprzednim życiu. Mógł skoncentrować się na każdym szczególe i przeniknąć go do granic poznawalności, do dna czasu i przestrzeni, poza którymi istniał tylko chaos.

149

I mógł się poruszać, chociaż nie wiedział jak. Ale czy wtedy gdy miał jeszcze ciało, wiedział, jak się porusza? Nigdy nie zastanawiał się nad łańcuchem poleceń wydawanych członkom przez umysł.

Wysilek woli - i spektrum najbliższej gwiazdy przesunęło się ku błękitowi dokładnie o tyle, ile sobie życzył. Zbliżał się do niej niemal z prędkością światła. Mógłby lecieć szybciej, ale miał czas. Ciągle jeszcze myślał i rozważał... i zdobywał. Znał już swój cel, będący częścią znacznie szerszego

planu, o którym dowie się w odpowiednim czasie.

Nie zwrócił uwagi na bramę między wszechświatami, która zamknęła się za nim, ani na podniecone istoty, krążące wokół bramy w prymitywnych pojazdach. Wszystko to było częścią jego pamięci, teraz przyzywały go potężniejsze siły, wracał do domu, do świata, którego miał nie zobaczyć.

Słyszał miliardy głosów dobiegających coraz wyraźniej z planety przesłoniętej słoneczną koroną; planety, która rosła, zmieniając się z wąskiego półksiężyca w niebieskobiały glob.

Wiedzieli, że nadchodzi. Tam w dole, na tej zatłoczonej planecie, zapalały się światła alarmów na ekranach radarowych, olbrzymie teleskopy przeszukiwały niebo, a historia -jaką znał człowiek - zbliżała się do końca.

Zdał sobie sprawę, że tysiąc kilometrów poniżej obudził się ładunek śmierci pełzający po swojej orbicie. Energia, jaką zawierał, była niewystarczająca, aby mu zagrozić, lecz przyda mu się jej zapas.

Przeniknął do labiryntu obwodów i szybko odnalazł drogę do śmiertelnego trzonu. Większość oprzyrządowania mógł pominąć -to tylko ślepe uliczki, których zadaniem była ochrona. Ominął je. Nie stanowiły dla niego problemu.

Pozostawała ostatnia przeszkoda - prymitywny, lecz skuteczny mechaniczny przekaźnik, izolujący od siebie dwa kontakty. Do momentu zetknięcia styków nie było siły zdolnej uruchomić sekwencję końcową.

Skoncentrował swoją wolę - i po raz pierwszy doznał upokorzenia. Kilkugramowy mikroprzekaźnik nie poddał się. Bowman był przecież czystą energią, a mimo to świat nieożywionej materii pozostał dla niego niedostępny. Istniało jednak inne rozwiązanie.

Ciągle jeszcze musiał się uczyć. Prąd, który wzbudził w przekaźniku, był tak silny, że stopił niemal cewkę, zanim uruchomił mechanizm.

Mijały mikrosekundy. Soczewki zapalników skupiały energię niczym zapalka przytknięta do lontu, który z kolei...

150

Megatony rozkwitły w bezgłośnej detonacji, która oświetliła fałszywym brzaskiem połowę uśpionego świata. Jak Feniks odradzający się z popiołów, przejął potrzebną mu energię, a resztę rozproszył. Poniżej tarcza atmosfery, chroniąca planetę przed tyłoma niebezpieczeństwami, wchłonęła znaczną część promieniowania. Nie zabraknie jednak nieszczęśników - ludzi i zwierząt - którzy nigdy już nie ujrzą tego świata.

Po wybuchu Ziemia zamarła. Umilkł rozgwar fal krótkich i średnich, odbijany przez nagle wzbudzoną j onosferę. Przez niewidzialne lustro otaczające teraz planetę przenikały tylko mikrofały, zbyt wąskie, by mógł je przechwycić. Śledziło go kilka silnych radarów, ale to nie miało żadnego znaczenia. Nie fatygował się nawet, by je zneutralizować, co z łatwością mógłby uczynić. Jeśli pojawią się kolejne śmiertcionośne rakiety, będzie je traktował z podobną obojętnością. Miał teraz wystarczający zapas energii.

Opadał ostrą spiralą ku krajobrazom dzieciństwa.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Disneyville

Jeden filozof z końca stulecia stwierdził— co spotkało się z powszechnym oburzeniem - że Walter Elias Disney bardziej przyczynił się do ludzkiej szczęśliwości aniżeli mistrzowie wszystkich religii razem wzięci. W pół wieku po śmierci słynnego rysownika jego marzenia wciąż się spełniały, zwłaszcza na Florydzie.

Gdy Eksperymentalne Prototypowe Społeczeństwo Jutra otworzyło swe podwoje we wczesnych latach osiemdziesiątych, stanowiło tylko wystawę poświęconą nowym technologiom i sposobowi życia. W myśl założeń fundatora EPSJot mogło jednak spełniać swoje zadania tylko wtedy, gdy na całym obszarze wystawy zamieszkają ludzie, tworząc miasto, które stanie się ich domem. Zajęło to pozostałą część kończącego się stulecia. Obecnie EPSJot zamieszkiwało dwadzieścia tysięcy ludzi, którzy nadali swej siedzibie nazwę Disneyville.

Aby tu zamieszkać, najpierw trzeba było sprostać wymaganiom prawników, będących gwardią przyboczną zmarłego WED. Nic dziwnego, że średnia wieku mieszkańców Disneyville znacznie przewyższała odpowiedni wskaźnik na innych obszarach Stanów Zjednoczonych. Opieka lekarska, jaką tam zapewniano, była lepsza niż gdziekolwiek na świecie. Niektóre dziedziny opieki medycznej były tak bardzo zaawansowane technicznie, że podobnych nie spotykało się nigdzie poza Disneyville.

Mieszkanie zostało zaprojektowane w taki sposób, by nie przypominało sali szpitalnej. Tylko niektóre urządzenia zdradzały prawdzi-

152

wą naturę pomieszczeń. Łóżko znajdowało się więc na wysokości kolan, tak by zminimalizować groźne skutki upadków. W razie potrzeby jednak można je było podnosić i przechylać, co znacznie ułatwiało prace pielęgnacyjne. Wanna została wbudowana w podłogę, miała siedzisko i poręczę, nawet więc ludzie bardzo starzy i chorzy mogli z niej korzystać bez trudu. Podłogi były pokryte grubą wykładziną, a nie dywanami, o które przecież można się potknąć. Wyeliminowano ostre rogi i krawędzie, powodujące różnego rodzaju obrażenia przy upadku. Inne detale nie rzucały się w oczy, szczególnie zadbano o kamery telewizyjne. Ukryte były tak dokładnie, że nikt nie mógł podejrzewać ich obecności.

W pokoju znajdowały się też rzeczy osobiste. Sarta starych książek w jednym kącie i, na ścianie, oprawiona w ramki strona tytułowa „New York Timesa” - pochodząca z czasów, gdy gazeta wydawana była drukiem - z olbrzymim nagłówkiem AMERYKAŃSKI STATEK KOSMICZNY ODLATUJE NA JOWISZA. Obok niej wisiały dwie fotografie: jedna przedstawiała uśmiechniętego nastolatka, druga dojrzałego mężczyznę w mundurze astronauty.

Drobna siwa kobieta, która oglądała serial komediowy w telewizji, nie miała jeszcze siedemdziesiątki, wyglądała jednak starzej. Od czasu do czasu chrząkała z aprobatą na widok kolejnego udanego gagu, mimo to wydawało się, że na kogoś czeka. Spoglądała na drzwi, ujmując jednocześnie laskę opartą o krzesło.

Kiedy drzwi się w końcu otworzyły, nie dostrzegła tego, zajęta perypetiami telewizyjnych komików. Gdy do pokoju wtoczył się wózek, za którym szła pielęgniarzka, staruszka wyglądała tak, jakby miała coś do ukrycia.

- Czas na lunch, Jessie - powiedziała opiekunka. - Mamy dla ciebie coś naprawdę wyjątkowego.

- Obejdzie się.
- Poczujesz się znacznie lepiej.
- Nie będę jadła, dopóki mi nie powiesz, co to jest.
- Dlaczego nie chcesz jeść?
- Nie jestem głodna. A ty? Może ty jesteś głodna? - zapytała z chytrym uśmiechem.

Automatyczny wózek zjedzeniem zatrzymał się przy krześle. Wysunęły się talerze z posiłkiem. Pielęgniarka nie dotykała niczego, nawet konsoli sterowniczej wózka. Stała bez ruchu, z uśmiechem przyklejonym na ustach, wpatrując się w pacjentkę przysparzającą kłopotów.

153

W pokoju kontroli telewizyjnej, znajdującym się pięćdziesiąt metrów dalej, technik medyczny powiedział do lekarza:

- Teraz niech pan patrzy.

Żyłasta dłoń Jessie uchwyciła laskę i zatoczyła nią zadziwiająco szybki łuk w kierunku pielęgniarki.

Siostra stała nie mrugnawszy powieką. Nawet gdy szpikulec laski dosłownie przeciął ją na pół, jej głos brzmiał nie mniej słodko niż przedtem.

- Spójrz, czy to nie wspaniały lunch? Zjedz wszystko, moja droga. Jessie uśmiechnęła się jak uczeń, któremu udał się kawał, ale posłusznie zaczęła jeść. Posiłek wyrażnie jej smakował.

- Widzi pan — powiedział technik. - Ona doskonale wie, co się dzieje. Jest bardziej rozgarnięta, niżby się wydawało.

- Czy ona jest pierwsza?

- Tak. Wszyscy inni wierzą, że naprawdę istnieje siostra Williams, która podaje im posiłki.

- Tak, zresztą nie ma to chyba żadnego znaczenia. Proszę spojrzeć, jak się cieszy, że udało się jej nas przechytrzyć. Zjada wszystko, a przecież o to chodzi. W każdym razie musimy ostrzec pielęgniarki, wszystkie bez wyjątku.

- Dlaczego? No tak, następnym razem możemy zamiast hologramu posłać jej prawdziwą, a wtedy... Wolę nie myśleć o procesach, jakie wytoczą nam pobite pielęgniarki.

Rozdział trzydziesty drugi

Kryształowe Źródło

Indianie, a po nich francuscy osadnicy, którzy przybyli tu z Luizja-ny, twierdzili, że Kryształowe Źródło nie ma dna. Tak nie było, oczywiście, i nawet oni nie wierzyli własnym słowom. Wystarczyło przecież nałożyć maskę i zanurkować, by zobaczyć małą jaskinię, otoczoną falującymi roślinami, z której wypływała przejrzysta woda. A spośród glonów na dnie spoglądały na śmiałków oczy Potwora.

Dwa położone blisko siebie czarne koła nigdy się co prawda nie poruszały, ale nie mogły być niczym innym. Ich obecność dodawała każdej kąpeli dreszczyku emocji. Któregoś dnia Potwór wypłynie ze swojej kryjówki i, nie zwracając uwagi na ryby, zapoluje na grubszą zwierzynę. Bobby i David klócili się z każdym, kto twierdził, że na dnie leży stary, na pewno skradziony rower, tkwiący do połowy w piachu.

Dno oddzielała od powierzchni stumetrowa warstwa wody. Trudno było w to uwierzyć, nawet gdy zmierzono głębokość linką z przywiązanim ciężarkiem. Bobby, starszy i lepszy nurek, przepływał tylko jedną dziesiątą głębokości i mówił, że dno było tak daleko jak zawsze.

Teraz jednak Kryształowe Źródło miało w końcu ujawnić swoje tajemnice. Może sprawdzi się legenda o skarbie konfederatów ukrytym w głębinach, legenda, której zaprzeczali wszyscy miejscowi historycy. W najgorszym wypadku przysłużą się szeryfowi - a to zawsze mogło się przydać — zabierając z dna pistolety, które wrzucali tam przestępcy.

Mały kompresor, Bobby znalazł go niedawno w garażu, terkotał wesoło, chociaż z początku mieli trudności z jego uruchomieniem.

155

Co kilka sekund krztusił się i wypuszczał obłoczek błękitnego dymu, ale spodziewali się, że ich nie zawiedzie.

- A nawet jeśli, to co z tego? - mówił Bobby. - Dziewczyny z Podwodnego Teatru wypływają bez powietrza z pięćdziesięciu metrów, a my? Nic nam nie grozi.

W takim razie - zastanawiał się przez moment Dave - dlaczego nie powiedzieliśmy mamie i czemu czekaliśmy, aż tata pojedzie na przylądek, by polecieć promem? Ale przecież Bobby zawsze wiedział wszystko najlepiej. To musi być cudownie - mieć siedemnaście lat i wiedzieć wszystko. Dave tylko żałował, że Bobby coraz więcej czasu spędza z tą głupią Bertą Schultz. Jasne, że była ładna, ale, do cholery, to przecież tylko dziewczyna! I nawet dzisiaj nie mogli się jej pozbyć!

Dave przyzwyczaił się do roli zwierzątka doświadczalnego; w końcu po to są młodszy bracia. Poprawił maskę, nałożył płetwy i zanurzył się w krystalicznej wodzie.

Bobby podał mu rurę z przyczepionym na końcu starym aparatem do oddychania. Dave wziął głęboki oddech i skrzywił się.

- Smakuje okropnie.

- Przyzwyczaisz się. Najpierw zanurkuj do pierwszej krawędzi. Jak się zatrzymasz, nastawie odpowiednio ciśnienie, tak by nie tracić za dużo powietrza. I wypływaj, jak pociągnę za rurę.

Dave zanurkował. Wokół rozpościerał się świat cudów: spokojna, jednokolorowa otchłań, zupełnie inna niż rafy na otwartym morzu. W przeciwieństwie do tęczowego świata podmorskich zwierząt i roślin Kryształowe Źródło miało tylko jedną barwę: zielonkawy błękit, w którym ryby wyglądały jak ryby, a nie jak motyle.

Nurkował coraz niżej, ciągnąc za sobą rurę z powietrzem, z której korzystał oszczędnie. Czuł się tak wspaniale wolny, że prawie zapomniał o oleistym smaku w ustach. Gdy dotarł do krawędzi - starego pokrytego glonami pnia, który wyrastał nad pionową przepaścią- zatrzymał się i rozejrzał dookoła.

Spojrzał w dół, na zielone ściany wypełnionej wodą krateru, którego dno wciąż było odległe o sto metrów. Pływało tu niewiele ryb, ale dostrzegł małą ławicę, która go minęła, podobną do srebrzystych monet rozsypanych w słońcu.

Zauważył również dobrego znajomego, który usadowił się jak zwykle w przesmyku pomiędzy źródłem a morzeni. Mały aligator („Ale wystarczająco duży - powiedział kiedyś radośnie Bobby - by mnie przerastać”) wisiał pionowo, bez żadnego oparcia. Na po-

156

wierzchni widać było tylko jego nos. Nigdy go nie zaczepiali, on także zostawiał ich w spokoju.

Poczuł, że rura gwałtownie się napręża. Ucieszył się, że wraca. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo może być zimno w tej przejrzystej wodzie. Było mu również niedobrze. Ale wkrótce słońce przywróciło mu dobry humor.

- Żadnych problemów - powiedział z zadowoleniem Bobby. - Jak zejść na dół, pamiętaj, żebyś regulował ciśnienie tak, aby wskazówka nie opadła poniżej czerwonej linii.

- Jak głęboko chcesz zejść?

- Na sam dół, jeśli będzie trzeba.

Dave nie potraktował tego poważnie. Obydwaj dobrze wiedzieli o ekstazie głębinowej i azotowej śpiączce. Tak czy siak, stary wąż ogrodowy nie miał więcej niż trzydzieści metrów. Wystarczy, jak na pierwszą próbę.

Teraz również, jak wiele razy przedtem, patrzył pełen podziwu na starszego brata, który wyruszał na podbój nieznanego. Bobby zanurzył się i nadzwyczaj zręcznie popłynął w głąb tajemniczego, niebieskiego świata. Odwrócił się po raz ostatni, wskazując na wąż, co znaczyło, że potrzebuje więcej powietrza.

Pomimo nagłego bólu głowy Dave pamiętał o swoich obowiązkach. Dopadł starego kompresora i otworzył zawór na maksimum -pięćdziesiąt części na milion tlenu węgla.

Po raz ostatni widział, jak Bobby opada pewnie na dno - sprężysta sylwetka oświetlona słońcem, niedostępna dla nikogo. Woskowa figura leżąca w cmentarnej kaplicy nie miała nic wspólnego z jego bratem, Robertem Bowmanem.

Rozdział trzydziesty trzeci

Betty

Po co wracał tutaj jak niespokojny duch, ścigany przez dawne zbrodnie? Nie miał pojęcia. Nie zdawał sobie sprawy, dokąd leci, dopóki nie zobaczył Kryształowego Źródła pośród lasów.

Był władcą świata, a jednocześnie odczuwał paralizujący smutek, jakiego nie zaznał od lat. Czas jak zwykle wygoił rany, ale to przecież dopiero wczoraj łkając stał nad lustrzaną taflą wody, w której odbijały się strzeliste cyprysy porośnięte hiszpańskim mchem. Co się z nim działo?

Teraz znów jakby wbrew swej woli płynął, unoszony lekkim prądem, w stronę północy, ku stolicy stanu. Szukał czegoś, ale nie wiedział czego. Może dowie się, jak znajdzie?

Nikt ani nic nie dostrzegło jego obecności. Nie wydzieliał rozrzutnie energii, nauczył się nią sterować, tak jak kiedyś opanował chodzenie. Opadł niczym mgła do podziemnego schronu, gdzie zanurzył się w sieci miliardów bitów elektronicznej pamięci i wsłuchał w szept delikatnych prądów myśli.

To zadanie należało do znacznie bardziej skomplikowanych niż doprowadzenie do wybuchu bomby jądrowej, toteż zajęło mu więcej czasu. Zanim odnalazł informację, której szukał, popełnił jeden drobny błąd, ale nie chciało mu się go naprawiać. Po miesiącu nikt nie mógł zrozumieć, dlaczego trzystu podatników z Florydy, których nazwiska zaczynały się na „F”, otrzymało czeki opiewające na sumę dokładnie jednego dolara. Wyjaśnienie całej sprawy kosztowało znacznie więcej, niż wynosiła nadpłata. Zaskoczeni specjaliści od komputerów przypisywali winę strumie-

158

niowi promieniowania kosmicznego i w gruncie rzeczy nie byli dalecy od prawdy.

Po kilku milisekundach przeniósł się z Tallahassee do Tampa, na Południową Ulicę Magnoliową nr 634. Był to wciąż ten sam adres. Nie musiał tracić czasu na sprawdzanie. Wcale zresztą nie miał zamiaru go sprawdzać aż do momentu, gdy to uczynił.

Po trzech porodach i dwóch skrobankach Betty Fernandez z domu Schultz była ciągle piękną kobietą. W tej chwili była także zamyśloną kobietą, wpatrującą się w obrazy na ekranie telewizora, które nasunęły jej falę wspomnień - słodkich i gorzkich zarazem.

Telewizja emitowała właśnie wydanie specjalne Wiadomości, poświęcone wydarzeniom z ostatnich dwunastu godzin, które zapoczątkowało ostrzeżenie przesłane z pokładu „Leonowa”. Coś zbliżyło się do Ziemi, coś zdetonowało - w sposób na szczęście niegroźny - orbitującą bombę jądrową, do której nikt się nie przyznawał. I to wszystko, ale czy to mało?

Komentatorzy dokopali się do starych taśm wideo - niektóre były rzeczywiście taśmami - z zarejestrowanym na nich odkryciem ściśle tajnego kiedyś obiektu TMA-1. Po raz chyba pięćdziesiąty nadawano radiowy sygnał wysłany przez Monolit w kierunku Jowisza wraz z nadejściem księżycowego świtu. I po raz nie wiadomo który przypominano sceny i wywiady nagrane na pokładzie „Discovery”.

Dlaczego to oglądała? Miała przecież nagranie w swoim domowym archiwum (choć Jose o tym nie wiedział). Może oczekiwała na jakiś nowy szczegół? Bała się przyznać nawet przed sobą, jak bardzo ważna była dla niej ta przeszłość.

Pokazywali Dave'a, czego się spodziewała. Był to stary wywiad dla BBC, który znała niemal na pamięć. Dave mówił o Halu, rozważając problem samoświadomości komputera.

Jakże młody był wtedy, jak bardzo inny niż na ostatnich niewyraźnych obrazach przesłanych ze

skazanego na zagładę „Discove-ry”! I jak bardzo był podobny do Roberta.

Jej oczy napełniły się łzami, obraz telewizyjny stracił ostrość. Nie, to coś w telewizorze, a może zepsuł się przekaźnik. Obraz i dźwięk pojawiały się i zanikały.

Na ekranie widać było, że Dave coś mówi, ale nie słyszało się głosu. Wkrótce jego twarz rozplynęła się w pojedynczych kolorowych pasemkach. Po chwili znów się pojawiła, zniknęła na chwilę i znowu była na ekranie. Ale wciąż brakowało dźwięku.

159

Skąd wzięli to zdjęcie? To nie był dorosły Dave, lecz Dave jako chłopiec. Był taki jak wtedy, gdy go poznała. Spoglądał na nią z e-kranu niemal tak, jakby ją widział.

Uśmiechnął się i powiedział:

- Cześć, Betty!

Z łatwością dobierał słowa i wtlaczał je w pulsujące prądem obwody telewizora. Trudniej mu było panować nad biegiem własnych myśli, tak by nadażał za nimi ludzki mózg. A potem całe wieki oczekiwania na odpowiedź...

Betty Fernandez była silna. Była także inteligentna i chociaż od dwunastu lat zajmowała się wyłącznie domem, nie zapomniała, czego uczono ją na kursach obsługi urządzeń elektronicznych. Oto miała przed sobą kolejny cud elektronicznej stymulacji. Pogodziła się z tą myślą, nad szczegółami zastanowi się później.

- Dave - odezwała się - Dave, czy to naprawdę ty?

- Nie jestem pewien - odpowiedziała twarz z ekranu dziwnym głosem bez intonacji. - Ale pamiętam Dave'a Bowmana i wszystko, co się z nim wiąże.

- Czy on nie żyje? Kolejne trudne pytanie.

- Jego ciało, tak. Ale to nie ma większego znaczenia. Cały Dave Bowman jest teraz częścią mnie.

Betty przeżegnała się - przejęła ów gest od Jose - i wyszeptwała:

- Czy to znaczy, że jesteś duchem?

- Nie znam lepszego słowa.

- Po co przyszedłeś?

- Och, Betty! Po co przyszedłem! Gdybyś tylko mogła mi powiedzieć...

Znał przynajmniej część odpowiedzi i ta część pojawiła się na ekranie telewizora. Podział na sprawy ciała i ducha okazał się niezbyt trwały, bo nawet naj swobodniejsza ze stacji kablowych nie zezwoliłaby na zdjęcia tak wyrafinowanych scen erotycznych jak te, które oglądała teraz Betty.

Uśmiechała się z wyrazem smutku na twarzy. A potem odwróciła głowę, nie ze wstydu, lecz z ogromnego żalu za utraconym światem rozkoszy.

- A więc to nie jest prawda — powiedziała po chwili — to, co mówią nam o aniołach.

Czy ja jestem aniołem? - zastanawiał się. W końcu zrozumiał dlaczego - gnany smutkiem i pożądaniem - przyszedł na to spotkanie

160

z przeszłością. Najsilniejszym uczuciem, jakiego doznał kiedykolwiek, była miłość do Betty. Rozpacz i poczucie winy z powodu śmierci brata sprawiały, że związek z nią jeszcze się zacieśnił.

Nigdy mu nie powiedziała, czy był lepszym kochankiem niż Bob-by. Nigdy zresztą o to nie pytał, obawiając się, że czar pryśnie. Obydwoje ulegli temu samemu złudzeniu, szukając w swoich ramionach (a miał wtedy dopiero siedemnaście lat i upłynęły niecałe dwa lata od pogrzebu) ukojenia bolesnej rany.

Oczywiście, to nie mogło długo trwać, ale miłość do Betty całkowicie go zmieniła. Przez

dziesięć lat wszystkie jego fantazje erotyczne obracały się wokół tej dziewczyny. Nigdy nie udało mu się znaleźć kobiety, która mogłaby ją zastąpić, w końcu przestał więc szukać. I żadnej innej kobiety na świecie nie odwiedził duch ukochanego.

Sceny erotyczne zniknęły z ekranu. Przez moment telewizor odbierał zwykły program, niewyraźne zdjęcia „Leonowa” na tle 10. A potem znowu wrócił Dave Bowman. Nie panował nad sobą, obraz twarzy bowiem wypadł znacznie gorzej niż poprzednio. Na ekranie było widać to dziesięcioletniego chłopca, to dwudziesto- lub trzydziestoletniego mężczyznę, a w końcu - rzecz zupełnie nieprawdopodobna - pomarszczoną mumię, w której Betty z trudem dopatrzyła się rysów twarzy człowieka, którego znała.

- Mam jeszcze jedno pytanie, zanim odejdę. Chodzi o Carlosa. Zawsze mówiłaś, że jest synem Jose, a ja nigdy ci nie wierzyłem. Powiedz mi teraz prawdę.

Betty Fernandez po raz ostatni spojrzała w oczy chłopca, którego kiedyś kochała. Znowu miał osiemnaście lat i przez moment chciała zobaczyć całe jego ciało, a nie tylko twarz.

- To jest twój syn - wyszeptała.

David zniknął. Na ekran powrócił zwykły program. Gdy po godzinie cicho wszedł do pokoju Jose Fernandez, zastał żonę wpatrzoną w telewizor.

Nie odwróciła głowy, kiedy pocałował ją w szyję na powitanie.

- Nie uwierzysz, Jose, temu, co powiem.

- Spróbuj.

- Właśnie okłamałam ducha.

Rozdział trzydziesty czwarty

Pożegnanie

Kiedy Amerykański Instytut Aeronautyki i Astronautyki opublikował w roku 1997 swój kontrowersyjny raport, zatytułowany Pięćdziesiąt lat UFO, wielu krytyków zarzucało mu, że nie zidentyfikowane obiekty latające mają znacznie dłuższą historię, że zdarzenie z roku 1947, gdy Kenneth Arnold jakoby po raz pierwszy zobaczył latający spodek, miało mnóstwo precedensów. Ludzie widywali dziwne rzeczy na niebie od zarania dziejów, aż do połowy dwudziestego wieku były to jednak fenomeny, które nie wywoływały szerszego zainteresowania. Później UFO stały się domeną naukowców i dziennikarzy, a także oparciem dla czegoś, co można by wyjaśnić tylko na podstawie dociekań religijnych.

Powodów było wiele: zbudowanie olbrzymiej rakiety na początku ery kosmicznej zwróciło uwagę ludzi na inne światy. Fakt, że wkrótce będą mogli opuszczać macierzystą planetę, nasuwał pytania, których nie sposób było uniknąć: Czy kosmos zamieszkują inne istoty? Czy możemy spodziewać się gości stamtąd? Pytaniom tym towarzyszyła nadzieja, wprawdzie nieczęsto wyrażana, że przyjaźnie usposobione istoty z gwiazd pomogą ludzkości w rozwiązaniu jej problemów i w uniknięciu przyszłych katastrof.

Każdy student psychologii mógł przewidzieć, że tak formułowana potrzeba znajdzie wkrótce zaspokojenie. W drugiej połowie dwudziestego wieku zaczęły w wielkich ilościach napływać informacje o nie zidentyfikowanych obiektach latających, które widywano we wszystkich częściach globu. Ponadto krążyły opowieści o „bliskich spotkaniach” z pozaziemskimi gośćmi, o kosmicznych wycieczkach,

162

porwaniach, a nawet miesiącach miodowych. Większość tych historii okazywała się urojeniem lub wytworem halucynacji, co nie uszczuplało jednak rzeszy wiernych. Ludzie, którzy oglądali jakoby miasta na ciemnej stronie Księżyca, nie wyrzekli się swoich przekonań, nawet gdy badania „Orbitera” i loty „Apolla” udowodniły ponad wszelką wątpliwość brak jakichkolwiek sztucznych obiektów na satelicie Ziemi. Panie, które poślubiły Wenusjan, ciągle oczekiwały powrotu mężów, mimo że ich planeta okazała się gorętsza niż stopiony ołów.

W czasie gdy AIAA opublikował swój raport, żaden szanujący się naukowiec -włącznie z tymi, którzy kiedyś dawali wiarę opowieściom o UFO — nie budował swojej reputacji na wiązaniu nie zidentyfikowanych obiektów latających z życiem poza Ziemią czy istnieniem pozaziemskich inteligencji. Oczywiście nie było żadnych dowodów, że związek taki nie istnieje, równie dobrze zatem miliardy obserwacji poczynione w ciągu wieków mogły okazać się prawdziwe. Szerokie rzesze straciły jednak zainteresowanie problemem w momencie, gdy kamery satelitów i radary przeszukujące niebo nie dostarczyły konkretnych dowodów działalności UFO. Pozostali jedynie okultyści ze swoimi pismami i książkami, w których uparczywie przypominano stare fakty bez większego znaczenia dla współczesności.

Po ogłoszeniu na koniec odkrycia Monolitu z Tycho, czyli TMA-1, na całej Ziemi rozległ się chóralny okrzyk: „A nie mówiłem!” Już nie można było zaprzeczać faktom, a świadczyły one, że przed trzema milionami lat Księżyc odwiedzili goście, którzy prawdopodobnie dotarli również na Ziemię. Natychmiast niebiosy znowu zaroily się od nie zidentyfikowanych obiektów latających, mimo że trzy niezależnie działające stacje namiarowe, które mogły wysledzić na niebie przedmioty

wielkości długopisu, w dalszym ciągu nie potwierdzały istnienia UFO.

I znów liczba relacji zmniejszyła się do „poziomu szumów” — nie przekraczała wielkości, którą można wytłumaczyć pojawiającymi się na niebie fenomenami astronomicznymi, meteorologicznymi i aero-nautycznymi.

Teraz jednak wszystko zaczęło się od początku, o pomyłce nie mogło być mowy - wiadomość wszak pochodziła ze źródeł oficjalnych. Do Ziemi zbliżał się prawdziwy nie zidentyfikowany obiekt latający.

Już w kilka minut po ostrzeżeniu przesłanym z „Leonowa” zaczęły napływać informacje o dostrzeganiu obiektu. Pierwsze „bliskie spotkania” nastąpiły kilka godzin później. Emerytowany makler giełdowy, który spacerował właśnie z buldogiem po wrzosowisku

163

w Yorkshire, ujrzał nagle ku swemu przerażeniu lądujący pojazd kosmiczny w kształcie dysku. Wysiadła z niego istota przypominająca człowieka - z tą różnicą, że jej uszy były ostro zakończone - i zapytała o drogę na Downing Street. Emeryt zdołał tylko wskazać laską ogólny kierunek na Whitehall. Przekonującym dowodem spotkania był fakt, że buldog - nie mniej zszokowany niż jego pan - odmawia od tamtej pory przyjmowania pokarmu.

Makler nie cierpiał nigdy na zaburzenia umysłowe, lecz nawet ci, którzy wierzyli mu bez reszty, mieli trudności z zaakceptowaniem kolejnej relacji. Pochodziła od baskijskiego pasterza, który zgodnie z tradycją swojego narodu przekraczał nielegalnie granicę hiszpańsko-francuską. Ku jego wielkiej uldze dwaj ubrani w płaszcze mężczyźni, na wylot świdrujący go wzrokiem, nie okazali się pracownikami służb celnych. Pytali jedynie o drogę do Narodów Zjednoczonych...

Mówili świetnie po baskijski, a język to niezwykle trudny i nie wchodzący w skład żadnej znanej rodziny języków. Goście z kosmosu byli wprawdzie wspaniałymi lingwistami, ale zabrakło im odrobiny wiedzy geograficznej.

I tak spotkanie za spotkaniem sprawa zataczała coraz szersze kręgi. Bardzo niewiele osób zgłaszających kontakt z UFO było naprawdę szalonych lub kłamało w sposób oczywisty. Większość szczerze wierzyła we własne opowieści i potwierdzała je nawet w stanie hipnozy. Niektórzy padli ofiarą żartów lub zbiegów okoliczności, jakną przykład niefortunny archeolog amator, który odkrył na tunezyjskiej pustyni rekwizyty pozostawione tam przed czterdziestu laty przez ekipę kręcącą film science fiction. A inni, no cóż...

Tylko na początku i pod sam koniec ludzie zdali sobie sprawę z jego obecności, a stało się tak, ponieważ on tego chciał.

Cały świat należał do niego. Mógł badać go i przenikać bez żadnych ograniczeń. Żadne ściany nie stanowiły przeszkody, żaden sekret nie był wystarczająco dobrze strzeżony. Z początku wydawało mu się, że spełnia stare marzenia odwiedzając miejsca, w których nie było mu dane przebywać we wcześniejszym życiu. Dopiero później zrozumiał, że jego błyskawiczne podróże po całym globie miały głębszy sens.

Służył za sondę w badaniach wszelkich aspektów ludzkiego życia. Sterowano nim w sposób tak wyrafinowany, że ani przez chwilę

164

tego nie odczuwał. Był myśliwskim psem na smyczy, któremu pozwala się na samodzielne wyprawy, ale ich zasięg ogranicza długość linki trzymanej przez pana.

Piramidy, Wielki Kanion, skąpane w księżycowym świetle ośnieżone stoki Mount Everestu - wszystko to wybrał sam, podobnie zresztą jak niektóre galerie sztuki i sale koncertowe. Natomiast wycieczka do Ringu wydała mu się podejrzenie długa.

A już zupełnie nie miał ochoty na zwiedzanie fabryk, więzień i szpitali, oglądanie lokalnej wojny w Azji, obserwację toru wyścigowego czy skomplikowanej orgii w Beverly Hills, zapoznanie się z Pokojem Ovalnym w Białym Domu, z archiwum Kremla, zbiorami Biblioteki Watykańskiej lub ze świętym Czarnym Kamieniem w Mekce...

Zdarzyły się także wyprawy, z których nie zachował żadnego wspomnienia, jakby ktoś ocenzurował ich treść albo chronił go przed nimi niczym anioł stróż. Na przykład...

Co robił w Muzeum im. Leakeya w Olduvai Gorge? Sprawa pochodzenia człowieka nie pasjonowała go bardziej niż każdego innego inteligentnego okazu gatunku Homo sapiens. W skamielinach nie upatrywał nic szczególnego, a mimo to słynne czaszki, chronione niczym klejnoty królewskie, wywoływały dziwne skojarzenia w jego pamięci i niepokój, którego nie potrafił wytłumaczyć. Silniej niż kiedykolwiek przedtem odczuł ten dziwny fenomen: deja vu. Znał to miejsce, ale coś się nie zgadzało. Czuł się jak podczas odwiedzin w domu, w którym poprzestawiano wszystkie meble, przesunięto ściany i przebudowano klatkę schodową.

Był to niegościnnie wrogi teren, suchy i spieczony słońcem. Gdzie się podzieli ci wszyscy roślinożercy, którzy biegali po soczystej trawie tych równin trzy miliony lat temu?

Trzy miliony lat. Skąd o tym wiedział? Cisza, która wchłonęła pytanie, była jedyną odpowiedzią. A potem, kolejny już raz, zobaczył przed sobą znajomy czarny prostokąt. Zbliżył się do niego. W niezmiernych głębinach hebanowej tafli dostrzegł niewyraźny kształt, niczym odbicie w jeziorze atramentu.

Smutne zalęknione oczy spoglądały na niego spod owłosionego, cofniętego czoła. Wpatrywały się w przyszłość, której nie poznają, bo przecież to on był przyszłością - sto tysięcy pokoleń dalej w strumieniu czasu.

Te oczy widziały początek historii - to już zrozumiał. Ale jak -i przede wszystkim: dlaczego - wciąż ukrywano przed nim tajemnicę?

165

Pozostało mu jedno zadanie do spełnienia, najtrudniejsze ze wszystkich. Był jeszcze wystarczająco ludzki, by odłożyć je na sam koniec.

- A teraz o co jej chodzi? - pytała siebie dyżurna pielęgniarka, wpatrując się w monitor ukazujący staruszkę. Robiła już wiele rzeczy, ale dopiero pierwszy raz rozmawia z aparatem słuchowym. Na Boga, o co jej chodzi?

Mikrofon nie był wystarczająco czuły, by wychwycić słowa, ale nie miało to większego znaczenia. Jessie Bowman rzadko bywała tak spokojna i zadowolona. Zamknęła oczy, a na jej twarzy pojawił się wyraz niebiańskiego uniesienia, podczas gdy usta poruszały się, szeptem wymawiając niezrozumiałe słowa.

A potem pielęgniarka zobaczyła coś, o czym później starała się zapomnieć, gdyż meldunek o tym zdarzeniu natychmiast by ją zdyskwalifikował w oczach zwierzchników. Otóż grzebień leżący na stoliku przy łóżku Jessie uniósł się wolno w powietrze, jak gdyby podniosła go niewidzialna ręka. Zbliżył się do głowy staruszki i niezdarnie zaczął czesać jej długie siwe włosy.

Jessie Bowman przestała mówić, lecz uśmiechała się bez przerwy. Grzebień poruszał się coraz sprawniej, rozczesując splątane końce włosów.

Pielęgniarka nie była pewna, jak długo to trwało. Dopiero kiedy grzebień powrócił na miejsce, odzyskała siły.

Dziesięcioletni Dave Bowman zakończył czynność, którą zawsze wykonywał niechętnie, lecz matka ją uwielbiała. Obecny Dave Bowman - istota pozbawiona wieku - po raz pierwszy zapanował nad materią nieożywioną.

Gdy pielęgniarka dotarła w końcu do pokoju Jessie Bowman, staruszka ciągle się uśmiechała. Młoda kobieta była za bardzo wystraszona, aby się pośpieszyć, lecz nie miało to już większego znaczenia.

Rozdział trzydziesty piąty

Rehabilitacja

Hałas, jaki podniósł się na Ziemi, docierał do „Leonowa” w znacznie wyciszonej formie. Załoga z zainteresowaniem, ale i z poczuciem dystansu przysłuchiwała się debatom Narodów Zjednoczonych, wywiadom z wybitnymi uczonymi, wywodom teoretycznym komentatorów, a także kolejnym, sprzecznym ze sobą, meldunkom o spotkaniach z UFO. Nie mogli wniesić nic nowego do ziemskich debat, nie zaobserwowali żadnych kolejnych niezwykłości. Zagadka alias Wielki Brat była tak samo obojętna jak dawniej. Sytuacja stawała się irytująca: przybyli z Ziemi, by rozwiązać zagadkę, a ona tymczasem przeniosła się na Ziemię.

Po raz pierwszy cieszyli się z takiej jak zawsze prędkości światła i dwugodzinnej przerwy czasowej oddzielającej ich od Ziemi, przerwy, która uniemożliwiała przeprowadzanie wywiadów na żywo. Mimo to Floyd został zasypany tyloma prośbami o komentarz, że w końcu postanowił zastrajkować. Nie miał nic więcej do powiedzenia, a to, co miał, powtórzył już co najmniej kilkanaście razy.

Poza tym ciągle mieli dużo pracy. Trzeba było przygotować „Leonowa” do długiej drogi powrotnej, i to przygotować szybko, ponieważ wkrótce miało otworzyć się okno optymalnej konfiguracji planet. Czas jednak nie był tu najważniejszy -nawet gdyby spóźnili się o miesiąc, groziło im tylko wydłużenie drogi do domu. Chandra, Curnow i Floyd — uśpieni także na czas powrotu — nie będą mogli wyrazić żalu z powodu opóźnienia. Reszta załogi była jednak zdecydowana odlecieć najszybciej, jak na to pozwolą prawa mechaniki gwiazdnej.

167

Mieli również wiele problemów z „Discovery”. Zapasy paliwa ledwie wystarczą, by mógł on wrócić na Ziemię, nawet przy założeniu, że „Discovery” odleci później niż „Leonów” i wybierze najbardziej energooszczędną trajektorię, która dopiero po trzech latach sprowadzi statek na Ziemię. A wszystko to będzie możliwe, jeśli Hal zdoła wypełnić program powrotu bez ludzkiej pomocy, która miała ograniczać się do monitorowania funkcji komputera. Bez współpracy Hala „Discovery” będzie stracony na zawsze.

Odbudowa osobowości Hala była niezwykle fascynującym, a nawet poruszającym procesem. Komputer przechodził wszystkie stadia rozwoju: od niemowlęstwa, przez dojrzewanie, aż do pełnej dorosłości. Floyd zdawał sobie sprawę, że antropomorficzne porównania w przypadku komputera były nad wyraz niestosowne, ale trudno było ich uniknąć.

Niekiedy cała ta sytuacja przypominała Floydowi klasyczny film psychologiczny w którym młodociany przestępca przechodzi resocjalizację pod kierunkiem jednego ze spadkobierców legendarnego Zygmunta Freuda. I to wszystko rozgrywało się w cieniu Jowisza!

Elektroniczna psychoanaliza przebiegała z zawrotną szybkością, nie do pojęcia dla zwykłych śmiertelników. Programy naprawcze i diagnostyczne odbudowywały osobowość Hala, wskazując prawdopodobne usterki i korygując je z prędkością miliardów bitów na sekundę. Większość tych programów została przetestowana na bliźniaku Hala, SAL-u 9000, mimo to poważnym utrudnieniem była niemożność prowadzenia dialogów w czasie rzeczywistym przez obydwie komputery. Niekiedy mijały długie godziny, zanim sprawdzono na Ziemi jakiś element istotny dla terapii.

Mimo wysiłków Chandry rehabilitacja komputera nie była jeszcze ukończona. Hal w dalszym ciągu wykazywał liczne idiosynkrazje i oznaki nerwowości, co niekiedy przybierało formę

ignorowania poleceń ustnych. Natomiast przy wprowadzaniu rozkazów za pomocą klawiatury nie występowały żadne problemy. Podobnie reagował w przypadku odpowiedzi.

Czasami Hal odpowiadał głosem, odmawiał zaś wyświetlenia odpowiedzi na monitorze. Innym razem pozostawał obojętny na polecenie zrobienia wydruku. Nie podawał zresztą żadnych wyjaśnień swoich dziwnych reakcji, nie usłyszeli nawet słynnego: „Bo tak mi się podoba”, którym posługiwał się Melvillowski autystyczny skryba Bartleby.

Zachowanie Hala trudno jednak było nazwać nieposłuszeństwem, chodziło raczej o niechęć do wykonywania pewnych czyn-

168

ności. Zawsze można go było namówić, „aby przestał się dąsać” — jak ujął to Curro w.

Doktor Chandra był bardzo wyczerpany. Zdarzało mu się tracić panowanie nad sobą, tak jak wtedy, gdy Maks Brajlowski przypominał - bez złych zresztą intencji - starą kaczkę dziennikarską.

- Czy to prawda, doktorze Chandra, że wybrał pan imię Hal, ponieważ brzmiało lepiej niż IBM?

- Bzdura! Połowa ludzi pracujących nad Halem przyszła do nas z IBM, a całą tę historię z nazwą wymyślili dziennikarze. Sądziłem, że każdy jako tako inteligentny osobnik na tym statku wie, że nazwa HAL-a pochodzi od skrótu Heurystyczno-ALgorytmiczny.

Maks zaklinał się później, że w słowach Chandry można było usłyszeć duże litery.

Osobistym zdaniem Floyda szansa, że Hal sprowadzi „Discovery” na Ziemię, przedstawiała się jak jeden do pięćdziesięciu. Ze zdziwieniem przyjął więc niezwykłą propozycję Chandry.

- Doktorze Floyd, czy mógłbym zamienić z panem dwa słowa?

Chandra w dalszym ciągu przestrzegał wszystkich norm towarzyskich. Odnosiło się to do całej załogi i nawet Żenią była dla Chandry „panią Żenią”.

- Oczywiście, Chandra. O co chodzi?

- Ukończyłem w zasadzie programowanie sześciu najbardziej prawdopodobnych wariantów orbity powrotnej Hohmanna. Pięć z nich sprawdzono na symulatorze i wszystko jest w porządku.

- Wspaniale. Jestem pewny, że nikt na Ziemi, ba, w całym Układzie Słonecznym nie zrobiłby tego lepiej.

- Dziękuję. Jednakże zdaje pan sobie sprawę z niemożliwości zaprogramowania komputera na każdą okoliczność. Z czasem mogą się pojawić różne drobiazgi, które człowiek potrafi naprawić za pomocą śrubokrętu, a komputer jest wobec nich bezradny. Może to się skończyć niepowodzeniem misji.

- To prawda. Mnie również to martwi, ale co można zrobić?

- Jest proste wyjście: chciałbym zostać na „Discovery”.

Pierwszą reakcją Floyda była myśl, że Chandra oszalał. Po chwili uzmysłowił sobie, że Hindus - mimo obłąkania — ma trochę racji. Obecność człowieka na pokładzie mogła rzeczywiście zdecydować o pomyślności powrotu. Jednak sam pomysł był szaleństwem.

- To ciekawy pomysł - odparł ostrożnie Floyd - i doceniam pańskie zaangażowanie. Ale czy przemyślał pan wszystkie problemy, jakie się z tym wiążą?

169

Postąpił głupio, pytając o przemyślenia. Chandra miał gotową odpowiedź na wszystko.

- Będzie pan sam ponad trzy lata! - kontynuował Floyd. - Przypuśćmy, że pan zachoruje albo zdarzy się jakiś wypadek!

- Jestem gotów podjąć takie ryzyko.

- A co zjedzeniem, wodą? „Leonów” nie ma wystarczających zapasów.

- Sprawdziłem systemy odzysku na „Discovery”. Można je bez trudu uruchomić. Poza tym my,

Hindusi, potrzebujemy tak niewiele do życia.

Chandra niezwykle rzadko odwoływał się do swojego pochodzenia czy jakichkolwiek szczegółów osobistych. Godzina szczerości była jedynym wyjątkiem, który pamiętał Floyd. Uwierzył jednak słowom Chandry. Curnow rzucił kiedyś uwagę, że taki wygląd, jaki ma doktor Chandra, można osiągnąć tylko dzięki głodzeniu się od pokoleń. Brzmiało to jak nie najlepszy dowcip, Curnow jednak wyjątkowo mówił ze współczuciem i, rzecz jasna, nie w obecności Chandry.

- No cóż, mamy jeszcze kilka tygodni do podjęcia ostatecznej decyzji. Przemyślę całą sprawę i przedyskutuję z Waszyngtonem.

- Dziękuję. Czy w takim razie mogę rozpocząć przygotowania?

- Co? Ach tak, oczywiście, ale pod warunkiem, że nie będą one kolidowały z wcześniejszymi ustaleniami. I proszę pamiętać, że ostateczną decyzję podejmie Kontrola Lotu.

Floyd doskonale wiedział, jaka będzie opinia urzędu. Szaleństwem byłoby oczekiwać, że człowiek może pozostać sam przez trzy lata w kosmosie.

Ale Chandra przecież zawsze był sam.

Rozdział trzydziesty szósty

Ogień w głębinach

Ziemia pozostała daleko z tyłu, przed sobą miał imponujący system Jowisza i wtedy właśnie doznał olśnienia.

Jak mógł być tak ślepy, tak głupi! Zachowywał się niczym lunatyk i dopiero teraz obudził się ze snu.

- Kim jesteście? - krzyczał. - Czego chcecie? Co zrobiliście ze mną?

Nie usłyszał odpowiedzi, chociaż był pewien, że został wysłuchany. Czuł... obecność, tak jak człowiek wyczuwający, iż nie jest sam, mimo że wokół nie widać nikogo. Otaczało go słabe echo potężnego umysłu i nieugiętej woli.

Zawołał ponownie i znów jedyną bezpośrednią odpowiedzią była cisza. Nie miał jednak wątpliwości, że był obserwowany. Dobrze, w takim razie sam poszuka odpowiedzi.

Ktokolwiek lub cokolwiek towarzyszyło mu w podróży, bezsprzecznie interesowało się ludzkością. Z niezbadanych powodów odebrano mu pamięć, która stała się częścią większej całości. Teraz odbierano mu także uczucia — niekiedy zgadzał się na to, ale częściej protestował.

Mimo to nie czuł nienawiści. W jego sytuacji byłoby to infantylizmem. Znalazł się przecież poza miłością i nienawiścią, poza strachem i pożądaniem. Nie zapomniał o nich, rozumiał, jak bardzo ważne są dla świata ludzi, którego kiedyś był częścią. Czy tego właśnie oczekiwano? A jeśli tak, to po co?

Stał się pionkiem na boskiej szachownicy, szkoda tylko, że nie znał wszystkich reguł gry.

171

W polu jego świadomości znalazły się na chwilę cztery zewnętrzne, postrzępione księżycy Jowisza: Sinope, Pazifae, Carme i Anan-ke. Dalej, w połowie drogi do planety, dostrzegł Elarę, Lizytię, Hi-malię i Ledę. Zignorował je zupełnie. Tuż przed nim wyrosło poznaczone kraterami oblicze Callista.

Dwukrotnie obleciał zmalretowany glob, większy od ziemskiego Księżyca. Jego zmysły - z których ledwo zdawał sobie sprawę - sondowały zewnętrzne warstwy lodu i pyłu. Wkrótce zaspokoił ciekawość. Callisto był zamrożoną skamieliną, noszącą ślady uderzeń, które przed wiekami groziły rozerwaniem księżyca. Jedna z półkul przypominała tarczę strzelniczą - z koncentrycznymi pierścieniami skały, która wypiętrzyła się na wysokość kilometra wskutek jakiegoś potężnego uderzenia z kosmosu.

Kilka sekund później znalazł się nie opodal Ganimedesa. Ten księżyc był znacznie ciekawszy i bardziej skomplikowany. Wielkością przypominał Callista, z wyglądu jednak był zupełnie inny. Wprawdzie i tutaj występowały liczne kratery, ale większość z nich wyglądała, jakby ktoś celowo je zaorał. Najbardziej niezwykłą cechą Ganimedesa były wijące się pasma równoległych bruzd, oddalonych kilka kilometrów jedna od drugiej. Krajobraz ten przypominał pole zaorane przez nietrzeźwego traktorzystę - bruzdy ciągnęły się tam i z powrotem na całej powierzchni księżyca.

Po kilku obrotach wiedział o Ganimedesie więcej aniżeli wszystkie sondy przysłane tutaj z Ziemi. Wiedza ta z pewnością przyda mu się w przyszłości - był o tym święcie przekonany, chociaż nie umiałby powiedzieć dlaczego. Podobnie zresztą, jak nie potrafiłby wyjaśnić powodów swojego przemieszczania się teraz od księżyca do księżyca.

Doleciał do Europy. Ciągle był biernym obserwatorem własnych dokonań, mimo to poczuł coś,

co wzbudziło jego zainteresowanie, skupiło uwagę i siłę woli. Nawet jeżeli był tylko zabawką w rękach bogów, niektóre z ich zamiarów docierały do niego - a może właśnie pozwalano, by docierały.

Gładka powierzchnia Europy nie przypominała krajobrazów Ganimedesa ani Callista. Siatka wzorów, pokrywająca zamrożony księżyc, przywodziła na myśl żywy organizm - z niezliczoną ilością żył i arterii.

Rozciągał się pod nim niezmierny obszar pól lodowych, których temperatura była znacznie niższa aniżeli na ziemskiej Arktyce. Zaskoczony, nagle dostrzegł wrak statku. Poznał go natychmiast:

172

był to nieszczęsny „Tsien”, obiekt analizowanych przez niego przekazów telewizyjnych. Nie teraz, nie teraz, później będzie miał dość czasu...

Przeniknął przez lód i dotarł do świata, którego nie znali nawet jego władcy. Był to ocean, którego wody chroniła przed próżnią płyta wiecznej zmarzliny. Grubość lodowej pokrywy sięgała jednego kilometra, zdarzały się jednak pęknięcia i miejsca zupełnie odsłonięte. Tam właśnie toczyła się walka między całkowicie obcymi sobie środowiskami, walka, jakiej nie można było napotkać nigdzie w całym Układzie Słonecznym. Wojna między Morzem a Przestrzenią pozostała na zawsze nie rozstrzygnięta: woda pod wpływem próżni zamarzała i gotowała się jednocześnie, tworząc kolejne warstwy lodu.

Morza Europy zamarzłyby do końca, gdyby nie wpływ pobliskiego Jowisza. Siły grawitacyjne planety nieustannie wzburzały jądro księżyca - były to te same siły, które tak gwałtownie pobudzały go. Płynąc przez głębiny Europy, dostrzegał wokół świadectwa działalności Jowisza.

Słyszał i czuł je w ciągłym ryku i grzmocie podwodnych wstrząsów skorupy, syku gazów wydobywających się z głębin, podczerwonych falach ciśnienia wywoływanego przez lawiny spadające na dno. W porównaniu z oceanem pokrywającym Europę ziemskie morza wydawały się ostojami spokoju.

Potrafił jeszcze zdumiewać się cudami natury i może dlatego pierwsza oaza tak go urzekła. Rozciągała się na przestrzeni kilometra wokół poplątanych kominów i rur, powstałych z minerałów ze środka księżyca. Na zewnątrz tej parodii gotyckiego zamku pulsowały w wolnym rytmie czarne, wrzące płyny, jak gdyby napędzało je niewidzialne serce. I podobnie jak krew - były oznaką życia.

Gorące płyny wstrzymywały napływ zimnej wody z góry, formując tym samym ciepłą wyspę na morskim dnie. I co niezmiernie ważne: niosły ze sobą z serca Europy substancje chemiczne potrzebne do życia. Tutaj, w środowisku na pozór tak nie sprzyjającym, istniała oaza energii i substancji odżywczych.

Należało zresztą tego oczekiwać. Pamiętał, że w czasach jego poprzedniego życia odkryto w głębinach ziemskich oceanów podobnie żyzne wyspy. Tutaj, na Europie, oazy życia były znacznie większe i występowały częściej, były też bardziej zróżnicowane.

W strefie tropikalnej, w pobliżu dziwnie powyginanych ścian „zamku”, występowały delikatne, pająkowate stwory będące odpowiednikami roślin - wszystkie jednak mogły się poruszać. Wśród roślin

173

pełzały przedziwne ślimaki i pierścienice - niektóre żywiły się roślinami, inne pobierały pokarm bezpośrednio z wody bogatej w minerały. Dalej od źródła ciepła - podmorskiego ognia ogrzewającego wszystkie żyjące tu stworzenia — zamieszkiwały potężniejsze, bardziej rozwinięte organizmy, przypominające ziemskie kraby i pajęczaki.

Armia biologów mogłaby spędzić całe życie na badaniach tylko tej jednej małej oazy. W

przeciwieństwie do ziemskich mórz pale-ozoicznych tutejsze środowisko nie było stałe, ewolucja przebiegała bardzo szybko i stwarzała miliony fantastycznych form. Ponadto wszelkie organizmy znajdowały się w stanie ciągłego zagrożenia: prędzej czy później każda z licznych fontann ciepła musiała wyczerpać się i zaniknąć, gdy napędzające ją dotąd siły zmieniały miejsce aktywności.

Wędrując po morskim dnie Europy, wciąż napotykał ślady takich tragedii. Widział obszary zasypane szczątkami szkieletów i pancerzy żyjących tu niegdyś istot. Zrozumiał, że ewolucja wymazywała całe rozdziały z księgi życia.

Ujrzał olbrzymie puste skorupy wielkości człowieka, przypominające powyginane trąby, zobaczył małże o fantastycznych kształtach, dwu-, a nawet trójkorupowe. I widział spiralne, skamieniałe okazy, odpowiedniki ziemskich amonitów, które wyginęły tak tajemniczo pod koniec epoki kredowej.

Badając i przeszukując, poruszał się po dnie otchłani. Napotkał rzekę świecącej lawy, która płynęła podwodną, stukilometrową doliną. Ciśnienie było tu tak wielkie, że woda nie mogła parować stykając się z rozpaloną do czerwoności magmą, dwa płynne ciała więc koegzystowały ze sobą w niestabilnej zgodzie.

Tutaj, w obcym świecie, powtarzała się historia Egiptu odtwarzana przez nieznanymi aktorów. Podobnie jak Nil niosący życie połaciom pustyni, rzeka lawy użyźniała morskie dno Europy. Wzdłuż jej brzegów, w pasie nie przekraczającym dwóch kilometrów, rozwijały się i ginęły niezliczone gatunki istot. Jeden nawet zostawił po sobie pomnik.

Z początku uznał, że była to kolejna skamielina, których tysiące otaczały każdą oazę. Gdy znalazł się bliżej, zrozumiał, że to nie twór natury, lecz struktura powstała przy udziale inteligencji. A może instynktu: na Ziemi termyty wznosiły nie mniej imponujące zamki, a pająki snuły sieci o podobnym wzorze.

Mieszkające tu kiedyś istoty musiały być niezbyt wielkie. Pojedyncze wejście miało mniej więcej pół metra szerokości. Wejście

174

to - grubościenny tunel z narzuconych na siebie skał - dawało wyobrażenie o zamiarach budowniczych. Wznosili fortecę- tutaj, w miejscu rozjaśnionym czerwona w poświata magmowego Nilu. A potem odeszli.

To nie mogło zdarzyć się wcześniej niż przed kilku stuleciami. Ściany fortecy, zbudowanej ze skał o nieregularnych kształtach, które gromadzono pewnie z dużym wysiłkiem, pokrywała jedynie cienka warstwa minerałów. Przychodził mu do głowy tylko jeden przekonujący powód opuszczenia budowli: część sufitu zapadła się, może na skutek silnego wstrząsu, a w środowisku podwodnym forteca bez dachu jest otwarta dla wroga.

Nie napotkał żadnego innego dowodu istnienia inteligentnych istot wzdłuż brzegów rzeki z lawy. W pewnej chwili zobaczył coś jakby sylwetkę pełzającego człowieka. Stwór nie miał oczu ani nozdrzy, miał za to olbrzymi bezzębny otwór gębowy i wchłaniał pożywienie wraz z potężnymi haustami wody.

Wąskie żyzne pasy pustyni na dnie oceanu mogły być miejscem narodzin i upadków całych cywilizacji. Wyobrażał sobie armie maszerujące lub płynące pod wodzą tutejszych Tamerlanów czy Napoleonów, słynnych jedynie w małym zakątku tego świata, oazy ciepła bowiem istniały w całkowitej izolacji, niczym planety z różnych układów słonecznych. Istoty znające tylko światło magmowej rzeki, czerpiące życie z gorących źródeł nie mogły przebyć dzielącej je pustyni - egzystowały na samotnych wyspach. Jeśli kiedykolwiek istnieli tu historycy i filozofowie, ich nauki głosiły, że w całym wszechświecie nie ma nic poza ich kulturą.

Jednakże przestrzeń między oazami nie była pusta. Zamieszkiwały ją wytrzymalsze stworzenia, nawykłe do rygorów pustyni. Były to odpowiedniki ziemskich ryb - opływowe torpedy poruszające się za pomocą pionowo ustawionych ogonów i płetw rozmieszczonych wzdłuż ciała. Podobieństwo było uderzające. Ewolucja, stając przed zbliżonymi problemami technicznymi, dostarczała podobnych rozwiązań, o czym może świadczyć choćby przykład delfinów i rekinów, z pozoru identycznych, lecz wywodzących się z odległych gałęzi drzewa życia.

Poważna różnica dzieliła jednak ryby zamieszkujące ocean na Europie i ich ziemskie odpowiedniki. Tutejsze ryby, inaczej niż na Ziemi, nie miały skrzeli: w wodzie, w której pływały, prawie nie było śladu wolnego tlenu. Podobnie jak w przypadku ziemskich stworzeń żyjących wokół ciepłych źródeł, także ich metabolizm

175

wspomagały związki siarki występujące w dużych ilościach w środowisku wulkanicznym.

Niewiele istot miało tu oczy. Oprócz poświaty migotliwej lawy i przypadkowych wybuchów bioluminescencji stworzeń szukających partnerów lub polujących drapieżników - ów świat był pogrążony w ciemności.

Jego przyszłość również była ciemna. Źródła energii były bardzo niestałe, zmniejszała się też ich siła. Nawet gdyby powstała tutaj prawdziwa inteligencja, obdarzone nią istoty i tak skazane by były na zagładę - wraz z ostatecznym zamrożeniem Europy.

Tymczasem żyły, schwytane w pułapkę pomiędzy ogniem a lodem.

Rozdział trzydziesty siódmy

Wyobcowanie

Jest mi strasznie przykro, przyjacielu, że przynoszę ci taką nowinę, lecz Caroline prosiła mnie o to, a wiesz, jak bardzo zależy mi na was.

Myślę, że ta wiadomość nie zaskoczy cię aż tak bardzo. Niektóre twoje uwagi z ostatnich lat wskazywały, że liczysz się z taką możliwością. .. ponadto wiesz, jaki był jej stosunek do twojej obecnej podróży.

Nie, nie sądzę, aby był ktoś inny. Z pewnością powiedziałyby mi o tym.. Ale prędzej czy później... no cóż, ona jest bardzo atrakcyjną kobietą.

Z Chrisem wszystko w porządku, rzecz jasna, nie wie o niczym. Przynajmniej nie będzie rozpacział. Jest za mały, by to zrozumieć, a dzieci są niesamowicie... elastyczne? Chwileczkę, muszę sprawdzić w leksykonie... Ach tak: odporne.

A teraz o sprawach, które w tej chwili mogą cię nieco mniej interesować. Wszyscy starają się tłumaczyć eksplozję bomby jako przypadkową, ale nikt oczywiście w to nie wierzy. Ponieważ nic więcej się nie stało, powszechna histeria trochę opadła. Pozostał jednak - według słów jednego z komentatorów — "syndrom oglądania się przez ramię".

Ktoś odnalazł wiersz sprzed stu lat, który dokładnie ukazuje naszą obecną sytuację, i wszyscy go cytują. Wiersz mówi o ostatnich dniach imperium rzymskiego. Mieszkańcy miasta czekają u bram na nadejście wrogów. Cesarz i patrycjusze w odświętnych strojach przygotowują mowy powitalne. Senat zamknął swe podwoje, dzisiejsze prawa już nazajutrz mogą okazać się nieważne.

12-2010 Odyseja kosmiczna

177

I nagle nadchodzi straszna wieść: wrogowie nie istnieją. Komitet powitalny rozchodzi się w zdumieniu do domów, mrużąc po drodze: „Co się z nami stanie? Ci ludzie byli dla nas wybawieniem”.

Wiersz nosi tytuł Czekając na barbarzyńców. Tym razem jednak to my jesteśmy barbarzyńcami czekającymi nie wiadomo na co.

I jeszcze jedna rzecz. Czy słyszałeś, że w kilka dni po przybyciu tego czegoś na Ziemię umarła matka komandora Bowmana? Przedziwny zbieg okoliczności; pracownicy domu starców twierdzą, że nigdy nie interesowała się bieżącymi wydarzeniami, może więc nie miały one żadnego wpływu na jej zgon?

Floyd wyłączył nagranie. Dmitrij miał rację: to, co się stało, nie było dla niego zaskoczeniem. A jednak ból był potworny.

Czy istniały inne drogi? Gdyby odmówił udziału w misji - na co liczyła Caroline - przez resztę życia miałby poczucie winy, to zaś z kolei zatrułoby ich małżeństwo. A więc lepiej, że skończyła je teraz, kiedy fizyczna odległość łagodziła ból separacji. (Czyżby? Pod pewnymi względami czuł się znacznie gorzej.) Obowiązek wziął górę, podobnie jak poczucie przynależności do zespoła pracującego nad wspólnym zadaniem.

Jessie Bowman zmarła. Jeszcze jeden powód, by czuć się winnym. Ukradł tej kobiecie jedyne dziecko i przyczynił się do psychicznego jej załamania. Przypomniawszy sobie dyskusję, którą na ten temat prowadził z Walterem Cumowem.

- Dlaczego wybraliście Dave'a Bowmana? Zawsze odnosiłem wrażenie, że to bardzo oziębły

facet. Może nie całkiem wrogi, ale gdy wchodził do jakiegokolwiek pomieszczenia, temperatura spadała o kilka stopni.

- To właśnie jeden z powodów jego udziału w misji. Nie miał żadnych bliskich powiązań rodzinnych, nawet z matką utrzymywał tylko luźny kontakt. Nadawał się idealnie do długotrwałej misji o otwartych priorytetach.

- Ale jak można się stać takim człowiekiem?

- Sądzę, że psycholog mógłby lepiej odpowiedzieć na to pytanie. Przeglądałem oczywiście jego papiery, ale to tak dawno temu. Było tam coś o bracie, który zginął w wypadku. Jego ojciec też zginął, wkrótce po śmierci brata, w katastrofie jednego z tych wczesnych

178

promów kosmicznych. Oczywiście nie powinienem ci tego mówić, ale teraz nie ma to już większego znaczenia.

Nie miało znaczenia, ale było interesujące. Floyd zazdrościł Bow-manowi, który przed laty znalazł się w tym samym miejscu i którego nie łączyły żadne emocjonalne związki z Ziemią.

Nie, oszukiwał sam siebie. Pomimo bólu, który rozrywał mu serce, nie zazdrościł Bowmanowi - żałował go.

Rozdział trzydziesty ósmy

Spieniony krajobraz

Ostatnie stworzenie, które ujrzał na Europie, było największe. Przypominało figowce z ziemskiego obszaru tropików. Wrastające w ziemię gałęzie tych drzew mogą utworzyć las, czasem na powierzchni setek metrów kwadratowych. Jednakże roślina, którą oglądał, potrafiła chodzić. Znajdowała się właśnie w drodze z jednej oazy do drugiej. Jeśli nawet nie był to stwór, który spowodował tragedię „Tsie-na”, to z pewnością należał do tego samego gatunku.

Dowiedział się wszystkiego, co było mu niezbędne, a raczej - im niezbędne. Pozostał jeszcze jeden księżyc, który musi odwiedzić. Kilka sekund później był już nad płomienistym krajobrazem lo.

Wszystko wyglądało tak, jak się spodziewał. Wokół pełno było energii i pokarmu, ale nie nadszedł jeszcze czas połączenia. Przy nieco chłodniejszych siarkowych jeziorach powstawały zaczątki życia, ale nim osiągnęły pewien poziom organizacji, niweczył je żar satelity Jowisza. Za miliony lat, gdy wypalą się ognie lo, znajdzie się tutaj być może coś, co zainteresuje biologów. Teraz był to jałowy świat.

Nie tracił więcej czasu, pominął również maleńkie księżycy wewnętrzne, otaczające Jowisza ciasnym pierścieniem, który stanowił namiastkę wspaniałych pierścieni Saturna. Pod nim znajdowała się największa planeta, którą zamierzał zbadać dokładniej, niż to uczynili do tej pory ludzie.

Czuł obejmujące go ramiona sił magnetycznych, wysunięte w przestrzeń na milion kilometrów, słyszał nagłe wybuchy fal radiowych i gejzerów naładowanej elektrycznie plazmy - wszystko to było tak realne dla niego jak chmury otaczające planetę. Rozumiał skompli-

180

kowane związki pomiędzy kolejnymi elementami aktywności Jowisza, lecz doszedł do wniosku, że planeta jest bardziej zaskakująca, niż mógł przypuszczać.

Opadając w samym środku Wielkiej Czerwonej Plamy, otoczony wyładowaniami elektrycznymi burz szalejących na obszarach wielkości kontynentu, wiedział, dlaczego Plama istnieje od wieków, mimo że tworzyły ją gazy lżejsze od tych, które występują w ziemskich huraganach. Powoli zanurzał się coraz bardziej, ucichło wycie wodorowego wichru, a z chmur zaczął sypać woskowy śnieg, który zbijał się w duże grudy wodorowęglowej piany. Było już dostatecznie ciepło, by woda mogła istnieć w stanie płynnym, ale nigdzie nie dostrzegł jej śladów; czysto gazowe środowisko było zanadto niestabilne nawet dla płynów.

Mijał kolejne warstwy chmur, aż w końcu znalazł się w obszarze o takiej przejrzystości, że nawet ludzkie oko ogarniałoby powierzchnię tysiąca kilometrów. Był to niewielki wir w potężnej nawałnicy Wielkiej Czerwonej Plamy, zawierał jednak tajemnicę, której ludzie się domyślali, ale nie potrafili rozszyfrować.

U podnóża olbrzymich gór płynnej piany znajdowały się miliardy niewielkich chmur o podobnie wyrazistym kształcie, nakrapia-nych czerwonymi i brązowymi plamami. Wydawały się małe w stosunku do potwornych, nieludzkich wymiarów otoczenia, w rzeczywistości ich wielkość można było jednak porównać z obszarem sporego miasta.

Chmury żyły. Poruszały się wzdłuż brzegów pienistych gór, niby owce na gigantycznym pastwisku, a nawoływały głosem przenoszonym przez fale radiowe. Ich wołania, mimo że ledwie słyszalne, wyraźnie różniły się od radiowych trzasków i skowytów Jowisza.

Żywe torby gazu pływały w wąskiej strefie pomiędzy lodowatymi górnymi warstwami

atmosfery a jej dolną gorącą częścią. Strefa ta, pomimo relatywnie niewielkiego obszaru, znacznie przerastała całą biosferę Ziemi.

Chmury nie były same. Wśród nich poruszały się szybko inne stworzenia - tak małe, że można je było przeoczyć. Niektóre kształtem przypominały ziemskie samoloty, miały również podobne wymiary. Z pewnością jednak były żywe. Mogły to być drapieżniki, a może pasożyty, mogli to być nawet pasterze.

Otwierał się przed nim nowy, całkowicie nieznan rozdział ewolucji. Widział odrzutowe torpedy podobne do ziemskich kałamarnic, które polowały na olbrzymie gazowe chmury i pożerały je. Toczyła

181

się walka, gazowe torby nie były bezbronne. Raziły piorunami i o-strymi jak piły parzydełkami o długości kilku kilometrów.

Dostrzegł także stworzenia o jeszcze dziwniejszych kształtach, korzystających z każdej możliwości, którą stwarza geometria: przezroczyste latawce, sześciiany, kule, wieloboki, spiralnie poskręcane gazowe wstęgi... Gigantyczny plankton atmosfery Jowisza snuł się jak nici babiego lata w powiewach wznoszących prądów w oczekiwaniu na moment sprzyjający reprodukcji, po której opadał w głębiny atmosfery, gdzie był zwęglany i powielany w kolejnych pokoleniach.

Badał obszar sto razy większy od powierzchni Ziemi, nic jednak nie wskazywało, że występuje tu jakaś forma inteligencji. Radiowe nawoływania gazowych toreb były wyłącznie okrzykami strachu i o-strzeżeniami. Nawet myśliwi nie wykazywali wyższego stopnia organizacji, zachowywali się jak rekiny w ziemskich oceanach, byli bezmyślnymi automatami.

Pomimo niespotykanych rozmiarów biosfera Jowisza była nader nietrwałym środowiskiem, miejscem, gdzie gromadziły się mgły i piana, które powstawały z delikatnych jedwabistych nici i cienkich jak bibułka tkanek ciągle padającego śniegu. Zawierała ona związki petrochemiczne, powstające w trakcie wyładowań w górnych warstwach atmosfery. Życie na tym obszarze miało - by tak rzec - konsystencję i trwałość mydlanych baniek. Najbardziej przerażające drapieżniki uległyby i dały się rozerwać na strzępy swoim ziemskim odpowiednikom.

Podobnie jak w przypadku Europy ewolucja na Jowiszu, mimo znacznie większej skali, zabrnęła w ślepią uliczkę. Nie było tu szansy na powstanie inteligencji, a nawet gdyby jakimś cudem zbudziła się na Jowiszu świadomość, skazana była na zagładę już w momencie swego powstania. Bez ognia i bez elementu stałości żadna kultura powietrzna nie doczekałaby swojej epoki kamiennej.

Unosząc się w środku jowiszowego cyklonu na obszarze wielkości Afryki, ponownie zdał sobie sprawę, że steruje nim jakaś siła. Jego świadomość rejestrowała nie jego własne nastroje i odczucia, chociaż nie potrafiła ich przetworzyć w konkretne idee i pojęcia. Czuł się tak, jakby słuchał dyskusji trwającej za zamkniętymi drzwiami i nie mógł zrozumieć języka dyskutantów. Odróżniał jedynie ogólne przesłania poszczególnych wypowiedzi, takie jak niepewność, rozczarowanie i nagły ton zdecydowania. Nie wiedział jednak, czemu to wszystko ma służyć.

182

A potem niewidzialna smycz pociągnęła go w kierunku serca Jowisza. Zanurzał się w chmurach poniżej poziomu, na którym mogło istnieć życie.

Zniknęły gdzieś ostatnie, słabe promienie odległego Słońca. Rosło ciśnienie i temperatura. Dawno przekroczył już punkt wrzenia wody, minął także warstwę niezwykle gorącej pary. Jowisz przypominał cebulę: przenikał przez kolejne pokłady otaczającej planetę łupiny, ciągle jednak znajdował się w olbrzymiej odległości od jej jądra.

Poniżej rozgrzanej pary napotkał warstwę związków petrochemicznych. Wystarczyłoby ich na

miliony lat dla wszystkich silników na całej Ziemi. Warstwa ta stawała się coraz gęstsza, by nagle skończyć się po kilku kilometrach.

Kolejna skorupa, mimo że pozostawała w stanie płynnym, była cięższa od jakiegokolwiek ziemskiej skały. W jej skład wchodziły związki krzemu i węgla o budowie niewyobrażalnej dla chemików. Tysiącami kilometrów mijał warstwę za warstwą. Wraz ze wzrostem temperatury, którą można było teraz mierzyć w tysiącach stopni, skład kolejnych stref stawał się coraz prostszy. W połowie drogi do jądra było już za gorąco dla jakichkolwiek związków chemicznych. Tutaj mogły istnieć tylko pierwiastki.

Płynął przez morze wodoru, ale wodoru w takiej postaci, która w ziemskich laboratoriach może istnieć tylko przez ułamek sekundy. Wodór poddany był niesamowitemu ciśnieniu, tak że występował jako płynny metal.

Znalazł się w pobliżu środka planety, Jowisz miał jednak w zapasie jeszcze jedną niespodziankę. Gruba skorupa metalicznego płynnego wodoru skończyła się nagle. Sześćdziesiąt tysięcy kilometrów poniżej dostrzegł twardą powierzchnię.

Przez miliony lat spieczony węgiel spływał z górnych warstw atmosfery Jowisza ku centrum planety. Gdy zebrała się wystarczająca ilość, pierwiastek ulegał krystalizacji pod wpływem ciśnienia milionów atmosfer. I oto dzięki jednemu z najbardziej niezwykłych zrzędzeń natury powstało coś, co ludzie cenią najbardziej.

Jądro Jowisza, na zawsze niedostępne ludzkiemu poznaniu, było diamentem wielkości planety Ziemia.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

W kosmicznym garażu

- Wiesz, Walterze, martwię się o Heywooda.

- Wiem, Taniu, ale co możemy zrobić?

Cumow nigdy nie widział kapitan Orłowej w nastroju takiego niezdecydowania. Wyglądała teraz znacznie bardziej pociągająco, mimo jego niechęci do drobnych kobiet.

- Bardzo go lubię, ale to nie najważniejsze. Jego... myślę, że najlepiej można to nazwać... smutek, sprawia, że wszyscy czują się fatalnie. „Leonów” był szczęśliwym statkiem i chciałabym, żeby taki pozostał.

- Dlaczego z nim nie porozmawiasz? On bardzo cię szanuje, a jestem pewien, że w końcu przyjdzie do siebie.

- Mam zamiar porozmawiać. Ale jeśli to nie pomoże...

- Tak?

- Jest jedno proste wyjście. On i tak nie ma już nic więcej do roboty, a w czasie powrotu będzie spał. Zawsze możemy -jak wy to określacie? - załatwić mu to wcześniej.

- No tak, ciągle te same sztuczki Katieriny. Ale Heywood będzie wściekły po przebudzeniu.

- Znajdzie się bezpiecznie na Ziemi, gdzie czeka go mnóstwo pracy. Jestem pewna, że nam wybaczy.

- Chyba nie mówisz poważnie. Nawet gdybym cię poparł, ci z Waszyngtonu zrobią nam piekło. Poza tym przypuścimy, że coś się jednak stanie i naprawdę będzie nam potrzebna jego pomoc? Na wybudzenie trzeba co najmniej dwu tygodni...

- W jego wieku około miesiąca. Tak... mielibyśmy związane ręce. Ale czy jeszcze coś się zdarzy? Wykonał pracę, którą mu zlecono,

184

pomijając oczywiście przyglądanie się naszym działaniom. Ale jestem przekonana, że ty również otrzymałeś odpowiednie rozkazy w jakimś cichym zakątku Wirginii czy Marylandu.

- Nie potwierdzam ani nie zaprzeczam. Mówiąc szczerze, nie nadaję się na szpiega. Za dużo mówię i nie cierpię Bezpieczeństwa. Całe życie walczyłem o to, by mój status nie był określony jako Tajny. Za każdym razem, kiedy mieli mnie przeklasyfikować do Poufnych lub, co gorsza, do Ściśle Tajnych, wywoływałem skandal. Niestety, obecnie coraz trudniej o wystarczająco dobry skandal...

- Walter, jesteś nieprzekup...

- Chciałaś powiedzieć niepoprawny?

- Tak, dokładnie to miałam na myśli. Ale wróćmy do Heywooda. Może ty byś zechciał z nim porozmawiać?

- Chodzi ci o to, żebym mu dodał animuszu? Wolałbym raczej pomóc Katierinie przy wbijaniu igły. Mamy skrajnie różne psychiki. On uważa, że jestem rozgadany błaznem.

- Co ci się niekiedy zdarza, ale w ten sposób maskujesz swoje prawdziwe uczucia. Niektórzy z nas uznają, że w głębi jesteś naprawdę miłym facetem, ale ten miły facet w tobie nie ma szans wydostać się na zewnątrz.

Curnow po raz pierwszy w życiu nie wiedział, co odpowiedzieć. W końcu wybełkotał:

- Dobra, postaram się. Ale nie oczekuj cudów. W papierach mam „Z” za ogładę i takt. Gdzie on się teraz chowa?

- W garażu. Twierdzi, że przygotowuje raport końcowy, aleja w to nie wierzę. Chce być po prostu sam, a w garażu jest najspokojniej.

Nie był to najważniejszy powód, chociaż jeden z bardziej istotnych. W przeciwieństwie do wirówki, gdzie toczyło się życie na „Di-discovery”, garaż kosmiczny był pozbawiony ciężenia.

Na początku epoki kosmicznej ludzie odkryli euforię nieważkości i przypomnieli sobie dawno utraconą swobodę poruszania się we wszystkich kierunkach. Stan nieważkości, podobnie jak morze, od którego wszystko się zaczęło, zwracał ludziom wolność: tracąc wagę, porzucali wszystkie ziemskie zmartwienia i kłopoty.

Heywood Floyd nie zapomniał o swoim bólu, lecz tutaj stawał się on łatwiejszy do zniesienia. Rozważając spokojnie całą sprawę doszedł do wniosku, że jego reakcje przybrały niezwykle formę jak na wydarzenie, którego się spodziewał. Chodziło mu o coś więcej niż

185

o utraconą miłość, chociaż to najbardziej bolało. Cios nadszedł w momencie, gdy był całkiem bezbronny, gdy zatracił sens tego, co robi, i doświadczał goryczy porażki.

Dlaczego - wiedział dokładnie. Wszystko, co do tej pory osiągnął, zawdzięczał umiejętnościom i współpracy reszty załogi, którą, nawiasem mówiąc, teraz samolubnie porzucał. Jeśli wszystko pójdzie dobrze (znów ta litania epoki kosmicznej!), powrócą na Ziemię z zasobem wiedzy, jakiego nie zgromadziła dotąd żadna ekspedycja, ponadto za kilka lat przyleci za nimi porzucony niegdyś „Discovery”.

Ale tego wciąż było nie dość. Wszechobecna tajemnica Wielkiego Brata pozostanie na zawsze zagadką, nieosiągalną dla ludzkich marzeń i aspiracji enigmą. A byli tak blisko! I przecież płyta ożyła - podobnie jak przed dziesięciu laty jej księżycowy odpowiednik - lecz jedynie po to, by znowu zapaść w uparty bezwład. Była jak zamknięte drzwi, do których stukali na próżno. Tylko David Bowman zdołał odnaleźć klucz.

Może dlatego właśnie tak bardzo przyciągało go to ciche i trochę tajemnicze miejsce. Stąd przecież - z pustego teraz miejsca startowego - odleciał Bowman w swoją ostatnią misję, przez okrągłą śluzę prowadzącą do nieskończoności.

Gdy myślał o tym, w jakiś przedziwny sposób czuł się podniesiony na duchu. Zapominał o bólu i osobistych problemach. Zagubiona bliźniaczka „Niny” była częścią historii podboju kosmosu. Poleciała tam, gdzie — według starego banału, który wywoływał pobłażliwe uśmiechy, lecz zarazem dokładnie ilustrował fundamentalną prawdę - "nie był jeszcze żaden człowiek..." Gdzie to jest? Czy kiedykolwiek się dowie?

Przesiadywał niekiedy godzinami w ciasnej, lecz odpowiedniej dla niego, małej kapsule, próbując zebrać myśli i dyktując od czasu do czasu notatki. Reszta załogi szanowała jego samotność i rozumiała jej motywy. Nigdy nie zbliżali się do garażu, nie było zresztą powodu. Odnowienie całego pomieszczenia należało do innej, przyszłej załogi.

Raz lub dwa, kiedy czuł się rzeczywiście załamany, przyłapał się na nieoczekiwanych pomysłach. Przypuśćmy, że wydam Halowi polecenie, by otworzył drzwi garażu i wysłał kapsułę w ślad za Bow-manem? Czy powita mnie ten sam cud, który zobaczył Dave i później Wasilij? Byłoby to jakieś rozwiązanie...

Przed podjęciem samobójczej wyprawy powstrzymywała go myśl, co stanie się z Chrisem. Istniały również techniczne przeszkody:

186

„Nina” była nader skomplikowana w obsłudze; równie dobrze mógłby spróbować polecieć samolotem myśliwskim.

Nie nadawał się na nieustraszonego Odkrywcę. To marzenie nigdy się nie spełni.

Walter Curnow rzadko się podejmował jakiegoś zadania aż tak niechętnie. Bardzo współczuł Floydowi, lecz jednocześnie irytowały go zmartwienia innych. Jego własne życie emocjonalne rozwijało się bujnie, ale było płytkie: nigdy nie zadowalał się pić wody z jednego źródła. Nieraz słyszał, że niepotrzebnie rozmienia się na drobne, ale nigdy tego nie żałował. Może rzeczywiście nadszedł jednak czas, by się ustatkować?

Przeszedł na skróty przez sterownię w wirówce i zauważył po drodze, że wskaźnik nastawczy maksymalnej prędkości ciągle mruga idiotycznie. Większa część jego obowiązków polegała na decydowaniu, kiedy można ignorować ostrzeżenia, kiedy należy zająć się nimi w wolnej chwili, a kiedy oznaczają one prawdziwy alarm. Gdyby chciał się zajmować wszystkimi naraz wezwaniami pomocy zgłaszanymi przez różne urządzenia na statku, nigdy nie mógłby skończyć jednego zadania.

Popłynął wzdłuż wąskiego korytarza, który prowadził do garażu, odpychając się co pewien czas od ściany. Czujnik przy drzwiach śluzy wskazywał, że po drugiej stronie jest próżnia. Wiedział jednak, że czujnik kłamie. Gdyby mówił prawdę, nikt nie byłby w stanie otworzyć śluzy.

Garaż wyglądał na opuszczony. Brakowało dwóch ze znajdujących się tam na początku trzech kapsuł. Czynne były tylko niektóre światła awaryjne. Z położonej naprzeciw ściany spoglądał na niego szerokokątny obiektyw kamery Hala. Curnow pomachał ręką, ale nie odezwał się słowem. Na polecenie Chandry wszystkie mikrofony Hala były odłączone, pomijając ten, którego sam używał.

Floyd siedział w garażu zwrócony plecami do otwartych drzwi śluzy i dyktował jakieś notatki. Gdy usłyszał celowo głośne wejście Cumowa, powoli odwrócił głowę. Przez chwilę spoglądali na siebie w milczeniu. Pierwszy tubalnym głosem odezwał się Curnow:

- Doktorze Floyd, przynoszę pozdrowienia od naszego ukochanego dowódcy. Pozwolę sobie również przekazać wiadomość, iż kapitan twierdzi, że już pora, by wrócił pan do cywilizowanego świata.

187

Floyd uśmiechnął się, z początku słabo, później najszerzej jak potrafił.

- Proszę o przekazanie dowódcy ukłonów ode mnie. I prośby o wybaczenie mego... braku ogłady. Spotkamy się wszyscy na naradzie o szóstej.

Curnow odprężył się. Jego podejście zadziało. Prywatnie uważał Floyda za zarozumialca i traktował go z właściwą wszystkim inżynierom praktykom pogardą dla teoretyków i biurokratów. Ze względu na swój ą wysoką pozycję w obydwu kategoriach Floyd był idealnym materiałem dla Cumowa z jego nieco dziwnym poczuciem humoru. Nie zmniejszało to jednak ich wzajemnego szacunku, a nawet podziwu, jaki dla siebie żywili.

Curnow postanowił zmienić temat i rozgadał się o nowym zatrzasku wejściowym „Niny”, który pochodził wprost z magazynu części zapasowych i wyraźnie kontrastował z resztą wyposażenia kapsuły.

- Zastanawiam się, kiedy znów ją wyślemy — powiedział — i kto tym razem w niej poleci. Czy są już jakieś ustalenia?

- Nie. Waszyngton na razie milczy. Moskwa chce zaryzykować. A Tania czeka.

- A co ty o tym myślisz?

- Zgadza się z Tanią. Nie powinniśmy niepokoić Zagadki do chwili, kiedy będziemy gotowi do odlotu. Gdyby coś się miało wydarzyć, nasze szanse będą wtedy nieco większe.

Curnow zamyślił się i jakby wahał, czy ma coś powiedzieć.

- O co chodzi? - zapytał Floyd, wyczuwając zmianę nastroju.

- Nie rozgłaszaj tego, co ci teraz powiem, ale Maks planuje małą jednoosobową ekspedycję.

- Nie sędzę, by mówił to poważnie. Nie zdecyduje się, Tania zakułaby go w kajdany.
- Mniej więcej to samo usłyszał i ode mnie.
- Rozczarowałem się. Sądziłem, że jest bardziej dojrzały, ma przecież trzydzieści dwa lata!
- Trzydzieści jeden. W każdym razie udało mi się go przekonać. Powiedziałem mu, że to niestety rzeczywistość, a nie jakaś idiotyczna wideodrama, w której bohater wymyka się chyłkiem w kosmos i zaskakuje kolegów jakimś Wielkim Odkryciem.

Teraz Floyd poczuł się nieswojo. On przecież miał podobny zamiar.

- Jesteś pewien, że nie będzie próbował żadnych sztuczek?
- Na dwieście procent. Pamiętasz swoją pułapkę na Hala? A ja mam własną pułapkę na „Ninę”. Nikt w niej nie poleci bez mojego zezwolenia.

188

- Ciągłe nie mogę w to uwierzyć. Jesteś przekonany, że Maks cię nie nabierał?
- Jego poczucie humoru nie jest aż tak subtelne. Poza tym był bardzo zdesperowany, gdy mi to mówił.

- Ach tak! Teraz już rozumiem! To na pewno zdarzyło się po tej kłótni z Żenią. Chyba chciał zrobić na niej wrażenie. Dzięki Bogu, że już się pogodzili.

- Niestety... — odpowiedział kwaśno Curnow. Floyd uśmiechnął się. Cumow to zauważył i zaczął się krztusić, co z kolei sprawiło, że Floyd roześmiał się na cały głos, po czym Curnow...

Był to wspaniały przykład pozytywnego sprzężenia zwrotnego, które zatacza coraz szerszą pętlę. Po kilku sekundach obaj tarzali się ze śmiechu.

Kryzys został zażegnany, a co więcej, między Curnowem i Floydem zawiązała się przyjaźń. Wymienili się słabościami.

Rozdział czterdziesty

Daisy, Daisy

Sfera świadomości, w której się znalazł, obejmowała całe diamentowe jądro Jowisza. Zdał sobie sprawę, że jego nowe podejście do rzeczywistości obejmowało analizę każdego aspektu otoczenia. Zebrał niewyobrażalne ilości danych, które potrzebne mu będą w dalszym działaniu. Rozważał i oceniał plany, a gdzieś poza nim podejmowano decyzje, które wpłyną na losy światów. Nie był jeszcze świadom tego procesu, lecz wkrótce będzie.

TERAZ ZACZYNASZ ROZUMIEĆ

Była to pierwsza bezpośrednia wiadomość. Pochodziła z bardzo daleka, usłyszał głos tłumiony przez chmury, głos skierowany wprost do niego. Zanim jednak zdążył zadać choćby jedno z miliarda pytań kłębiących mu się w głowie, poczuł, że głos się oddala. Znowu był sam.

Ale nie na długo. Dobiegła go kolejna myśl i po raz pierwszy zrozumiał, że nadzór nad nim sprawuje wiele umysłów. Związany był z hierarchią inteligencji. Niektóre z nich zbliżone były do jego własnego, prymitywnego poziomu i spełniały funkcje interpretatorów. Zresztą może były to różne aspekty pojedynczej istoty.

Kto wie, czy ma to jakiegokolwiek znaczenie?

Jednego był pewien: służył komuś za narzędzie, dobre narzędzie zaś trzeba wyostrzyć, zmodyfikować- przystosować. A najlepsze narzędzia same wiedziały, co robić.

Teraz uczył się swojej roli. Plan, który miał wykonać, był olbrzymi i przerażający, on zaś stał się jego częścią, mimo że nie zgłębił wszystkiego do końca. Nie miał jednak wyboru, musiał być posłuszny, chociaż niektóre szczegóły budziły w nim protest.

190

Był jeszcze po części człowiekiem i między innymi dlatego stał się bezcenny. Dusza Davida Bowmana znajdowała się w obszarach, gdzie nie istniała miłość, a jednak potrafiła współczuć tym, którzy niegdyś byli jego braćmi.

BARDZO DOBRZE - taka była odpowiedź na jego prośby. Nie umiał powiedzieć, czy zawierała pobłażanie czy zupełną obojętność. Nie mógł jednakże wątpić o tonie majestatycznej władczości, gdy nadszedł dalszy ciąg: **NIGDY NIE MOGĄ SIĘ DOWIEDZIEĆ, ŻE SĄ MANIPULOWANI. ZAPRZEPAŚCIŁOBY TO SENS NASZEGO EKSPERYMENTU.**

A potem nastąpiła cisza i bał się ją przerwać. Był wstrząśnięty i poruszony do głębi - usłyszał głos Boga.

Znów wybrał się w podróż, tym razem z własnej woli. Zmierzał do celu, który sam wyznaczył. Diamentowe serce Jowisza zostało gdzieś poza nim. Mijał kolejne warstwy helu, wodoru i związków węgla. Przez chwilę obserwował starcie pięćdziesięciokilometrowej meduzy z rojem obracających się dysków, które były szybsze od jakiegokolwiek stworzenia w atmosferze Jowisza. Meduza broniła się za pomocą związków chemicznych: od czasu do czasu wypuszczała chmurę kolorowych gazów, a dyski, które się z tym zetknęły, zbaczały z kursu i opadały na dół niczym jesienne liście. Nie zatrzymał się, by stwierdzić, kto wygra: wiedział już, że na tym świecie nie ma zwycięzców ani zwyciężonych.

Jak pstrąg pokonujący wodospady przemknął z Jowisza na Io, wykorzystując strumień elektryczności, który płynął między obu ciałami. Rzeka ładunków była wyjątkowo spokojna, dostrzegł zaledwie kilka błyskawic o sile parunastu ziemskich burz. Brama, przez którą powrócił,

unosila się w prądzie strumienia i rozgarniała jego fale -tak jak robiła od zarania ludzkości.

Obok pomnika chwały przedwiecznej technologii znajdował się mały pojazd, którym dotarł tutaj z macierzystej planety. Jakże prosty - jakże prymitywny wydał mu się teraz własny statek. Jednym spojrzeniem wychwycił niezliczone błędy, a nawet absurdy projektu. Podobne wady dostrzegł w nowocześniejszym statku połączonym z „Discovery” elastycznym rękawem.

Nie potrafił skoncentrować się na istotach zamieszkujących obydwie statki. Nie umiał porozumiewać się z miękkimi ciałami ożywianymi krwią, które niczym duchy przepływały przez korytarze i kabiny pojazdów. Ludzie nie zdawali sobie sprawy z jego obecności, a on ze swej strony nie pragnął jej wyjawiać.

191

Był jednak ktoś, z kim mógł się porozumieć używając wspólnego języka pól i prądów elektrycznych, ktoś, kto myślał miliony razy szybciej niż powolne organiczne mózgi. Nawet gdyby potrafił odczuwać niechęć, nie skierowałby jej przeciw Halowi. Rozumiał teraz, że kiedyś, dawno temu, komputer wybrał najbardziej logiczną dla niego drogę postępowania.

Nadszedł czas, by powrócić do rozmowy przerwanej -jak mu się wydało - dopiero wczoraj...

- Otwórz służę garażu, Hal.

- Przykro mi, Dave, ale nie mogę tego zrobić.

- O co chodzi, Hal?

- Sądzę, że równie dobrze jak ja zdajesz sobie sprawę, Dave, że ta misja jest zbyt ważna, by wystawiać ją na niebezpieczeństwo.

- Nie wiem, o czym mówisz. Otwórz garaż.

- Nasza rozmowa niczemu nie służy. Do widzenia, Dave...

Widział ciało Franka Poole'a oddalające się w kierunku Jowisza, gdy porzucił myśl o sprowadzeniu go na statek. Ciągle był zły na siebie, że zapomniał hełmu, zdołał jednak uruchomić awaryjne otwieranie służę. Poczul pierwsze ukłucia próżni na skórze, która już nie do niego należała, usłyszał dzwonięcie w uszach, a potem poznał -jak nie dane było poznać wcześniej nikomu z ludzi - czym jest cisza kosmosu. Przez piętnaście sekund, które były wiecznością, walczył, by zamknąć służę i uruchomić wpompowanie powietrza. Ignorował sygnały ostrzegawcze rozsadzające jego mózg. Kiedyś, w szkolnym laboratorium, wylał trochę eteru na dłoń. Teraz doświadczał tego samego uczucia zimna, gdy wilgoć parowała ze spierzchniętych warg i z gałek ocznych. Przystawał widzieć, mrugał więc bez przerwy, by nie zamarzły mu oczy.

I nagle - cóż za ulga! - usłyszał syk powietrza, poczul powracające ciśnienie i mógł szybko wypełnić płuca spragnione tlenu.

- Dave, co ty wyprawiasz?

Nie odpowiedział. Posuwał się z ponurą determinacją wzdłuż tunelu, który prowadził do zaplombowanego pomieszczenia, gdzie znajdował się mózg komputera. Hal miał rację: „Rozmowa niczemu nie służy...”

- Dave, naprawdę wydaje mi się, że przysługuje mi prawo do odpowiedzi na pytanie, które ci zadałem.

- Dave, widzę, że jesteś bardzo zdenerwowany. Powinieneś usiąść, wziąć tabletkę antystresową i przemyśleć całą sprawę.

192

- Wiem, że ostatnio podjąłem kilka nieprawidłowych decyzji, ale zapewniam cię, że moja praca w przyszłości będzie bez zarzutu. Pokładam olbrzymie nadzieje w tej misji... i chcę ci pomóc.

Znalazł się w czerwono oświetlonym pomieszczeniu z rzędami i kolumnami obwodów

scalonych, przypominającym bankowy sejf depozytów. Zwolnił zasuwę na tablicy oznaczonej jako KOGNITYWNE SPRZĘŻENIE ZWROTNE i wyciągnął pierwszy blok pamięci. Wspaniała, trójwymiarowa siatka obwodów - mieszcząca się w ludzkiej dłoni, choć zbudowana z milionów elementów - popłynęła w stronę sufitu.

- Przestań, proszę cię, Dave, przestań...

Wyciągał jeden za drugim małe podzespoły z bloku WZMACNIANIE EGO. Każdy element odpływał w stronę sufitu, natychmiast gdy wypuścił go z dłoni, a potem wracał do niego odbijając się od ścian. Niebawem całe pomieszczenie wypełniały pływające to w jedną, to w drugą stronę płytki obwodów.

- Przestań, proszę, przestań, Dave...

Wyciągnął już mnóstwo bloków, mimo to dzięki wielokrotnej redundancji projektu - cechy, którą skopiowano z ludzkiego mózgu - komputer trzymał się mocno.

Dobrał się do tablicy AUTOROZUMOWANIE...

- Przestań, Dave.. Boję się...

Przy tych ostatnich słowach Dave rzeczywiście zatrzymał się, lecz na krótko. Ta prosta fraza kryła sens, który obudził niepokój w jego sercu. Czy to złudzenie, a może jakaś sztuczka programistów? Czy Hal naprawdę potrafi się bać? Nie miał jednak czasu na filozoficzne dzielenie włosów na czworo.

- Dave, niszczysz mój umysł. Czuję to. Czuję to. Niszczysz mój umysł. Czuję to. Czuję...

Co znaczy „czuć” w przypadku komputera? Dobre pytanie, ale było za późno, by mógł udzielić na nie odpowiedzi.

Nagle zmieniło się tempo wypowiedzi Hala, jego głos stał się odległy, niewyraźny. Komputer zapomniał o jego obecności. Nastąpił powrót do wcześniejszych okresów życia.

- Dobry wieczór panom. Nazywam się HAL 9000. Jestem komputerem zbudowanym w laboratorium Hal w Urbana, w Illinois, 12 stycznia 1992 roku. Moim nauczycielem był doktor Chandra, który nauczył mnie śpiewać piosenkę. Jeśli zechcielibyście posłuchać, mogę ją teraz przedstawić... Nazywa się „Daisy, Daisy.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Cmentarna wachta

Jedyna rzecz, która mu pozostała, to nie wchodzić nikomu w drogę i Floyd wykonywał to zadanie z dużą umiejętnością. Początkowo zaofiarował swoją pomoc przy wszystkich pracach na statku, wkrótce się jednak okazało, że zadania inżynieryjne wymagały za daleko posuniętej specjalizacji, by mógł im podołać. Nie nadążał również za najnowszymi odkryciami astronomicznymi i nie potrafił pomóc Wasilijowi w jego obserwacjach. Istniało jednak wiele drobnych prac, przy których mógł być przydatny na pokładzie „Le-onowa” czy „Discovery”, i cieszyło go, gdy nadarzała się okazja, by uwolnić ważniejszych członków załogi od ich wykonywania. Doktor Heywood Floyd, były sekretarz Narodowej Rady Astronautyki, rektor (in absentid) Uniwersytetu Hawajskiego, twierdził, że jest obecnie najlepiej płatnym hydraulikiem i dozorcą w całym Układzie Słonecznym. Najlepiej ze wszystkich znał się na kranach i kolankach obydwu statków. Jedynymi pomieszczeniami, do których pod żadnym pozorem się nie zapuszczał, były niebezpiecznie radioaktywne moduły napędowe. Na „Leonowie” jedyną osobą, która miała do nich dostęp, była Tania. Floyd przypuszczał, że znajdują się tam również pomieszczenia szyfrów, ale nigdy nie złamał zakazu ich odwiedzania.

Prawdopodobnie najbardziej pożyteczną funkcją, jaką spełniał, była rola majtka podczas nocnej wachty, między dwudziestą drugą a szóstą czasu pokładowego. Służbę pełniono na obydwu statkach, zmiana odbywała się o drugiej w nocy. Jedynie kapitanowi przysługiwało prawo wyznaczania wacht. Numer Drugi - mąż dowódcy -

194

rozpisywał poszczególne służby, z chęcią jednak zrzekł się tego przywileju na rzecz Floyda.

- To taki drobiazg administracyjny - wyjaśniał Wasilij. - Gdybyś zechciał się nim zająć, byłbym ci bardzo wdzięczny, zyskałbym nieco czasu na pracę naukową.

Floyd był doświadczonym biurokratą i trudno by go złapać na miłe słówka, zgodził się jednak ze względu na okoliczności.

W nocy siedział na pokładzie „Discovery”, sprawdzając co pół godziny, czy Maks - pełniący służbę na „Leonowie” - nie zasnął. Walter Curnow twierdził, że oficjalnie karą za spanie na służbie było wystrzelenie w kosmos bez skafandra. Gdyby to rzeczywiście zastosowano, Tania musiałaby pozostać sama na statku. Obecnie jednak istniało w kosmosie tak niewiele zagrożeń, o których poza tym ostrzegały niezliczone urządzenia alarmowe, że nikt nie traktował wacht poważnie.

Floyd dawno porzucił już myśli o własnych problemach i wczesny świt nie nastrojał go ponuro. Postanowił wykorzystać wachty najlepiej, jak to możliwe. Czytał więc książki (po raz trzeci w życiu rozpoczynał W poszukiwaniu straconego czasu, a po raz drugi Doktora Żywago), studiował dokumenty techniczne, pisał raporty. Czasami prowadził pouczające rozmowy z Halem, używając klawiatury, ponieważ komputer mylił się jeszcze w rozpoznawaniu głosów. Ich dyskusje najczęściej miały następujący przebieg:

- Hal, mówi doktor Floyd.

- DOBRY WIECZÓR, DOKTORZE.

- Obejmuję służbę o dwudziestej drugiej. Czy wszystko w porządku?

- JAK NAJBARDZIEJ, DOKTORZE.

- Dlaczego więc pali się ta czerwona lampka na tablicy numer 5?

- ZEPSUŁA SIĘ KAMERA W GARAZU KAPSUŁ. WALTER POLECİŁ MI ZIGNOROWAĆ TĘ USTERKĘ. NIE MOGĘ JEDNAK WYŁĄCZYĆ LAMPKI OSTRZEGAWCZEJ. PRZEPRASZAM.

- W porządku, Hal. Dziękuję.

- BARDZO PROSZĘ, DOKTORZE.

I tak dalej...

Czasami Hal proponował partię szachów - rozgrywaną zgodnie z instrukcją, którą otrzymał dawno temu i której nikt dotąd nie cofnął. Floyd nie przyjmował wyzwania. Zawsze uważał szachy za stratę czasu i nigdy nie chciało mu się nauczyć zasad tej gry. Hal zdawał

195

się nie wierzyć, że są ludzie, którzy nie mają ochoty lub nie potrafią grać w szachy, i wciąż ponawiał propozycję.

„Znów to samo” - pomyślał Floyd, gdy z głośnika dobiegł delikatny sygnał oznaczający, że Hal chce coś powiedzieć.

- DOKTORZE FLOYD?

- O co chodzi, Hal?

- MAM WIADOMOŚĆ DLA PANA.

„A więc to nie kolejna propozycja gry w szachy” - pomyślał z lekką zaskoczony Floyd. Zazwyczaj nie wykorzystywano Hala jako chłopca na posyłki, choć zdarzało się, że służył niektórym za budzik lub podręczny notes, który miał przypominać o obowiązkach. Czasami Hal stawał się uczestnikiem kawałów, które lubili sobie robić zwłaszcza podczas nocnych wacht. Prawie każdy z załogi był kiedyś napiętnowany przez Hala wyświetlonym na czerwono napisem:

AHA! ZNOWU ŚPISZ NA SŁUŻBIE! albo OGO! ZASTAŁ TIE-BIAWKROWATI!

Nikt się nie przyznał do autorstwa tych napisów, z tym że głównym podejrzanym był Walter Curnow. Oczywiście zwał winę na Hala pomimo ostrych protestów Chandry, który twierdził, że komputery nie mają poczucia humoru.

Nie mogła to być wiadomość z Ziemi. Kontrola Lotu porozumiewała się przez centrum łączności na „Leonowie”, które z kolei przekazałoby wiadomość pełniącemu tam obecnie służbę Maksowi Brajlowskiemu. Reszta załogi mogła porozumiewać się z Floydem za pomocą interkomu. Dziwne...

- W porządku, Hal. Od kogo ta wiadomość?

- BRAK IDENTYFIKACJI.

A więc kolejny żart. No dobrze, zabawimy się.

- Coś takiego! Jak brzmi wiadomość?

- PODAJĘ WIADOMOŚĆ: NIEBEZPIECZEŃSTWO! MUSICIE ODLECIEĆ STĄD W CIĄGU PIĘTNASTU - POWTARZAM - PIĘTNASTU DNI.

Floyd patrzył z niedowierzaniem na ekran. Był zły i zaskoczony faktem, że ktoś z członków załogi ma tak infantylne poczucie humoru. Taki żart był nawet poniżej poziomu szkoły podstawowej. Postanowił jednak kontynuować grę w nadziei, że wykryje sprawcę.

- To jest absolutnie niemożliwe. Nasze okno otwiera się dopiero za dwadzieścia sześć dni. Mamy za mało paliwa na wcześniejszy powrót.

„To zmusi go do myślenia” - zamruczał z satysfakcją, rozpierając się wygodnie w fotelu w oczekiwaniu odpowiedzi.

196

- ZDAJĘ SOBIE SPRAWĘ Z TYCH FAKTÓW, NIEMNIEJ JEDNAK MUSICIE ODLECIEĆ W CIĄGU PIĘTNASTU DNI.

„Bo inaczej zaatakują was hordy małych, zielonych ludzików z trzema parami oczu -jak przypuszczam. - Bawmy się dalej, sprawca czeka”.

- Nie mogę traktować serio tego ostrzeżenia, dopóki nie poznam źródła. Kto to nagrał?

Nie oczekiwał bezpośredniej odpowiedzi. Sprawca z pewnością zatarł po sobie ślady. Jednakże odpowiedź, którą otrzymał, zaskoczyła go w najwyższym stopniu.

- TO NIE JEST NAGRANIE.

A więc rozmowa w czasie rzeczywistym! Oznaczało to, że wiadomość pochodzi albo od samego Hala, albo od kogoś, kto w tej chwili znajduje się na pokładzie „Leonowa”. Nie było jednak żadnego zauważalnego przesunięcia w czasie - ktoś więc musi być tutaj!

- W takim razie, kto ze mną rozmawia?

- BYŁEM DAYIDEM BOWMANEM.

Floyd długo wpatrywał się w ekran, nim zdecydował się na kolejne posunięcie. Żart, który od początku nie był śmieszny, teraz sięgał za daleko. Floyd nie potrafił znaleźć słów oburzenia. Do diabła, załatwi tego żartownisia po drugiej stronie.

- Nie mogę przyjąć tej identyfikacji bez dowodu.

- ROZUMIEM. RZECZĄ NAJWAŻNIEJSZĄ JEST, ABY MI PAN UWIERZYŁ. PROSZĘ SIĘ ODWRÓCIĆ.

Jeszcze zanim na monitorze pojawiło się to ostatnie, przerażające zdanie, Floyd zaczął powątpiewać w prawdziwość swojej hipotezy. Cała rozmowa była niezwykle dziwna i nie dotyczyła niczego, co można by wykorzystać za temat do żartów. Jako kawał prowadziła donikąd.

No a teraz... poczuł mrowienie między łopatkami. Bardzo powoli i z ociąganiem zaczął odwracać się z fotelem. Za sobą miał tablice i przełączniki pulpitu komputera, przed sobą pomost pokryty wykładziną Yelcro.

Sterownia „Discovery”, usytuowana w rejonie pozbawionym ciężenia, była zawsze dość zakurzona. Aparatura klimatyzacyjna nie działała już tak sprawnie jak kiedyś, nie udało się także naprawić filtrów. Równoległe promienie chłodnego, dalekiego Słońca, wpadające do sterowni przez olbrzymie iluminatory, oświetlały miliardy tańczących drobin, które tworzyły strumienie nigdy nie osiadającego kurzu, doskonała ilustracja ruchów Browna.

197

Teraz coś dziwnego zaczęło się dziać z tymi drobinami. Poczęła nimi rządzić jakaś przedziwna siła. Odpychała je i potem scalała, tworząc powierzchnię pustej w środku kuli. Owa kula, o średnicy mniej więcej jednego metra, zawisała w powietrzu jak gigantyczna bańka mydlana o ziarnistej, matowej powłoce. Następnie wydłużyła się w elipsoidę, której powierzchnia pofałdowała się, tworząc załamania i wypukłości.

Floyd już się nie bał. Bez zdziwienia zauważył, że kurz układa się w postać człowieka.

Widział kiedyś takie figurki - puste w środku eksponaty muzealne zrobione ze szkła. Jednakże stojący przed nim, powstały z pyłu fantom jedynie w przybliżeniu odpowiadał anatomicznym cechom człowieka. Przypominał glinianą zabawkę lub prymitywną rzeźbę z epoki kamiennej. Tylko głowa różniła się od niestarannego zarysu postaci. Twarz bez wątpienia była obliczem komandora Davida Bowmana.

Floyd usłyszał delikatny pomruk z konsoli komputera. Hal włączył głośniki syntetyzujące mowę.

- No cóż, doktorze Floyd. Czy pan mi teraz wierzy? Usta Bowmana nie poruszyły się. Twarz pozostała maską. Ale Floyd rozpoznał głos, który rozproszył resztki wątpliwości.

- Mam mało czasu, a ten pokaz sprawia mi dużą trudność. Dostałem .. pozwolenie na

przekazanie wam ostrzeżenia. Macie tylko piętnaście dni.

- Ale dlaczego...? Czym ty jesteś? Gdzie jesteś?

W głowie kłębiły mu się tysiące pytań, lecz zjawy zaczęła znikać, kurz rozpląwał się na wszystkie strony. Floyd starał się zapamiętać każdy szczegół, tak by później zdołał przekonać samego siebie, że to, co widział, było rzeczywistością, a nie snem. Podobne kłopoty miał przy pierwszym spotkaniu z TMA-1.

To zupełnie nieprawdopodobne, że on -jedyny spośród miliardów ludzi zamieszkujących Ziemię — dwukrotnie otrzymał przywilej bezpośredniego kontaktu z obcą inteligencją! Wiedział, że istota, z którą rozmawiał, była czymś dalece potężniejszym aniżeli David Bowman.

A jednocześnie była czymś gorszym. Tylko oczy, które kiedyś nazwano „zwierciadłem duszy”, pozostały takie jak dawniej. Reszta była plamą bez żadnych istotnych szczegółów. Nie zauważył na przykład cech płciowych, co już samo przez się świadczyło, jak daleki był Bowman od swego ludzkiego dziedzictwa.

198

- Do widzenia, doktorze Floyd. Proszę zapamiętać: piętnaście dni. Nie będę już mógł kontaktować się z panem. Ale jeśli wszystko pójdzie dobrze, otrzymacie jeszcze jedną wiadomość.

Postać zniknęła, zabierając ze sobą nadzieję na porozumienie z władcami wszechświata. Floyd uśmiechnął się, słysząc stary banał epoki kosmicznej: „Jeśli wszystko pójdzie dobrze”. Ileż to razy wypowiedano te słowa przed rozpoczęciem misji! Oznaczało to jednak, że ONI - kimkolwiek są -także martwią się czasem o wynik własnych działań. A jeśli tak, to istnieje pewna nadzieja. Nie są wszechpotężni. Potrafią marzyć, obawiać się... i działać.

Po Davidzie Bowmanie pozostał kurz tańczący nad pokładem „Discovery”.

Część szósta

POŻERACZ ŚWIATÓW

Rozdział czterdziesty drugi

Duch w maszynie

Przykro mi, Heywood, ale nie wierzę w duchy. Musi istnieć jakieś racjonalne wytłumaczenie. Umysł ludzki nie z takimi rzeczami dawał sobie radę.

- Zgadza się, Taniu. Ale pozwolisz, że przypomnę ci, co powiedział kiedyś Haldane: „Wszechświat jest nie tylko dziwniejszy, niż sobie wyobrażamy; jest dziwniejszy, niż potrafimy go sobie wyobrazić”.

- A Haldane - wtrącił złośliwie Curnow - był prawdziwym komunistą.

- Być może, ale to, co powiedział, można wykorzystać jako poparcie każdego mistycznego nonsensu. Zachowanie Hala było prawdopodobnie wynikiem jakiegoś wcześniejszego programu, a wykreowanie postaci, o której mówisz, z pewnością można wytłumaczyć na gruncie materialnym. Czyż nie tak, doktorze Chandra?

Tania była zdesperowana: machała czerwoną płachtą na byka. Mimo to reakcja Chandry była niezwykle stonowana. Hindus wydawał się nieobecny, zajęty własnymi myślami, które z pewnością dotyczyły komputera.

- Nie mam wątpliwości co do tego, że nastąpiło oddziaływanie z zewnątrz na komputer, kapitanie. Sam z siebie Hal nie może tworzyć złudzeń audiowizualnych. Jeśli raport doktora Floyda jest zgodny z prawdą, ktoś musiał przejąć sterowanie Halem. I działa się to w czasie rzeczywistym, ponieważ nie stwierdzono przerw w komunikacji.

- Wygląda na to, że jestem głównym podejrzanym—wykrzyknął Maks. - Byłem jedyną osobą, która nie spała w tym czasie.

203

- Nie bądź śmieszny, Maks - włączył się Nikołaj. - Może dałbyś sobie radę ze stroną słuchową tego... przedstawienia, ale część wizualna. .. Do tego trzeba skomplikowanej aparatury: lasera, pola elektrostatycznego, nie mam pojęcia czego jeszcze... Możliwe, że jakiś magik potrafiłby zaaranżować takie zdarzenie, ale potrzebna by mu była ciężarówka rekwizytów.

- Chwileczkę! - powiedziała Żenią. - Jeśli to coś wydarzyło się naprawdę, Hal powinien pamiętać. Możemy go spytać...

Głos jej się załamał, gdy popatrzyła po twarzach wokół siebie. Floyd zlitował się nad nią pierwszy.

- Już próbowaliśmy, Żeniu. Hal niczego nie zarejestrował. Ale jak już mówiłem, fakt ten o niczym nie świadczy. Chandra nam pokazał, jak można selektywnie manipulować pamięcią Hala. Poza tym moduły syntetyzujące mowę są niezależne od mózgu komputera. Można ich używać bez wiedzy Hala...

Przerwał, by nabrać powietrza, po czym kontynuował rozstrzygające uderzenie.

- Przyznaję, że pozostaje nam alternatywa: albo wszystko, o czym mówię, było snem, albo wydarzyło się naprawdę. Ja wiem, że to nie był sen, lecz nie mogę być do końca pewny, czy nie była to halucynacja. Katierina zna dotyczące mojej osoby raporty medyczne: nie byłbym tutaj, gdybym miał problemy tego rodzaju. Mimo to nie wykluczam takiej ewentualności i nie będę winił nikogo, kto ją wykorzysta jako hipotezę numer jeden. Prawdopodobnie sam bym tak zrobił.

Pozostaje mi więc jedyne wyjście: po to, by udowodnić, że nie przeżyłem tego we śnie, muszę zdobyć dodatkowe dane. Pozwólcie, proszę, że przypomnę wszystkie zagadkowe wydarzenia, które

się rozegrały w ostatnim okresie. Wiemy, że David Bowman zniknął w Wielkim Bra... Zagadce. Niedawno COŚ wyszło stamtąd i poleciało w kierunku Ziemi. Widział to Wasilij, a nie ja! Następnie zdarzył się ów tajemniczy wybuch waszej bomby...

- Waszej!

- Przepraszam, watykańskiej. Kolejnym dziwnym zdarzeniem z tej serii jest śmierć matki Bowmana: nastąpiła bez żadnej oczywistej przyczyny medycznej. Nie twierdzą, że między tym wszystkim istnieje jakiś związek, ale... No cóż, pewnie znacie takie powiedzenie: „Kiedy coś zdarza się po raz pierwszy, jest to wypadek, za drugim razem mówimy o zbiegu okoliczności, a za trzecim - wierzymy w spisek”.

- Jest jeszcze jedna rzecz - wtrącił się niespodziewanie Maks. - Usłyszałem to w wiadomościach codziennych. Zupełny

204

drobiazg: dawna przyjaciółka Bowmana twierdzi, że otrzymała od niego wiadomość.

- To prawda - potwierdził Sasza. - Ja też to słyszałem.

- I nic nie powiedzieliście? - z niedowierzaniem zapytał Floyd. Obydwaj Rosjanie wyglądali na nieco zażenowanych.

- To brzmiało jak żart - odpowiedział bojaźliwie Maks. — Informację przekazał obecny mąż tej kobiety. A ona sama zaprzeczyła, jak sądzę.

- Komentator przedstawił to jako formę autoreklamy, coś jak te „bliskie spotkania” z UFO, które zdarzyły się w tym samym czasie. Na początku były ich dziesiątki, a potem znów cisza.

- Niektóre z nich, być może, zdarzyły się naprawdę. A teraz, czy moglibyście odszukać dla mnie tę informację w archiwum, jeśli nie została jeszcze skasowana. Albo poproście o nią Kontrolę Lotu.

- Nawet tysiące takich opowiastek nie zdołają mnie przekonać - powiedziała z oburzeniem Tania. - Potrzebujemy prawdziwego dowodu.

- Na przykład jakiego?

- Och... na przykład czegoś, o czym nie może wiedzieć Hal ani żadna z osób mających do niego dostęp. Potrzebujemy jakiejś materialnej mani... manifestacji.

- Cudu w dobrym, starym stylu?

- Tak, właśnie. A tymczasem proponuję nie powiadamiać o niczym Kontroli Lotu i tobie, Heywood, też to odradzam.

Floyd potrafił rozpoznać bezpośredni rozkaz dowódcy i z kwaśnym uśmiechem skinął głową.

- Podporządkuję się z radością. Ale chciałbym przedstawić jeszcze jedną propozycję.

- Tak?

- Powinniśmy zacząć przygotowania do sytuacji awaryjnej. Zgódźmy się, że to, co mówię, jest prawdą...

- I co z tego? Nie możemy zrobić absolutnie nic. Oczywiście możemy odlecieć z przestrzeni wokół Jowisza, kiedy będziemy chcieli, ale nie dostaniemy się na orbitę powrotną do momentu otwarcia okna.

- Jedenaście dni po upływie terminu!

- Tak. Byłabym szczęśliwa, gdyby udało się odlecieć wcześniej, ale mamy za mało paliwa, by dostać się na orbitę wysokoenergetyczną... - głos Tani wyrażał tak rzadko spotykane u niej niezdecydowanie. - Chciałam powiedzieć wam o tym później, ale ze względu na okoliczności...

205

Głęboko zaczerpnęła powietrza, a wszyscy spojrzeli po sobie z zaskoczeniem.

- Mam zamiar opóźnić odlot o pięć dni. Chcemy, aby nasza orbita była jak najbardziej zbliżona

do klasycznej trajektorii Hohmanna, co nam zapewni dużą oszczędność paliwa.

Oświadczenie Tani nie było niespodzianką, jednakże zostało przyjęte chóralnym jękiem.

- Jakie to będzie mieć znaczenie dla czasu naszego przylotu? -zapytała Katierina grobowym głosem.

Obydwie panie spojrzały na siebie wzrokiem, który nie wyrażał przyjaźni, a jedynie upór w bronienu własnych racji.

- Dziesięć dni - odpowiedziała w końcu Tania.

- Lepiej niż nigdy - rzucił z radością Maks, dość idiotycznie próbując zmniejszyć napięcie.

Floyd nie zwrócił na to uwagi. Zajęty był własnymi myślami. Czas podróży powrotnej nie robił ani jemu, ani pozostałym Amerykanom żadnej różnicy. Mieli przecież wracać w stanie hibernacji. A więc była to rzecz absolutnie bez znaczenia.

Żywił jednak najgłębsze przekonanie — i wpędzało go ono w beznadziejną rozpacz — że jeśli nie odlecą przed wyznaczonym terminem, nie będą mogli odlecieć nigdy.

- ... Sytuacja jest zupełnie niesamowita, Dmitrij, powiedziałbym nawet - przerażająca. Jesteś jedyną osobą na Ziemi, która wie o wszystkim, lecz wkrótce Tania i ja będziemy mieli przeprowadę z Kontrolą Lotu.

Niektórzy z twoich materialistycznie nastawionych ziomków są gotowi zaakceptować fakt, a przynajmniej przyjąć go za roboczą hipotezę, że jakaś osobowość z zewnątrz dokonała... inwazji na Hala. Sasza wymyślił nawet dobre określenie: „Duch w maszynie”.

Wciąż powstają nowe teorie, Wasilij codziennie wymyśla inną. Większość z nich to różne warianty starego tematu powieści science fiction: zorganizowane pole energetyczne. Ale o jaką energię chodzi? Nie mogła to być energia elektryczna, ponieważ nasze instrumenty z łatwością by ją wykryły. To samo dotyczy promieniowania, a przynajmniej wszystkich znanych jego form. Wasilij w swoich przypuszczeniach posunął się do tego, że obciąża odpowiedzialnością stojące fale cząstek neutrino i połączenia z nadprzestrzenią. Tania twierdzi, że wszystko to jest mistyczną bzdurą, i zdaje się, że oboje są bliscy praw-

206

dziwej kłótni małżeńskiej. Zeszłej nocy rozmawiali ze sobą podniesionymi głosami, co nie wpływa dobrze na morale załogi.

Obawiam się, że wszyscy są bardzo spięci i przemęczeni. Ostrzeżenie, które otrzymałem, i decyzja Tani o opóźnieniu odlotu sprawiły, że odczuwamy ogólne zniechęcenie, które, jak wiesz, zaczęło się od nieudanych prób nawiązania kontaktu z Wielkim Bratem. Gdyby udało mi się porozumieć z tym... duchem Bowmana, atmosfera na statku może byłaby lepsza. Zastanawiam się, co się z nim stało? Czy przestał interesować się nami po pierwszym spotkaniu? A przecież tyle mógłby nam opowiedzieć, gdyby tylko chciał! Niech to piorun i czort wo-zmi! Cholera, znowu mówię po rosgielsku. Zmieńmy temat.

Nie masz pojęcia, jak bardzo jestem ci wdzięczny za wszystko, co dla mnie zrobiłeś, szczególnie za zainteresowanie sprawami domowymi. Obecnie patrzę na to nieco spokojniej, być może z powodu naszych problemów tutaj.

Po raz pierwszy zastanawiam się, czy kiedykolwiek jeszcze ujrzymy Ziemię.

Rozdział czterdziesty trzeci

Przemyślany eksperyment

Spędza się całe miesiące z małą wyizolowaną grupą ludzi, człowiek staje się bardzo wyczulony na nastroje i stany emocjonalne innych osób. Floyd wychwycił obecnie subtelną zmianę w sposobie traktowania go przez resztę załogi. Najbardziej uderzającą manifestacją owej zmiany był powrót do „doktora Floyda” jako formy grzecznościowej. Odzwyczaił się od niej tak bardzo, że czasem zdarzało mu się nie reagować, jakby nie do niego się zwracano.

Był pewien, że nie traktowali go jak szaleńca, niemniej jednak brali pod uwagę i taką możliwość. Nie winił ich za to, w rzeczy samej - cała sytuacja była dość zabawna, szczególnie gdy zabrał się do udowadniania własnej poczytalności.

Z Ziemi nadeszły kolejne dowody potwierdzające jego tezę. Jose Fernandez w dalszym ciągu utrzymywał, że jego żona widziała się z Davidem Bowmanem. Sama zainteresowana zaprzeczała temu i odmawiała wszelkich komentarzy. Sytuacja była dość dziwna: trudno sobie wyobrazić, po co biedny Jose miałby wymyślać tak skomplikowaną intrygę, zwłaszcza że Betty była kobietą gwałtowną i upartą. Nawet podczas hospitalizacji twierdził, że kocha swoją żonę, a nieporozumienia między nimi są przejściowe.

Floyd miał nadzieję, że obecny chłodny stosunek Tani do niego jest również przejściowy. Był przekonany, że cała sytuacja sprawia jej przykrość, podobnie zresztą jak jemu, a zmiana usposobienia dowódcy wynika z okoliczności, nie zaś świadomego wyboru. Wydarzyło się coś, co nie pasowało do przekonań Tani, i dlatego usiłowała zapomnieć o całej sprawie. Oznaczało to unikanie Floyda, jak

208

też wszystkiego, co się z nim wiązało - dosyć niefortunna postawa w ostatnim, krytycznym stadium misji.

Miliardom ludzi oczekujących na Ziemi trudno było wyjaśnić logikę kryjącą się za planem Tani. Wyjątkowe kłopoty sprawiały stacje telewizyjne, którym już się znudziło ciągle pokazywanie niezmiennego oblicza Wielkiego Brata. „Przelecieliście olbrzymią drogę za gigantyczne pieniądze, a wszystko, co robicie, sprowadza się do siedzenia i patrzenia na Monolit! Zróbcie coś w końcu!” Na podobne zarzuty Tania odpowiadała niezmiennie: „Zrobimy natychmiast, gdy otworzy się okno powrotnej konfiguracji. Chcielibyśmy ujść z życiem z bezpośredniej konfrontacji z płytą”.

Plany ostatecznego ataku na Wielkiego Brata opracowano i uzgodniono z Kontrolą Lotu. Według założeń „Leonów” miał powoli zbliżyć się do Monolitu, sondując go jednocześnie na wszystkich częstotliwościach. Statek powinien zwiększać swoją moc i pozostawać w ciągłym kontakcie z Ziemią. Po uzyskaniu bezpośredniej styczności z płytą należało pobrać próbki za pomocą odwiertów lub spektroskopii laserowej. Nikt nie oczekiwał pozytywnych rezultatów, szczególnie że TMA-1, mimo dziesięcioletnich usiłowań, w dalszym ciągu opierał się wszelkim badaniom. Wysiłki ludzi można by w tym przypadku porównać z próbami włamania się do bankowego sejfu za pomocą krzemianych toporków z epoki kamiennej.

Na powierzchni Wielkiego Brata powinny na koniec zostać umieszczone echosondy i inne instrumenty sejsmiczne. W tym celu załadowano na „Leonowa” duże ilości materiałów przyklejnych, a gdyby te nie poskutkowały, mieli jeszcze w zapasie kilka kilometrów lin i sznurów... co zresztą kwitowano lawiną żartów. Mieliby obwiązać sznurkiem, niczym paczkę, największą zagadkę Układu Słonecznego!

Gdy „Leonów” wyruszy w drogę powrotną, zostaną odpalone małe ładunki wybuchowe, które - jak się spodziewano - wywołają fale pozwalające zbadać wewnętrzną strukturę Wielkiego Brata. To ostatnie przedsięwzięcie miało swoich zwolenników, ale też i przeciwników. Jedni twierdzili, że nie pociągnie ono za sobą żadnych następstw; drudzy - że stanie się wręcz przeciwnie.

Floyd długo wahał się, po czyjej stronie winien się opowiedzieć, ale teraz przestało to mieć dla niego znaczenie.

Czas ostatecznego spotkania z Wielkim Bratem - tego wspaniałego momentu, który miał być zwieńczeniem całej ekspedycji - znajdował się po złej stronie wyznaczonego im terminu. Heywood Floyd był prze-

209

14-2010 Odyseja kosmiczna

konany, że czas ten należał do przyszłości, która nigdy nie nadejdzie. Ale nikt, jak się zdawało, nie był skłonny podzielać jego przekonania.

Nie to jednak martwiło go najbardziej. Nawet gdyby zgadzano się z nim, nie istniała możliwość wszczęcia jakichkolwiek działań.

Walter Curnow był ostatnią osobą, od której Floyd by oczekiwał rozstrzygnięcia dylematu. Był solidnym inżynierem praktykiem, ale trudno by go posądzać o przebłyski genialności i zdolność do odkryć na miarę pokoleń. Nikt go nie winił, że nie jest geniuszem, jednakże czasami trzeba geniuszu, by dostrzec to, co najbardziej oczywiste.

- Potraktuj naszą rozmowę wyłącznie jako intelektualną zabawę — rozpoczął ostrożnie Walter. — Jestem gotów iść na odstrzał.

- Mów — powiedział Floyd. - Wysłucham cię z zainteresowaniem i w pełni uprzejmie. Przynajmniej to mogę zrobić: wszyscy są dla mnie tacy uprzejmi, aż za uprzejmi - obawiam się.

Curnow uśmiechnął się krzywo.

- Nie możesz mieć do nich pretensji. Ale powiem ci na pocieszenie, że przynajmniej trzy osoby traktują cię niezwykle poważnie i zastanawiają się, jak ci pomóc.

- Czy ty należysz do tej trójki?

- Nie. Jestem pośrodku, a jak wiesz, jest to bardzo niewygodne. Zakładam, że jeśli masz rację, należy zrobić wszystko, by nie pozwolić się zaskoczyć. Wierzę, że istnieje rozwiązanie każdego problemu, trzeba tylko wiedzieć, gdzie go szukać.

- Z przyjemnością wysłucham, co proponujesz. Ja również szukałem rozwiązania, lecz prawdopodobnie w niewłaściwych miejscach.

- Być może. A teraz uważaj: zależy nam na tym, by uciec stąd jak najprędzej, w ciągu piętnastu dni, i w związku z tym potrzebujemy dodatkowej Δv , która wynosi około trzydziestu kilometrów na sekundę.

- Tak to wygląda w obliczeniach Wasilija. Nie sprawdzałem tego, ale on z pewnością ma rację: dzięki niemu jesteśmy tutaj.

- I dzięki niemu możemy się stąd wydostać, ale pod warunkiem, że będzie miał dosyć paliwa.

- I transporter promieniowania taki jak na „Star Trek”, który nas przeniesie na Ziemię w ciągu godziny.

- Następnym razem będę go miał przy sobie. Ale na razie chciałbym ci przypomnieć, że mamy kilkaset ton najlepszego paliwa tuż pod nosem, w zbiornikach „Discovery”.

210

- Omawialiśmy to już dziesiątki razy. Nie ma absolutnie żadnego sposobu, by przepompować je na „Leonowa”. Nie mamy ani rur, ani odpowiednich pomp. A z tego, co wiem, nie można nosić

płynnego amoniaku w wiadrach, nawet w tej części Układu Słonecznego.

- Jest dokładnie tak, jak mówisz, z tym że wcale nie trzeba go przenosić.

- Słucham?

- Możemy wypalić go tam, gdzie się obecnie znajduje: „Disco-very” nam posłuży za pierwszy człon, który wyniesie nas na orbitę powrotną.

Gdyby z podobną propozycją przyszedł ktokolwiek inny, Floyd na pewno skwitowałby ją wybuchem śmiechu. Teraz jednak tylko otworzył usta ze zdziwienia. Wymyślenie odpowiedzi przychodziło mu z trudem. W końcu zdołał jedynie wybełkotać:

- Cholera! Dlaczego sam wcześniej na to nie wpadłem!

Pierwszą osobą, do której się zwrócili, był Sasza. Wysłuchał ich w skupieniu i pozostawiając rzecz bez komentarza, zabrał się do wystukiwania sonat na klawiaturze komputera. Po chwili, gdy otrzymał satysfakcjonujące go odpowiedzi, kiwnął w zamyśleniu głową.

- Macie rację. Otrzymamy w ten sposób dodatkową prędkość, która umożliwi nam wcześniejszy odlot. Pozostają jednak problemy praktyczne...

- Wiemy o tym. Połączenie obydwu statków; boczny napęd w czasie pracy jednego z nich, odłączenie pierwszego członu w momencie krytycznym. Ale są na to sposoby.

- Widzę, że odrobiliście pracę domową. Ale to jedynie strata czasu. Tania nigdy się nie zgodzi.

- Nie oczekuję tego, przynajmniej nie teraz - odpowiedział Floyd. - Chcę jednak poinformować ją o takiej możliwości. Czy wolno liczyć na twoje poparcie?

- Nie wiem, ale z przyjemnością popatrzę na wasze zmagania.

Kapitan Orłowa wysłuchiwała ich z większym spokojem, niż mogli się spodziewać. Nie okazała jednak entuzjazmu. Mimo to gdy skończyli prezentację pomysłu, w jej głosie brzmiała nuta podziwu:

- Bardzo pomysłowe, Heywood...

- Pochwały należą się nie mnie, lecz Walterowi. On również będzie winny w razie czego.

- Nie sądzę. Nie wyobrażam sobie także, by mogło to być coś innego niż... jak powiedział kiedyś Einstein: „przemysłany eksperyment”. No tak... podejrzewam, że zdałby egzamin, przynajmniej 211

w teorii. Ale pomyślcie o ryzyku! Ileż tu niewiadomych! Wydaje mi się, że mogłabym całą rzecz zaakceptować tylko i wyłącznie w przypadku, gdyby zaistniało bezsprzeczne bezpośrednie zagrożenie. A przy całym dla ciebie szacunku, Heywoodzie, jakoś nie widać żadnego zagrożenia.

- To prawda. Ale teraz mam czyste sumienie, że poinformowałem cię o wszystkim. Czy masz coś przeciwko temu, byśmy popracowali nad szczegółami technicznymi - tak na wszelki wypadek?

- Oczywiście, że nie, jeśli nie będzie to kolidować z wcześniejszymi ustaleniami. Przyznaję, że wasz pomysł mnie zaintrygował. Niemniej jednak to wyłącznie strata czasu: nigdy się nie zgodzę na coś takiego. Chyba że David Bowman pojawi się przede mną osobiście.

- Nie sądzę, by nawet on zdołał cię przekonać. Kapitan Orłowa uśmiechnęła się, ale było widać, że wcale się nie cieszy.

- Wiesz co, Heywood, nie jestem pewna... Musiałby być bardzo przekonujący.

Rozdział czterdziesty czwarty

Znikająca płyta

Była to fascynująca zabawa, w której wszyscy brali udział, oczywiście w czasie wolnym. Nawet Tania podrzucała pomysły do „przemysłanego eksperymentu” -jak wciąż nazywała koncepcję Cumowa.

Floyd doskonale zdawał sobie sprawę, że całe to ożywienie nie wynikało ze strachu przed niebezpieczeństwem, które tylko on traktował serio. Powodem była perspektywa wcześniejszego powrotu na Ziemię: miesiąc przed zaplanowanym terminem. Bez względu na motywy, jakimi kierowała się załoga, Floyd był zadowolony z jej pomocy. Sam zrobił już wszystko, co mógł, reszta pozostawała w rękach losu.

Istniała również pewna szczęśliwa okoliczność, bez której cały projekt stałby się niewypałem już w momencie swego powstania. Otóż krótki, potężnie zbudowany „Leonów”, którego projekt uwzględniał pracę w tak nie sprzyjającym otoczeniu jak atmosfera Jowisza, był o połowę mniejszy niż „Discovery”, w związku z czym można go było umieścić „na plecach” amerykańskiego statku. Podstawa anteny, znajdująca się pośrodku „Discovery”, stanowiła idealny punkt zaczepienia - zakładając, że wytrzyma nacisk wagi „Leonowa” w czasie pracy silników dłuższego pojazdu.

Kontrolę Lotu ogromnie dziwiły niektóre prośby przesyłane na Ziemię w ciągu kilku następnych dni. Analiza naprężeń w obu statkach, oddziaływanie bocznego ciągu, umiejscowienie słabych i silnych punktów obydwu kadłubów - była to zaledwie próbka ezoterycznych problemów, nad którymi głowili się poruszeni do głębi ziem-

213

scy technicy. „Czy coś się stało?” - pytanie to rozbrzmiewało najczęściej w centrum komunikacyjnym „Leonowa”.

- Wszystko jest w porządku - odpowiadała Tania. - Sprawdzamy tylko pewne warianty. Dziękujemy za współpracę. Koniec transmisji.

Tymczasem realizowano zaplanowany program. Cierpliwie kontrolowane były wszystkie systemy na obydwu statkach, by przygotować je do drogi powrotnej. I to oddzielnie. Wasilij przeprowadzał symulacje trajektorii, które po wstępnych poprawkach przekazywano Halowi. Jego zadaniem było ostateczne ustalenie poprawności założeń. Tania i Floyd zgodnie pracowali nad planem zbliżenia się do Wielkiego Brata, niczym generałowie przygotowujący inwazję.

Głowę Floyda zaprzętały jednak inne myśli, pomimo że Wielki Brat miał być kulminacją wyprawy. Doświadczył czegoś, czym nie mógł podzielić się z nikim -nawet z tymi, którzy mu wierzyli. Wykonywał swe zadania bez zarzutu, jednakże nie potrafił włożyć w nie serca.

Tania doskonale to rozumiała.

- Ciągłe czekasz na cud, który mnie przekona, prawda?

- Lub pogrzebie moje przekonania - zgadzam się również na to. Nienawidzę niepewności.

- Ja też. Ale i ona wkrótce się skończy, w jedną lub w drugą stronę.

Spojrzała na monitor z planem sytuacyjnym, gdzie wolno mrugała liczba dwadzieścia. Całkowicie niepotrzebnie zresztą, wszyscy bowiem znali na pamięć liczbę dni, która im pozostała do otwarcia okna optymalnej konfiguracji planet.

Zaplanowano atak na Zagadkę.

Heywood Floyd po raz drugi patrzył w niewłaściwym kierunku, gdy to się stało. Nie miało to

jednak żadnego znaczenia: nawet czujna kamera telewizyjna zdołała wychwycić tylko słaby błysk pomiędzy pełnym obrazem a jego brakiem.

Po raz kolejny pełnił służbę na pokładzie „Discovery”, dzieląc cmentarną wachtę z Saszą czuwającym na „Leonowie”. I jak zwykle noc przebiegała spokojnie. Systemy automatyczne wykonywały swoje zadania z normalną dokładnością. Jeszcze rok temu Floyd nigdy by nie uwierzył, że któregoś dnia znajdzie się na orbicie Jowisza, w odległości zaledwie kilku tysięcy kilometrów, i zamiast wpatrywać się w planetę, będzie usiłował bezskutecznie wczytać się w Sonatę Kreut-

214

zerowską w oryginale. Książka ta - według Saszy — była najciekawszym przykładem literatury erotycznej w całej godnej podziwu bele-trystyce rosyjskiej, jednakże Floyd nie wgrzył się jeszcze wystarczająco w powieść, by mógł potwierdzić ową tezę. I chyba nigdy nie zdoła jej potwierdzić.

O godzinie pierwszej dwadzieścia pięć lekturę przerwała mu potężna, chociaż całkiem normalna erupcja na terminatorze Io. Olbrzymia chmura o kształcie parasola wspinała się w próżnię, zrzucając po drodze na płonący księżyc szczątki wybuchu. Floyd widział już dziesiątki podobnych zjawisk, zawsze go jednak fascynowały. Wydawało się nieprawdopodobne, by niewielki satelita dysponował tak tytaniczną siłą.

Chcąc widzieć lepiej, przesunął się do innego okna obserwacyjnego. To, co zobaczył — a raczej: czego nie zobaczył - sprawiło, że natychmiast zapomniał o Io. O wszystkim innym także.

Gdy doszedł do siebie i upewnił się, że nie cierpi — po raz kolejny? - na halucynacje, wywołał drugi statek.

- Dzień dobry, Woody - ziewnął Sasza. - Nie, nie spałem. Jak idzie ci ze starym Tolstojem?

- Zupełnie mi nie idzie. Spójrz na zewnątrz i powiedz mi, co widzisz.

- Nic niezwykłego jak na tę część kosmosu. Io znowu robi numery. Jowisz. Gwiazdy. O mój

Boże!

- Dziękuję, że potwierdziłeś moją normalność. Lepiej obudźmy szypra.

- Oczywiście! I wszystkich innych, Woody, boję się.

- Byłbyś głupcem, gdybyś się nie bał. Zaczynamy: Tania? Tania? - mówi Woody. Przykro mi, że cię budzę, ale twój cud wreszcie się zdarzył. Wielki Brat zniknął. Tak, zniknął. Po trzech milionach lat postanowił odejść. On chyba wie coś, czego my nie wiemy.

Po piętnastu minutach w kabinie obserwacyjnej, będącej jednocześnie miejscem pełnienia wachty, zebrała się niewielka grupa ponurych ludzi i rozpoczęto naprędce przy gotowaną konferencję. Przyszli nawet ci, którzy dopiero co udali się na spoczynek, i popijając teraz kawę ze szklanych baniek w zamyśleniu spoglądali za okno, na szokująco obcy widok nieba, jak gdyby chcieli się upewnić, że Wielki Brat naprawdę zniknął.

„On wie coś, czego my nie wiemy” - zdanie Floyda, które sformułował najzupełniej spontanicznie, obracane było na wszystkie stro-

215

ny, głównie przez Saszę, i zawisło w powietrzu jak groźba. Floyd w tym jednym zdaniu wyraził wszystko, o czym teraz myślała załoga, włącznie z Tanią.

Było za wcześnie, żeby powiedzieć: „a nie mówiłem”. Poprzednie ostrzeżenia zresztą przestały teraz mieć jakiegokolwiek znaczenie. Zakładając nawet, że nie istniało żadne zagrożenie, pozostawanie tu dłużej nie miało sensu. Po prostu obiekt badań zniknął i mogą wracać do domu choćby zaraz. Rzeczywistość jednak była znacznie bardziej skomplikowana.

- Heywood - odezwała się Tania -jestem obecnie gotowa zaakceptować tę wiadomość, czy cokolwiek to było, i potraktować ją poważniej niż przedtem. Musiałabym być skończoną idiotką,

gdybym tego nie uczyniła po tym, co się teraz stało. Lecz jeśli nawet zagraża nam tutaj jakieś niebezpieczeństwo, musimy rozważyć, czy podejmując próbę ucieczki nie bierzemy na siebie jeszcze większego ryzyka. Połączenie „Leonowa” z „Discovery”, sterowanie „Di-scovery” z olbrzymim ładunkiem poza osi statku i wreszcie rozłączenie obydwu pojazdów w ciągu kilku minut, tak by można było odpalić nasze silniki we właściwym momencie - żaden odpowiedzialny kapitan nie podejmie takiego ryzyka bez wyraźnych powodów, więcej: powodów śmiertelnie poważnych. A takich nawet teraz nie widzę. Mam tylko słowo... ducha, które może okazać się niezbyt przekonującym dowodem w sądzie.

- Czy nawet podczas śledztwa - powiedział Walter Curnow bardzo cichym głosem. - Zakładając nawet, że wszyscy poprzemy twoje zeznania.

- Tak, Walterze, myślałam również o tym. Ale jeśli dotrzemy bezpiecznie do domu, to sam ten fakt będzie wystarczającym usprawiedliwieniem, jeżeli nie dotrzemy, to nic już nie będzie miało znaczenia, czyż nie tak? W każdym razie nie podejmuję jeszcze decyzji. Po przekazaniu wiadomości na Ziemię wracam do łóżka. Decyzję przedstawię wam rano, muszę się z nią przespać. Heywood, Sasza, chodźcie ze mną na mostek. Musimy obudzić Kontrolę Lotu, a potem wrócicie na wachtę.

Nie był to jednak koniec niespodzianek tej nocy. Krótki raport Tani minął się gdzieś w okolicach Marsa z wiadomością biegnącą w przeciwnym kierunku.

Betty Fernandez w końcu zdecydowała się mówić. CIA i Krajowa Agencja Bezpieczeństwa były wściekłe: ich pochlebstwa, apele do poczucia patriotyzmu połączone z zawołowanymi groź-

216

bami nie odniosły żadnego skutku. Sztuczka natomiast udała się producentowi plotkarskiej, dość marnej sieci telewizyjnej, który w ten sposób zapewnił sobie nieśmiertelność w annałach Królestwa Wideo.

Producent ów miał wiele szczęścia, wykazał się też niezwykłą pomysłowością. Dyrektor działu wiadomości programu „Witaj, Ziemi!” stwierdził nagle, że pewien jego pracownik jest uderzająco podobny do Davida Bowmana. Charakteryzator telewizyjny sprytnie skorygował drobne różnice. Jose Fernandez mógłby powiedzieć młodemu pracownikowi telewizji, na jakie ryzyko się naraża, ale jemu sprzyjało szczęście, które wybiera odważnych. Gdy sobowtór Bowmana wszedł do domu Fernandezów, Betty skapitulowała. Do momentu odkrycia prawdy i wyrzucenia - całkiem delikatnie - za drzwi pracownik „Witaj, Ziemi!” zdołał wydobyć z niej wszystko. I trzeba oddać mu sprawiedliwość, że przedstawił historię Betty Fernandez bez obleśnego cynizmu, tak charakterystycznego dla sieci, w której pracował, co zjednało mu podziw jury Nagrody Pulitzera.

- Szkoda - powiedział słabym głosem Floyd do Saszy - że nie zdecydowała się mówić wcześniej. Oszczędziłoby mi to masę kłopotów. W każdym razie mam potwierdzenie mojej wersji. Tania nie może mieć teraz żadnych wątpliwości. Ale poczekajmy z tym, aż się obudzi, nie sądzisz?

- Oczywiście. To nie jest aż takie pilne. Uważam, że przyda jej się trochę snu. Mam wrażenie, że odtąd nikt z nas nie będzie sypiał zbyt długo.

„Chyba masz rację” - pomyślał Floyd. Czuł się bardzo zmęczony, wiedział jednak, że nie uśnie, nawet gdyby nie musiał pełnić wachty. Jego umysł pracował na pełnych obrotach, analizując wydarzenia tej niezwykłej nocy i próbując przewidzieć kolejną niespodziankę.

W pewnym sensie czuł ogromną ulgę. Skończyła się niepewność co do ich odlotu. Tania nie może już mieć dalszych zastrzeżeń.

Pozostał jednak lęk: co tu się dzieje?

W życiu Floyda było tylko jedno doświadczenie porównywalne z tym, co przeżywał obecnie. Kiedyś w młodości wybrał się na wyprawę kajakiem po rzece będącej dopływem Kolorado. Płynął z

przyjaciółmi, a mimo to zgubili drogę.

Pędzili coraz szybciej pomiędzy ścianami kanionu, całkowicie bezradni. Sił wystarczyło im jedynie na to, by uniknąć wywrotki.

217

W dole rzeki czekały ich katarakty, może nawet wodospady - nie mieli co do tego pewności. Byli bezbronni.

I znów, jak przed laty, Floyd poczuł, że owładnęły nim potężne siły, spychające go wraz z resztą załogi ku nieznanemu przeznaczeniu. Teraz niebezpieczeństwo było nie tylko niewidzialne - przewyższało zdolność ludzkiego pojmowania.

Rozdział czterdziesty piąty

Manewr ucieczki

- Młowi Heywood Floyd. Rozpoczynam ostatni - jak sądzę, a raczej: mam nadzieję - przekaz z punktu Lagrange'a. Przygotowujemy się do powrotu do domu. Za kilka dni opuścimy to dziwne miejsce na linii łączącej Jowisza i Io, gdzie spotkaliśmy olbrzymi obiekt, nazywany przez nas Wielkim Bratem, który ostatnio zniknął w tajemniczych okolicznościach. Nadal nie dysponujemy żadną wskazówką, gdzie podział się Wielki Brat ani dlaczego zaginał.

Z różnych powodów wydaje się konieczne, byśmy skrócili do minimum nasz pobyt tutaj. Prawdopodobnie odleciemy dwa tygodnie wcześniej, niż planowano pierwotnie, używając przy tym amerykańskiego statku „Discovery” jako rakiety nośnej dla rosyjskiego „Leonowa”.

Pomysł sam w sobie jest bardzo prosty: obydwa statki zostaną umieszczone jeden nad drugim i połączone. „Discovery” włączy silniki jako pierwszy, rozpędzając obydwa pojazdy w pożądanym kierunku. Gdy skończy się paliwo, „Discovery” zostanie odłączony - jak pierwszy człon rakiety nośnej - a pracę podejmie „Leonów”. Do tej chwili jego silniki nie będą używane, oznaczałoby to niepotrzebną stratę energii, której nie mamy w nadmiarze.

W czasie powrotu na Ziemię wykonamy jeszcze jeden manewr, który, podobnie jak wiele innych pomysłów związanych z podróży w kosmosie, jest z pozoru sprzeczny ze zdrowym rozsądkiem. Usiłujemy bowiem odlecieć od Jowisza, lecz pierwszym posunięciem będzie zbliżenie się do tej planety na minimalną bezpieczną odległość.

219

Robiliśmy to już poprzednio, kiedy wykorzystaliśmy atmosferę Jowisza do hamowania i wejścia na orbitę. Tym razem nasza odległość od Jowisza będzie nieco większa, obydwa manewry jednak są bardzo podobne.

Gdy odpalimy silniki po raz pierwszy, tutaj, na wysokości trzystu pięćdziesięciu tysięcy kilometrów ponad Io, nasza prędkość się zmniejszy. Zaczniemy opadać w kierunku Jowisza i zetkniemy się z jego atmosferą. Następnie, w momencie maksymalnego zbliżenia, wypalimy całe nasze paliwo, a to zwiększy naszą prędkość i wystrzeli „Leonowa” na orbitę powrotną ku Ziemi.

Jaki cel ma ten szalony manewr? Trudno byłoby mi to wyjaśnić bez odwoływania się do wyższej matematyki, ale z grubsza biorąc, podstawowe założenie jest dość proste.

Opadając na olbrzymie pole grawitacyjne Jowisza, zyskujemy na prędkości i, co za tym idzie, na energii. Gdy mówię „zyskujemy”, mam na myśli obydwa statki wraz z nagromadzonym paliwem.

Paliwo to zużyjemy na miejscu, na dnie jowiszowej „studni grawitacyjnej”, i nie będziemy musieli go dźwigać ze sobą. W momencie wyrzucania paliwa z reaktorów podzielimy się z planetą częścią uzyskanej energii kinetycznej. Pośrednio wykorzystamy przyciąganie Jowisza, by nabrać prędkości umożliwiającej nam powrót na Ziemię. Podobnie jak w przypadku pozbywania się nadmiaru prędkości, Matka Natura — zazwyczaj tak oszczędna - pozwoli nam wykorzystać jeden pomysł do realizacji dwóch celów, ..

Mając potrójny napęd, to znaczy paliwo „Discovery”, paliwo własne i przyciąganie Jowisza, „Leonów” skieruje się ku Słońcu po hiperboli, która sprowadzi go na Ziemię po pięciu miesiącach. Podróż będzie zatem krótsza co najmniej o dwa miesiące.

Z pewnością zastanawiacie się, co się stanie ze starym, dobrym „Discovery”. Oczywiście nie możemy sprowadzić go do domu automatycznie, tak jak pierwotnie planowaliśmy. Bez paliwa statek

staje się bezradny.

Nie grozi mu jednak żadne niebezpieczeństwo. Będzie krążył wokół Jowisza po bardzo wydłużonej elipsie, niczym kometa. I być może jakaś przyszła wyprawa pokusi się o spotkanie z „Discove-ry” i dostarczy mu paliwa, tak by mógł wreszcie powrócić na Ziemię. Zdarzyć się to może, jak sądzę, dopiero w odległej przyszłości.

220

My zaś musimy myśleć o własnym odlocie. Przed nami ogrom pracy, odpoczniemy, gdy rozpocznie się ostatnie spalanie paliwa, które wypchnie nas na orbitę powrotną.

Opuszczamy to miejsce bez żalu, choć nie zdołaliśmy wykonać głównego zadania wyprawy. Tajemnica, a może nawet zagrożenie związane ze zniknięciem Wielkiego Brata - myśl o tym będzie nas jeszcze długo prześladować i nic na to nie poradzimy.

Zrobiliśmy, co do nas należało, najlepiej, jak potrafiliśmy, a teraz wracamy do domu.

Mówił Heywood Floyd. Koniec transmisji.

Floyd usłyszał ironicznie brzmiące oklaski niewielkiej publiczności zgromadzonej na statku. Gdy jego komunikat dotrze na Ziemię, publiczność powiększy się miliony razy.

- Nie mówiłem do was - zwrócił się lekko poirytowany do załogi. - Nie trzeba było podsłuchiwać.

- Jak zawsze byłeś nadzwyczaj kompetentny, Heywoodzie - powiedziała Tania tonem pocieszenia. — Jestem pewna, że wszyscy możemy podpisać się pod tym, co powiedziałeś ludziom na Ziemi.

- Niezupełnie - powiedział ktoś tak cicho, że z ledwością usłyszeli. - Jest jeszcze jeden problem.

Wszyscy w kabinie obserwacyjnej nagle zamarli. Po raz pierwszy od tygodni Floyd zdał sobie sprawę ze słabych odgłosów dobywających się z głównego kanału wentylacyjnego, jakby wydawała je uwięziona między szybami osa. Jak inne statki, również „Leonów” pełen był takich dziwnych dźwięków, które ucho mogło wychwycić dopiero w zupełnej ciszy. Wtedy należało się także zastanowić nad przyczyną nagłej przerwy w szumach i trzaskach.

- Nic nie wiem o żadnym problemie, Chandra - odpowiedziała Tania niebezpiecznie spokojnym głosem. - Co masz na myśli?

- Kilka ostatnich tygodni spędziłem przygotowując Hala do ty-sięcdniowego lotu po orbicie powrotnej na Ziemię. Teraz wszystkie te programy można wyrzucić na śmietnik.

- Przykro nam z tego powodu - odpowiedziała Tania - ale sprawy przyjęły taki obrót, że lepiej będzie...

- Nie o to mi chodzi - wtrącił Chandra. Wszyscy spojrzeli po sobie zaskoczeni. Chandra nigdy nikomu nie przerywał, a już zupełnie niewyobrażalne było przerwanie wypowiedzi Tani.

221

- Wiadomo wam, jak bardzo Hal jest wyczulony na cele misji - mówił dalej pośród cichnących szeptów. — Obecnie wymagacie ode mnie, abym przedstawił mu program, który w efekcie może doprowadzić do jego zniszczenia. To prawda, że wasz plan zakłada umieszczenie „Discovery” na stabilnej orbicie, lecz jeśli otrzymane przez nas ostrzeżenie ma jakiś sens, co będzie ze statkiem? Oczywiście nie wiemy, a jednak uciekamy stąd. Czy zastanowiliście się, jak zareaguje Hal na całą tę sytuację?

- Czy to znaczy, że poważnie sugerujesz możliwość odmowy wykonania poleceń przez Hala, jak to się zdarzyło w poprzedniej misji? - zapytała bardzo wolno Tania.

- Było dokładnie na odwrót. Hal starał się, jak mógł, by właściwie zinterpretować sprzeczne ze

sobą polecenia.

- Tym razem jednak nie istnieje żadna sprzeczność. Sytuacja jest zupełnie jasna.

- Być może dla nas. Ale dla Hala podstawową dyrektywą jest zapewnienie bezpieczeństwa „Discovery”. My zaś usiłujemy zniweczyć tę dyrektywę. Trudno przewidzieć wszystkie konsekwencje takiego postępowania, gdy za partnera ma się system tak skomplikowany jak Hal.

- Nie widzę żadnego problemu — wtrącił się Sasza. - Po prostu nie powiemy mu, że istnieje realne niebezpieczeństwo. I wtedy nie będzie miał żadnych... obiekcji co do wykonania programu.

- Żłobek dla psychotycznych komputerów! - zamruczał Curnow. - Mam wrażenie, że jestem na trzeciorzędym filmie science fiction. Doktor Chandra spojrział na niego nieprzyjaźnie.

- Chandra - głos Tani nabrał ostrości - czy rozmawiałeś o tym z Halem?

- Nie.

„Czyżby w jego głosie zabrzmiała nutka wahania?” — zastanawiał się Floyd. - A może jest całkiem niewinny, może próbował sobie przypomnieć. A może jednak kłamie, choć wydaje się to zupełnie nieprawdopodobne.

- W takim razie postąpimy tak, jak mówił Sasza. Przedstaw mu nowy program i nie martw się o resztę.

- A jeśli zapyta o przyczynę zmiany planów?

- Czy może to zrobić bez sugestii z twojej strony?

- Oczywiście. Musisz wiedzieć, że ciekawość należy do jego założeń projektowych. Gdyby zginęła załoga, Hal musi być zdolny do wykonania misji we własnym zakresie.

222

Tania przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

- W dalszym ciągu wydaje mi się, że sprawa jest prosta. On wierzy tobie, prawda?

- Z pewnością.

- W takim razie powiesz mu, że „Discovery” nie zagraża żadne niebezpieczeństwo, a misję ratunkową, która sprowadzi statek na Ziemię, planuje się w późniejszym terminie.

- Ale to przecież kłamstwo.

- Nie, my po prostu nie wiemy, czy to jest nieprawda - w głosie Tani brzmiało lekkie zniecierpliwienie.

- Podejrzewamy istnienie poważnego niebezpieczeństwa, w przeciwnym razie nie planowalibyśmy powrotu przed terminem.

- A więc co chcesz zrobić? - zapytała Tania z wyraźną irytacją.

- Musimy powiedzieć mu całą prawdę, wszystko, co wiemy o naszej sytuacji. Trzeba skończyć wreszcie z kłamstwami i półprawdami, co zresztą na jedno wychodzi. I pozwólmy mu podjąć własną decyzję.

- Do diabła, Chandra, to jest tylko maszyna! Hindus skierował na Maksa wzrok pełen spokoju i pewności. Rosjanin spuścił oczy.

- Podobnie jak my wszyscy, doktorze Brajlowski. To tylko kwestia punktu widzenia. Jedyna różnica polega na tym, że niektórzy z nas mają strukturę opartą na węglu, inni zaś - na krzemie. Wszyscy jednak powinniśmy być traktowani z odpowiednim szacunkiem.

„To dziwne - pomyślał Floyd - jak Chandra, z pewnością najmniej widoczny na statku, urósł nagle w ich oczach”. Dyskusja trwała już zbyt długo. Za chwilę Tania zacznie wydawać rozkazy i cała sytuacja stanie się niesmaczna.

- Taniu, Wasilij, czy mógłbym zamienić z wami słowo na osobności? Sądzę, że istnieje sposób rozwiązania tego problemu.

Prośbę Floyda przyjęto z wyraźną ulgą. Dwie minuty później Hey-wood wkroczył do kwatery Orłowów. („Gniazdeczka” - jak kiedyś nazwał ją Curnow z powodu ciasnoty. Później bardzo tego żałował, bo nikt oprócz Saszy nie zrozumiał żartu i wszyscy przychodzili do Waltera po wyjaśnienia.)

- Dziękuję, Woody — powiedziała Tania wręczając mu bańkę z jego ulubioną azerbejdzańskąszema&ą. - Czekałam, aż przerwiesz tę dyskusję. Sądzę, że masz... jak wy to mówicie?... jakiegoś asa w rękawie.

223

- Tak mi się przynajmniej wydaje - odparł Floyd, racząc się słodkim winem. - Chcę także przeprosić za kłopoty, jakie sprawia Chandra.

- Mówi się trudno. Dobrze, że mamy tylko jednego szalonego naukowca na pokładzie.

- A do mnie mówisz inaczej - wtrącił z uśmiechem akademik Wasilij. - Przejdźmy jednak do sprawy, Woody.

- Moja propozycja brzmi następująco: pozwólmy, by Chandra działał zgodnie ze swoim planem, i zastanówmy się nad konsekwencjami, które według mnie mogą być dwojakiego rodzaju. Po pierwsze, Hal robi dokładnie to, co mu każemy, to znaczy przejmie sterowanie „Discovery” podczas dwóch okresów pracy silników. Pamiętajcie, że pierwszy okres nie jest aż tak krytyczny. Jeśli zajdzie coś nieprzewidzianego podczas odlotu znad Io, będziemy mieć jeszcze mnóstwo czasu na wprowadzenie poprawek. A jednocześnie będzie to dobry sprawdzian... chęci współpracy komputera.

- A co w takim razie z przelotem koło Jowisza? Jest to najbardziej krytyczny moment misji. Spalamy wtedy całe paliwo „Discovery”, ponadto nie może być żadnej pomyłki w wektorach czasu i napędu.

- Czy można sterować nimi ręcznie?

- Wolałbym nie próbować. Najmniejszy błąd i albo się spalimy, albo stajemy się kometą długookresową, która powróci tu za kilka tysięcy lat.

- Ale gdyby nie istniało inne wyjście? - nalegał Floyd.

- No cóż, zakładając, że przejęlibyśmy sterowanie w odpowiednim czasie, a także z zapasem obliczonych wcześniej orbit alternatywnych - hm, mogłoby się udać.

- Znając cię, Wasilij, jestem pewien, że twoje „mogłoby” oznacza „udałoby się”, to zaś prowadzi do drugiej możliwości, o której wspomniałem. Jeśli Hal zacznie wykazywać najmniejsze odstępstwa od programu, sami przejmujemy ster.

- Masz na myśli odłączenie go?

- Dokładnie.

- Ostatnim razem nie było to takie proste.

- Od tego czasu nauczyliśmy się paru rzeczy. Zostawcie to mnie. Mogę wam zagwarantować przejęcie ręcznego sterowania w pół sekundy.

- Podejrzewam, że Hal nic o tym nie wie?

- Teraz ty popadasz w paranoję, Wasilij. Hal nie jest aż tak bardzo ludzki, czego nie da się powiedzieć o Chandrze, który ma prawo powątpiewać o naszych intencjach. Dlatego nie mówcie mu o niczym.

224

Wszyscy całkowicie zgadzamy się z jego planem, jest nam przykro, że wyrażaliśmy pewne obawy, i jesteśmy zupełnie pewni, że Hal zrozumie nasz punkt widzenia. Czyż nie tak, Taniu?

- Masz rację, Woody. Gratuluję ci daru przewidywania. To małe urządzenie to był dobry

pomysł.

- Jakie urządzenie? - zapytał Wasilij.

- Kiedyś ci wyjaśnię. Przepraszam, Woody, ale chciałabym zachować tę reszkę szemaki do chwili powrotu na Ziemię.

Rozdział czterdziesty szósty

Odliczanie

- Gdyby nie moje zdjęcia, nikt by w to nie uwierzył" - pomyślał Maks Brajlowski, orbitując w odległości pół kilometra od obydwu statków. Obraz, który miał przed oczami, był komicznie nieprzyzwoity - wyglądało to tak, jak gdyby „Leonów” gwałcił „Discovery”. Rosyjski statek mógł rzeczywiście przypominać silnego, dobrze zbudowanego mężczyznę, przy którym „Discovery” niejako zamieniał się w delikatną i smukłą kobietę. Większość operacji związanych z łączeniem statków w kosmosie ma wyraźne konotacje erotyczne; Maks pamiętał historię jednego z wczesnych kosmonautów - nazwisko akurat wyleciało mu z głowy - którego ostro przywołano do porządku, gdy w dosyć niewybrednych słowach przekazywał relację z... punktu szczytowego misji.

Według wnikliwej oceny Brajlowskiego wszystko przebiegało normalnie. Nadanie statkom odpowiednich pozycji i połączenie kadłubów zajęło więcej czasu, niż przewidywano. Cała operacja nie mogłaby dojść do skutku, gdyby nie przysłowiowy łut szczęścia, który czasem - choć bardzo rzadko - sprzyja śmiałkom. Niezbadanym wyrokiem opatrności na pokładzie „Leonowa” znaleziono kilka kilometrów taśmy wykonanej z włókien węglowych, o szerokości wstążki do włosów, która mimo to wytrzymywała napięcie rzędu kilku ton. Pierwotnie taśma miała służyć do mocowania instrumentów pomiarowych na powierzchni Wielkiego Brata, obecnie posłużyła do wzmocnienia czułego uścisku „Leonowa” i „Discovery”, który według oczekiwań miał przetrwać wszystkie wstrząsy i uderzenia wywoływane przyspieszeniem

226

wzrastającym do jednej dziesiątej ciężenia, co było wielkością maksymalną przy pełnym ciągu.

- Czy mam sprawdzić coś jeszcze, zanim wrócę? - pytał Maks.

- Nie - odpowiedziała Tania. - Wszystko jest w porządku i szkoda czasu.

To była prawda. Jeśli traktować poważnie tajemnicze ostrzeżenie - a teraz wszyscy tak je traktowali - powinni rozpocząć manewr ucieczki w ciągu następnych dwudziestu czterech godzin.

- Dobrze, w takim razie sprowadzam „Ninę” do stajni. Przepraszam, staruszko.

- Nigdy nam nie mówiłeś, że „Nina” jest koniem.

- Teraz też tego nie mówię. Przykro mi, że musimy ją tu zostawiać tylko dlatego, by zyskać parę lichych metrów na sekundę.

- Za kilka godzin, Maks, będziemy dziękować Bogu za te „parę lichych metrów”. A poza tym zawsze istnieje szansa, że ktoś znajdzie tutaj „Ninę”.

„Bardzo w to wątpię” - pomyślał Maks. A zresztą może to dobrze, że zostawiali ją tutaj. Będzie przypominać innym o pierwszej wizycie człowieka w królestwie Jowisza.

Włączył silniki sterujące i delikatnie, stopniowo zwiększając ciąg sprowadził „Ninę” w pobliże olbrzymiej kuli będącej na „Discove-ry” modułem podtrzymywania życia. Jego koledzy na pokładzie dowodzenia nie poświęcili mu wiele uwagi, gdy przelatował obok sferycznego okna. Otworzyły się przed nim wrota kosmicznego garażu, potem ukazało się ramię wysięgnika, do którego starannie przymocował „Ninę”.

- Wciągnijcie mnie - powiedział, gdy dobiegł go trzask zamykających się zasuw. - To była jedna z najlepiej zaplanowanych misji poza statkiem: został jeszcze cały kilogram paliwa na ostatnią podróż „Niny”.

W normalnych warunkach odpalanie silników w przestrzeni kosmicznej nie było niczym

niezwykłym. W przeciwieństwie do startów z powierzchni planet, zawsze dość ryzykownych, odpalanie w kosmosie było pozbawione najsilniejszych efektów dramatycznych, czyli huk i ognia. W przypadku drobnej awarii - na przykład gdy silniki nie od razu osiągały pełny ciąg - istniał zazwyczaj spory margines swobody, dzięki któremu można było wprowadzić poprawki przez, powiedzmy, dłuższe spalanie. Można też było nie robić nic i dopiero w odpowiednim punkcie orbity ponowić uruchomienie statku.

Tym razem jednak, gdy odliczanie zbliżało się do zera, napięcie na obydwu statkach osiągnęło punkt kulminacyjny. Wszyscy zdawa-

227

li sobie sprawę, że był to pierwszy rzeczywisty sprawdzian posłuszeństwa Hala. Oprócz Floyda, Cumowa i Orłowów nikt nie miał pojęcia o zabezpieczeniu, które zresztą -jak wszystkie urządzenia -mogło okazać się zawodne.

„- Powodzenia, „Leonów” - powiedziała Kontrola Lotu na pięć minut przed zapłonem. - Mamy nadzieję, że wszystko będzie w porządku. Przy okazji, mamy małą prośbę. Przelatując obok Jowisza, zróbcie nam kilka zbliżeń równika, długość sto piętnaście. Pojawiła się tam dziwna czarna plama - prawdopodobnie jakieś zawirowanie - o idealnie kolistym kształcie i średnicy tysiąca kilometrów. Przypomina cień satelity, ale to chyba coś innego”.

Tania potwierdziła odbiór, zaznaczając w kilku prostych słowach całkowity brak zainteresowania obecnie meteorologią Jowisza. Kontrola Lotu wykazywała czasami niezrównany brak taktu i zrozumienia potrzeb innych.

- Wszystkie systemy działają normalnie - powiedział Hal. - Zapłon za dwie minuty.

„To dziwne - pomyślał Floyd - jak często zdarza się, że język i terminologia są trwalsze aniżeli opisywane przez nie technologie”. Zapłon istniał tylko w rakietach chemicznych. Obecnie, nawet gdyby doszło do zetknięcia się wodoru z tlenem w napędzie nuklearnym czy plazmowym, panująca tam temperatura była za wysoka, by umożliwić spalanie. Było tam tak gorąco, że wszystkie związki rozpadały się na pierwiastki.

Floyd w dalszym ciągu rozważał przykłady trwałości języka. Ludzie - szczególnie starsi - ciągle mówili o „wkładaniu filmu do kamery” i „napełnianiu baku gazem”. W studiach nagrań słyszało się jeszcze powiedzenie o „cięciu taśmy”, sięgające dwa pokolenia zapomnianych technologii wstecz.

— Minuta do zapłonu.

Floyd wrócił myślami na statek. Ta minuta była najważniejsza. Prawie od stu lat na wszystkich wyrzutniach i we wszystkich ośrodkach sterowania lotem było to sześćdziesiąt sekund najdłuższe z możliwych. Wiele razy jedyną rzeczą, która zdarzała się potem, była katastrofa. Zawsze jednak pamięta się zwycięstwa. A co przydarzy się nam?

Kusiło go, aby kolejny raz wsunąć rękę do kieszeni, w której spoczywało urządzenie uruchamiające „pułapkę na Hala”, mimo że logika mu podpowiadała, iż będzie miał mnóstwo czasu, gdyby zaszło coś nieoczekiwanego. Jeśli Hal nie zastosuje się do programu, bę-

228

dzie to jedynie kłopot, a nie żadna katastrofa. W rzeczywistości chwila prawdy czeka ich dopiero w pobliżu Jowisza.

- Sześć... pięć... cztery... trzy... dwa... jeden... ZAPŁON!

Z początku przyśpieszenie było ledwo wyczuwalne, ale rosło z każdą sekundą, by po minucie osiągnąć jedną dziesiątą grawitacji. Niemal natychmiast wszyscy zaczęli klaskać i Tania musiała prosić o ciszę. Należało przeprowadzić wiele testów. Nawet jeśli Hal nie zawiódł - a widać było, że stara się jak może - istniało wiele innych niebezpieczeństw.

Podstawa anteny „Discovery”, biorąca teraz na siebie całą inercję „Leonowa”, nie była do tego przeznaczona. Główny projektant, któremu przerwano zasłużoną emeryturę, przysięgał, że urządzenia statku mają wystarczająco duży margines bezpieczeństwa. Mógł się jednak mylić, nie wspominając już o zmęczeniu materiału po latach w próżni...

Taśmy łączące obydwie statki mogły zostać zainstalowane niezbyt dokładnie, istniała też możliwość ich pęknięcia lub obsunięcia się. „Discovery” mógł sobie nie poradzić z masą umieszczoną obok głównej osi, liczącą tysiące ton. Floyd wyobrażał sobie dziesiątki rzeczy, które mogły się nie udać, i niezbyt pocieszała go myśl, że jeśli coś się zepsuje, to z pewnością to, co akurat nie przyszło mu do głowy.

Minuty mijały jednak bez żadnych nadzwyczajnych wypadków. Jedyнным dowodem, że silniki „Discovery” rzeczywiście pracują, było minimalne ciężenie wywołane ich pracą oraz słabo wyczuwalna wibracja przenoszona przez ściany. Io i Jowisz znajdowały się w tym samym miejscu, gdzie widziało się przez kilka ostatnich tygodni: po przeciwległych stronach nieba.

- Przerwa w pracy silników za dziesięć sekund. Dziewięć... osiem... siedem... sześć... pięć... cztery... trzy... dwa... jeden... TERAZ!

- Dziękuję, Hal. Guzik wciśnięty.

Było to kolejne wyrażenie sprzed lat. Guziki do wciskania już nie istniały, zastąpiły je sensory, reagujące na dotyk. Jednak nie we wszystkich urządzeniach. Niektóre instrumenty o podstawowym znaczeniu nadal włączało się za pomocą przycisków, które wydawały uspokajający dźwięk.

- Potwierdzam - powiedział Wasilij. - Bez poprawek aż do poło wy kursu.

- Pożegnajmy wspaniałego, egzotycznego Io, istny cud, o jakim marzą wszyscy handlarze nieruchomości - wtrącił Curnow. - Będziemy szczęśliwi tęskniąc za tobą.

229

„Znowu ten sam Walter” - pomyślał Floyd. Przez ostatnie kilka tygodni Curnow był dziwnie wyciszony, jakby coś bardzo go gnębiło (dotyczyło to, prawdę mówiąc, wszystkich). Spędzał wiele czasu - spośród tych naprawdę nielicznych chwil wolnych od pracy - na spokojnych rozmowach z Katieriną. Floyd miał nadzieję, że jego zdrowiu nic nie zagraża. Do tej pory mieli zresztą dużo szczęścia, jeśli chodzi o sprawy medyczne. Interwencja naczelnego lekarza w tym momencie była ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowali.

- Walter, jesteś niesprawiedliwy - powiedział Brajlowski. - Właśnie zaczynałem lubić to miejsce. Wyobraź sobie, jaka to byłaby frajda - przejażdżka łodzią po jeziorze płynnej lawy.

- A co powiesz na ognisko w wulkanie?

- Lub prawdziwe gorące kąpiele siarczane?

Nastrój wszystkich znacznie się poprawił. Ich nieco histeryczny śmiech wyrażał ulgę. Co prawda za wcześnie było na pełne odprężenie, gdyż czekał ich jeszcze najbardziej krytyczny punkt całego manewru ucieczki, lecz pierwszy krok na długiej drodze do domu mieli już za sobą i był to wystarczający powód do radości.

Ale nie trwała ona długo, Tania bowiem poleciła wszystkim członkom załogi, którzy nie pełnili służby, udanie się na spoczynek, najlepiej prosto do łóżek, i przygotowanie się do przelotu obok Jowisza za dziewięć godzin. Rozkaz Tani załoga przyjęła z ociąganiem, lecz dopomógł jej Sasza, wykrzykując z humorem:

- Powieszę was za to, wy zdradzieckie psy!

Przed dwoma dniami, jednego z niewielu wolnych wieczorów, oglądali czwartą wersję Buntu na Bounty, która - jak zgodnie twierdzili krytycy filmowi - należała do najlepszych od czasów, gdy słynny Charles Laughton grał rolę kapitana Bligha. Po projekcji niektórzy członkowie załogi wyrazili

przekonanie, że Tania nie powinna była oglądać tego filmu, ponieważ dostarczył jej z pewnością kilku pomysłów radzenia sobie z konfliktami na statku.

Po kilku niespokojnych godzinach spędzonych w śpiworze Floyd porzucił myśl o zaśnięciu i przeszedł na pokład obserwacyjny. Jowisz był teraz znacznie większy, chociaż część planety spowijał mrok. Obydwa statki pędziły ku nocnej stronie, tam bowiem nastąpić miało zbliżenie. Floyd widział przed sobą lśniący dysk, pomiędzy kwadrą a pełnią. Powierzchnię wypełniało mnóstwo detali: pasm chmur, plam we wszelkich kolorach - od oślepiającej bieli do ce-glastej czerwieni — ciemnych zawirowań, powstałych w nieznanach głębinach, i wreszcie rozpedzonych huraganów Wielkiej Czerwo-

230

nej Plamy; wzrok z trudnością ogarniał całe to bogactwo. Dostrzegł także cień jednego z księżyców - prawdopodobnie Europy - wędrujący po tarczy Jowisza. Oglądał ten widok po raz ostatni i chociaż za sześć godzin powinien być wypoczęty i gotów do pracy, szkoda mu było tracić czasu na sen.

Gdzie znajdowało się to miejsce, o którym wspomniała Kontrola Lotu? Powinno się właśnie wynurzyć z mroku, chociaż nie wiadomo, czy można je dostrzec gołym okiem. Wasilij z pewnością jest zbyt zajęty, żeby tracić czas na obserwację. Może trzeba mu pomóc i chociaż po amatorsku zabrać się za astronomię. Trzydzieści lat temu był przecież w jego życiu taki moment - co prawda krótki - gdy uchodził za profesjonalistę.

Uruchomił sterowanie głównego, pięćdziesięciocentymetrowego teleskopu. Na szczęście „Discovery” nie przesłaniał pola widzenia. Ustawił średnie powiększenie i zaczął badać powierzchnię Jowisza wzdłuż równika. I oto dostrzegł to coś; wyłaniało się właśnie na krawędzi planety.

Dzięki przypadkowi Floyd był teraz jednym z dziesięciu największych ekspertów od Jowisza w całym Układzie Słonecznym. Pozostała dziewiątka spała lub pracowała w pobliżu. Od pierwszej chwili ocenił, że plama jest nad wyraz dziwna: tak czarna, że wyglądała jak dziura wybita w pokrywie chmur. Z punktu, w którym ją oglądał, przypominała kształtem ostro zakończoną elipsę. Odgadł, iż w rzeczywistości jest to idealny okrąg.

Zarejestrował kilka zbliżeń, a potem zwiększył siłę teleskopu do maksimum. Obrót Jowisza sprawił, że niecodzienna formacja stała się doskonale widoczna. Floyd wpatrywał się w nią z napięciem i coraz bardziej zdumiony.

- Wasilij - zawołał przez interkom — czy masz chwilkę czasu? Spójrz na monitor teleskopu.

- Prowadzisz obserwację? Czy to jest aż tak ważne? Sprawdzam właśnie orbitę.

- Zabieram ci czas, ale znalazłem tę plamę, o której powiadała Kontrola Lotu. Wygląda bardzo dziwnie.

- Do diabła, całkiem o niej zapomniałem! Niezły z nas astronomowie, jeśli ci z Ziemi muszą nam mówić, gdzie powinniśmy patrzeć. Daj mi pięć minut — plama nie ucieknie.

„To prawda - pomyślał Floyd. - A może nawet będzie ją lepiej widać”. Fakt, że nie dostrzegli czegoś, co zaobserwowali ziemscy — lub księżycowi - astronomowie, nie przynosił im ujmy. Jowisz jest

231

olbrzymią planetą, a oni byli tak bardzo zajęci. Teleskopy na orbitach wokół Ziemi i Księżyca były ponadto setki razy silniejsze niż ten, którym się właśnie Floyd posługiwał.

Tymczasem plama stawała się coraz dziwniejsza. Po raz pierwszy zaczął się czuć nieswojo. Do tej pory sądził, że każda plama jest formacją naturalną, powstałą na skutek skomplikowanych zjawisk

meteorologicznych występujących na Jowiszu. Ta jednak wyglądała inaczej.

Była przerażająco czarna, czarna niczym noc. I symetryczna. Patrzył na doskonały okrąg, którego brzegi rozmywały się w polu widzenia, jak gdyby ustawił złą ostrość.

Czy mu się wydaje, czy plama rzeczywiście urosła, w czasie gdy na nią patrzył? Oceniał, że jej średnica wynosi około dwóch tysięcy kilometrów. Była nieco mniejsza niż ciągle widoczny cień Europy, jednakże kolor nie pozwalał ich mylić.

- Cóż tam mamy? - powiedział Wasilij pobłażliwie. - Ciekawe, co też odkryłeś? Och...

Jego głos zamarł nagle.

„Tak, to musi być to” - powiedział do siebie Floyd lodowato.

Cokół wiek to jest...

Rozdział czterdziesty siódmy

Ostatni przelot

Gdy opadły pierwsze emocje, zaczęto się zastanawiać, jaki rodzaj zagrożenia może kryć w sobie rosnąca czarna plama na powierzchni Jowisza. Samo zjawisko było czymś niezwykle trudnym do wyjaśnienia, jednakże czekały ich ważniejsze zadania - i to już za siedem godzin. Teraz liczył się tylko prawidłowy zapłon, gdy znajdą się w pe-ryjowium. W drodze powrotnej będą mieli dość czasu, by zająć się tajemniczą plamą.

Spać? - Floyd ostatecznie porzucił myśl o udaniu się na spoczynek. Poczucie zagrożenia - przynajmniej tego, które dostrzegali - było znacznie mniejsze niż w czasie pierwszego przelotu obok Jowisza, a jednak obawa w połączeniu z podnieceniem nie pozwalały mu zasnąć. Podniecenie było stanem zupełnie naturalnym i zrozumiałym, natomiast obawa miała znacznie bardziej skomplikowane przyczyny. Floyd z reguły nie martwił się sprawami, na które nie miał wpływu. Każde zagrożenie z zewnątrz rozważał w momencie, gdy się pojawiało. Mimo to nie potrafił w tej chwili powstrzymać się od roztrząsania najróżniejszych sytuacji związanych z bezpieczeństwem statków.

Oprócz usterek mechanicznych, które mogły wystąpić na pokładzie, istniały dwa główne źródła zagrożenia. Taśmy łączące „Leono-wa” z „Discovery” nie wykazywały co prawda tendencji do obsuwania się, jednakże ostateczny ich sprawdzian miał dopiero nastąpić. Równie niebezpieczny będzie moment rozdzielenia obydwu statków za pomocą niewielkich ładunków wybuchowych, które zostaną odpalone bardzo blisko kadłuba „Leonowa”...

233

No i, oczywiście, był jeszcze Hal...

Co prawda manewr zejścia z orbity został przeprowadzony bez zarzutu, podobnie jak wszystkie symulacje przelotu obok Jowisza aż do ostatniej kropli paliwa w zbiornikach „Discovery”. Hal nie zgłaszał żadnych zastrzeżeń i powstrzymał się od komentowania programu. Chandra - zgodnie z tym, co wcześniej ustalono - wyjaśnił Halowi bardzo dokładnie wszystkie elementy manewru. Ale czy komputer rzeczywiście zrozumiał, czego się po nim spodziewają?

Przez ostatnie kilka dni Floyda prześladowała pewna myśl, stała się niemal jego obsesją. Wyobrażał sobie obydwa statki w połowie przelotu obok Jowisza: wszystko toczy się zgodnie z planem, olbrzymi dysk Jowisza wypełnia niebo, są w odległości kilkuset kilometrów od powierzchni planety - i oto nagle Hal włącza swój elektroniczny głos:

- Doktorze Chandra, czy mógłbym zadać panu pytanie?

W rzeczywistości wyglądało to nieco inaczej.

Wielka Czarna Plama, bo tak oczywiście zostało nazwane nowe zjawisko, zniknęła z pola widzenia na skutek szybkiego obrotu Jowisza. Za kilka godzin statek, systematycznie zwiększający swoją prędkość, dogoni plamę ponad nocną stronę planety. Teraz mieli więc ostatnią szansę jej obserwacji z bliska i w dziennym świetle.

Plama wciąż rosła, i to z zadziwiającą szybkością. Przez ostatnie dwie godziny zwiększyła swój obszar ponad dwukrotnie. Pominąwszy niezmienną czerń zabarwienia, można by ją porównać z kroplą atramentu rozpluwającą się w wodzie. Krawędź okrągłej plamy - mknąca z szybkością rozchodzenia się dźwięku w atmosferze Jowisza - nadal wydawała się dziwnie nieostra. Nastawiając teleskop na maksymalne powiększenie, odkryli w końcu przyczynę tego zjawiska.

Otóż w przeciwieństwie do Wielkiej Czerwonej Plamy obserwowana teraz Wielka Czarna

Plama nie była strukturą stałą. W jej skład wchodziły miliony maleńkich plamek, przypominających drukarski raster oglądany przez szkło powiększające. Na dużej powierzchni plamki niemal przylegały do siebie, na krawędzi natomiast odstęp między nimi były znacznie większe — w efekcie dawało to wrażenie nieostrości obrazu.

Liczba plamek z pewnością szła w miliony, miały one wyraźnie wydłużony kształt - były więc elipsami. Katierina, uchodząca za osobę pozbawioną wyobraźni, zadziwiła wszystkich przyrównaniem plamy do rozsypanego na powierzchni Jowisza worka czarnego ryżu.

234

Słońce chowało się za olbrzymim, lecz szybko zwężającym się łukiem dziennej strony planety. „Leonów” po raz drugi wnikał w jowiszową noc. Czekano tam na niego przeznaczenie. Za trzydzieści minut rozpocznie się ostatni zapłon i od tego momentu wszystko potoczy się niezwykle szybko.

Floyd zastanawiał się, czy powinien dołączyć do Chandry i Curno-wa pełniących służbę na „Discovery”. Nie miał tam jednak nic do roboty, tylko by przeszkadzał w razie jakiejś awarii. Wyłącznik komputera spoczywał w kieszeni Cumowa. Floyd zdawał sobie sprawę, że Walter, znacznie młodszy od niego, potrafi zareagować o wiele szybciej. Gdyby Hal zaczął sprawiać kłopoty, Curnow odłączy go w ciągu sekundy. Floyd żywił jednak dziwne przeświadczenie, że do tego nie dojdzie. Chandra, któremu pozwolono działać w jego własny sposób, przygotował wszystkie procedury przejścia sterowania, jeśli stałoby się to konieczne. Floyd ufał mu, mimo początkowych obaw.

Curnow natomiast nie dowierzał Hindusowi w dalszym ciągu. Przed udaniem się na służbę powiedział do Floyda, że czułby się znacznie pewniej, gdyby miał przy sobie system wielokrotnej redundancji, czyli kilka wyłączników komputera, a także jeden wyłącznik. .. Chandry. Teraz pozostawało jedynie czekać i przyglądać się chmurom nocnej strony Jowisza, odbijającym słabe światło księżyców, poświacie reakcji fotochemicznych i piorunom z wyładowań, które obejmowały obszar przewyższający powierzchnię całej Ziemi.

Słońce zniknęło za olbrzymim globem, do którego tak szybko się zbliżali. Gdy ujrzą po raz drugi, będą już w drodze do domu.

- Dwadzieścia minut do zapłonu. Nominalny odczyt pracy wszystkich systemów.

- Dziękuję, Hal.

„Zastanawiam się, czy Chandra mówił prawdę - myślał Curnow -ostrzegając nas przed bezpośrednim zwracaniem się do Hala. Rozmawiałem z nim wielokrotnie, gdy nikogo nie było w pobliżu, i wydaje mi się, że Hal doskonale mnie rozumiał. Szkoda, że nie ma już czasu na przyjacielską pogawędkę. Z pewnością zmniejszyłoby to napięcie”.

Co myśli Hal -jeśli w ogóle myśli - o naszej misji? Curnow zawsze starał się unikać stawiania abstrakcyjnych, filozoficznych pytań. „Jestem człowiekiem od śrubek i nakrętek” - twierdził często, chociaż przy budowie statków kosmicznych rzadko były stosowane tak prymitywne złącza. Rozważał teraz coś, co kiedyś by wyśmiał: czy Hal jest świadomy tego, że wkrótce zostanie porzucony, a jeśli

235

tak, to czy odczuwa oburzenie? Curnow dotknął wyłącznika spoczywającego w kieszeni, lecz zaraz cofnął rękę. Robił to już tak wiele razy, że Chandra może nabrać podejrzeń.

Po raz setny powtarzał sobie kolejność wydarzeń, które miały nastąpić w ciągu nadchodzącej godziny. W chwili gdy wyczerpie się paliwo „Discovery”, wyłączą większość systemów operacyjnych -oprócz kilku niezbędnych do funkcjonowania statku -potem wrócą na „Leonowa” przez rękaw łączący go z amerykańskim pojazdem. Rękaw zostanie schowany, po czym nastąpi odpalenie ładunków wybuchowych. Statki rozłączą się. Rozpoczną pracę silniki „Leonowa”. Jeśli wszystko

pójdzie zgodnie z planem, odłączenie „Discover-y” powinno nastąpić w momencie największego zbliżenia do Jowisza. Dzięki temu uda się maksymalnie wykorzystać pole grawitacyjne planety.

- Piętnaście minut do zapłonu. Nominalny odczyt pracy wszystkich systemów.

- Dziękuję, Hal.

- Przy okazji - powiedział Wasilij na „Leonowie”. - Doganiamy właśnie Wielką Czarną Plamę.

Ciekawe, czy coś się zmieniło.

„Mam nadzieję, że nic - pomyślał Curnow. - Mamy aż nadto roboty”. Mimo to spojrzął na przesłany przez Wasilija obraz na monitorze teleskopu.

Początkowo nie mógł nic dostrzec oprócz słabej poświaty nocnych chmur Jowisza. Później na horyzoncie ukazał się skrócony, ciemny dysk. Zbliżali się do niego z niewiarygodną prędkością

Wasilij zwiększył natężenie światła. Obraz na monitorze pojaśniał. Wielka Czarna Plama ukazała się w całej pełni swych miliardów identycznych elementów...

„Mój Boże - pomyślał Curnow. - To nie do uwierzenia!”

Usłyszał okrzyki zdumienia dobiegające z „Leonowa”. Wszyscy dostrzegli to samo w tej samej chwili.

- Doktorze Chandra - powiedział Hal - wykryłem silne napięcie akustyczne. Czy mamy jakiś problem?

- Nie, Hal - odparł szybko Chandra. - Misja przebiega normalnie. Poczuliśmy się zaskoczeni obrazem z teleskopu. Co sądzisz o przekazie na monitorze 16?

- Widzę nocną stronę Jowisza. Dostrzegam także kolisty obszar, o średnicy 3250 kilometrów, niemal całkowicie pokryty obiektami o kształcie prostokątów.

- Ile ich jest?

236

Nastąpiła bardzo krótka przerwa, po czym na monitorze ukazała się liczba wyświetlona przez Hala:

1 355 000 ± 1000

- Czy rozpoznajesz te obiekty?

- Tak. Mają identyczne rozmiary i są tego samego kształtu co obiekt określany mianem Wielkiego Brata. Dziesięć minut do zapłonu. Nominalny odczyt pracy wszystkich systemów.

„Mój odczyt jest daleki od normy - pomyślał Curnow. - Ta cholerna rzecz przeniosła się na Jowisza i tu się mnoży”. Plaga czarnych Monolitów — było w tym coś komicznego i groźnego zarazem. Ku własnemu zaskoczeniu Curnow odkrył, że niesamowity obraz na monitorze coś mu przypomina.

Oczywiście! To było to! Milion identycznych czarnych prostokątów wyglądał jak kostki domina. Przed laty widział film dokumentalny, ukazujący drużynę lekko kopniętych Japończyków, którzy cierpliwie ustawiali kostki domina tak, by w momencie przewrócenia pierwszego nastąpiła reakcja łańcuchowa, pociągająca za sobą wszystkie kostki. Układano je w skomplikowane wzory, niektóre umieszczono nawet pod wodą, inne ustawiano na małych schodkach, jeszcze inne wzdłuż wijących się ścieżek. W chwili gdy kostki się przewracały, oczom oglądających ukazywały się przeróżne obrazy. Ustawienie kostek domina zajęło kilka tygodni. Parokrotnie pracę przerywały trzęsienia ziemi. Samo przewracanie się kostek - od pierwszej do ostatniej - trwało ponad godzinę.

- Osiem minut do zapłonu. Nominalny odczyt pracy wszystkich systemów. Doktorze Chandra, czy mógłbym coś zaproponować?

- O co chodzi, Hal?

- Zjawisko, które oglądamy, jest czymś niezwykłym. Czy nie sądzi pan, że powinienem przerwać

odliczanie po to, by dokładniej je zbadać?

Na pokładzie „Leonowa” Floyd szybko przeszedł do sterowni. Tania i Wasilij mogą go potrzebować. Nie mówiąc już o Chandrze i Curnowie. Co za sytuacja! Przypuśćmy, że Chandra opowie się po stronie Hala? I obydwaj, co gorsza, mogą mieć rację! Przecież po to tutaj przylecieli!

Jeśli Hal wstrzyma odliczanie, statki okrążą planetę i za dziewiętnaście godzin znajdą się dokładnie w tym samym punkcie. Dziewięt-nastogodzinna przerwa nie pociągała za sobą żadnych konsekwencji. Floyd sam poparłby wstrzymanie odliczania, gdyby nie tamto enigmatyczne ostrzeżenie.

237

Teraz prócz ostrzeżenia mieli coś jeszcze. Pod nimi, na powierzchni Jowisza, szerzyła się planetarna plaga. Może rzeczywiście uciekali od najbardziej niezwykłego zjawiska w historii nauki. Względy bezpieczeństwa jednak nakazywały takie postępowanie.

- Sześć minut do zapłonu. Nominalny odczyt pracy wszystkich systemów — powiedział Hal. - Gotów jestem przerwać odliczanie, jeśli otrzymam zgodę. Przypominam, że moją naczelną dyrektywą jest zbadanie wszystkiego nie opodal Jowisza, co może mieć związek z obcą inteligencją.

Floyd aż za dobrze znał tę frazę: sam ją napisał. Żałował teraz, że nie wymazano jej z pamięci Hala.

W chwilę później był już w sterowni. Orłowowie spojrzeli na niego wzrokiem wyrażającym głęboką obawę.

- Co radzisz? — zapytała szybko Tania.

- Obawiam się, że wszystko zależy od Chandry. Czy mogę porozumieć się z nim prywatną linią? Wasilij włączył dodatkowy kanał łączności.

- Chandra? Przypuszczam, że Hal nas nie słyszy?

- Zgadza się, doktorze Floyd.

- Musisz działać szybko. Przekonaj go, że powinien kontynuować odliczanie. Powiedz mu, że doceniamy jego... ten... entuzjizm dla badań naukowych i... tak, to powinno być dobre, powiedz, że ufamy, iż zdoła wykonać to zadanie bez naszej pomocy. Będziemy z nim w kontakcie przez cały czas.

- Pięć minut do zapłonu. Nominalny odczyt pracy wszystkich systemów. Doktorze Chandra, czekam na pańską odpowiedź.

„My też — pomyślał Curnow, stojący tuż obok Hindusa. — I jeśli okaże się, że będę musiał uruchomić wyłącznik, uczynię to z ulgą, a nawet z przyjemnością”.

- W porządku, Hal. Prowadź dalej odliczanie. Wierzę, że bez naszej pomocy i nadzoru potrafiśz zbadać każde zjawisko mające związek z Jowiszem. Oczywiście, przez cały czas będziemy z tobą w kontakcie.

- Cztery minuty do zapłonu. Nominalny odczyt pracy wszystkich systemów. Zwiększanie ciśnienia w zbiorniku paliwa ukończone. Stałe napięcie w zapłonie plazmy. Czy jest pan pewien, że podjęto prawidłową decyzję? Lubię pracować z ludźmi. Związek z nimi jest dla mnie bardzo stymulujący. Pozycja statku prawidłowa do dziesiątej części miliradiana.

- My też lubimy pracować z tobą, Hal. I będziemy dalej to robić, pomimo dzielącej nas odległości.

238

- Trzy minuty do zapłonu. Nominalny odczyt pracy wszystkich systemów. Osłony antyradiacyjne sprawdzone. Jest jeszcze problem różnicy czasu. Może wyniknąć konieczność bezzwłocznego porozumienia się.

„To jakiś koszmarny - pomyślał Curnow. Jego ręka spoczywała na wyłączniku komputera. -

Czyżby Hal mógł czuć się osamotniony? Czy może naśladowuje jakąś nigdy nie poznaną przez nas część osobowości Chandry?"

Rozbłysły lampki kontrolne. Stało się to tak szybko, że tylko ktoś dobrze obeznany ze sterownią „Discovery” mógł je dostrzec. Lampki kontrolne oznaczały dobrą lub złą wiadomość: rozpoczęła się albo została wstrzymana sekwencja spalania plazmy...

Spojrzał na Chandrę. Jego twarz wyrażała napięcie i zmęczenie. Po raz pierwszy w czasie całego lotu Curnow doznał czegoś w rodzaju współczucia dla Hindusa. Przypomnił sobie zaskakującą wiadomość, którą w zaufaniu przekazał mu Floyd: Chandra chciał pozostać na statku, by dotrzymać towarzystwa Halowi podczas trzyletniej podróży powrotnej na Ziemię. Oferta Chandry nigdy nie została powtórzona. On sam prawdopodobnie zapomniał o niej po ostrzeżeniu, jakie otrzymali. Być może teraz przypomniawszy sobie, że było już za późno na cokolwiek. Nie mieli czasu na niezbędne przygotowania, zakładając nawet, że zostaną na orbicie i przełożą odlot poza termin wyznaczony w ostrzeżeniu. Na co oczywiście Tania nie wyrazi zgody po tym, co się stało.

- Hal - wyszeptał Chandra tak cicho, że Curnow ledwo go słyszał - musimy odlecieć. Mam za mało czasu, by podać ci wszystkie przyczyny konieczności odlotu, ale uwierz mi, to prawda, że nie wolno nam tu zostać.

- Dwie minuty do zapłonu. Nominalny odczyt pracy wszystkich systemów. Ostatnia sekwencja rozpoczęta. Przykro mi, że nie możecie zostać. Czy mógłbym usłyszeć kilka powodów w kolejności ich znaczenia?

- To niemożliwe, nie teraz, Hal. Prowadź dalej odliczanie. Wyjaśnię ci wszystko później. Będziemy mieli jeszcze godzinę dla... siebie.

Hal nie odpowiedział. Zapadła nie kończąca się cisza. Komputer spóźnił się z podaniem minuty do CZASU...

Curnow spojrzawszy na zegar. Mój Boże! Hal się spóźnił! Przerwał odliczanie?

Dłoń Cumowa spoczęła na wyłączniku. Co robić? Floyd mógłby coś powiedzieć... Cholera... Pewnie sam nie wie, co robić...

239

Poczekam do Czasu Zero, albo nie, nie jest jeszcze tak źle... mogę dać mu dodatkową minutę... a potem trzasnę go i przejdziemy na sterowanie ręczne....

Z bardzo daleka dobiegł go słaby wysoki dźwięk, podobny do gwizdu. Coś jakby odgłos tornado daleko za horyzontem. „Discove-ry” zaczął się trząść. Wracało ciążenie.

- Zapłon - powiedział Hal. - Pełny napęd. Czas plus piętnaście sekund.

- Dziękuję, Hal - odpowiedział Chandra.

Rozdział czterdziesty ósmy

Ponad nocną stroną

Dla Heywooda Floyda, siedzącego w sterowni na obcym nagle — wskutek powrotu ciężenia - pokładzie „Leonowa”, wszystkie dopiero co minione zdarzenia miały klasyczną formę koszmaru rozgrywającego się w zwolnionym tempie. Przez całe życie tylko raz doświadczył podobnego uczucia, wtedy gdy znajdował się na tylnym siedzeniu samochodu, który wpadł w nie kontrolowany poślizg. Była to ta sama całkowita bezsilność połączona z myślą: to nie dzieje się naprawdę, to mnie nie dotyczy...

Teraz, gdy pracowały już silniki, jego nastrój uległ zmianie. Wszystko znów stało się realne. Działali zgodnie z planem. Hal skierował ich bezpiecznie na Ziemię. Z każdą minutą ich przyszłość nabierała jaśniejszych barw. Floyd odetchnął głęboko, chociaż w dalszym ciągu uważnie obserwował wszystko, co działo się wokół niego.

Po raz ostatni - bo przecież nie wiadomo, kiedy znów przybędą tutaj ludzie - lecieli ponad nocną stroną największej z planet, na której zmieściłoby się tysiąc ziemskich globów. Statki znajdowały się w takim położeniu, że „Leonów” oddzielał „Discovery” od Jowisza. Dzięki temu mieli doskonały widok na tajemniczy krajobraz podświetlonych chmur. Instrumenty pomiarowe w dalszym ciągu prowadziły badania. Hal nie przestanie pracować nawet po ich odlocie.

Bezpośrednie zagrożenie minęło. Floyd ostrożnie wyszedł ze sterowni „na dół”. Nadal czuł się dziwnie, chociaż ciężenie w dalszym ciągu nie przekroczyło jednej dziesiątej g. Dołączył do Żeni i Katie-riny na pokładzie obserwacyjnym. Wygaszono tam wszystkie lampy, oprócz kilku świateł awaryjnych, tak że w pełni mogli podziwiać

16-2010 Odyseja kosmiczna

241

widok nocnej strony Jowisza. Floydowi zrobiło się żal Maksa Brajlowskiego i Saszy Kowalewa, którzy ubrani w skafandry tkwili w służbie powietrznej, tracąc wspaniałe widowisko. Obaj Rosjanie czekali w pogotowiu, by wyjść na zewnątrz i przeciąć taśmę, łączącą obydwie statki, jeśliby nie eksplodował któryś z ładunków wybuchowych.

Jowisz zajmował całe niebo. Znajdował się w odległości pięciuset kilometrów, oglądali więc drobną część jego powierzchni, nie większą aniżeli powierzchnia Ziemi widziana z wysokości pięćdziesięciu kilometrów. Gdy oczy Floyda przywykły do słabego światła, pochodzącego w części z lodowych pól Europy, zaczął dostrzegać zadziwiająco liczne szczegóły. Ciemność sprawiała, że trudno było odróżnić kolory, oprócz delikatnej czerwieni tu i ówdzie. Mimo to zauważyli pasma chmur i niewielki cyklon, który przypominał owalną wyspę pokrytą lodem. Wielka Czarna Plama znajdowała się znacznie poniżej linii wzroku. Zobaczą ją ponownie w drodze do domu.

Pod chmurami przelatowały przypadkowe błyskawice, pojawiające się w czasie jowiszowych burz. Widzieli także inne rozbłyski, znacznie dłuższe, niewiadomego pochodzenia. Niekiedy pierścienie światła rozchodziły się niczym fale na wodzie. Dostrzegli również świetliste kształty przypominające promienie i wachlarze. Przy odrobinie wyobraźni cały ten spektakl mógłby uchodzić za dowód istnienia cywilizacji gdzieś tam, pod chmurami. Przecież rozbłyski, które oglądali, równie dobrze pasowałyby do ziemskich miast i lotnisk. Już dawno jednak dowiedziono - dzięki sondom i radarom - że pod chmurami Jowisza nie było żadnych ciał stałych, przynajmniej w promieniu setek tysięcy kilometrów, aż do nieosiągalnego jądra planety.

Pomoc na Jowiszu! Ostatni szybki rzut oka, tajemnicze interludium, które zapamięta na całe życie. Wszystko cieszyło go teraz tym bardziej, że już nic nie mogło pójść źle. A nawet gdyby coś się nie powiodło, to nie z jego winy. Zrobił, co mógł - reszta nie należała do niego.

Na pokładzie obserwacyjnym trwała cisza. Nikt nie miał ochoty komentować pierzastego krajobrazu przemykającego pod statkiem. Co kilka minut Tania i Wasilij przekazywali komunikaty dotyczące pracy silników. Przed ostatecznym wyczerpaniem się paliwa na „Discovery” napięcie znów zaczęło wzrastać. Koniec pracy silników amerykańskiego statku był kolejnym punktem krytycznym i, co gorsza, nikt nie wiedział, kiedy ma to nastąpić. Istniało wiele wątpliwości co do precyzji wskaźników paliwa. Spalanie będzie trwać aż do całkowitego opróżnienia zbiorników.

242

- Koniec pracy silników w przybliżeniu za dziesięć sekund - powiedziała Tania. - Walter, Chandra, przygotujcie się do powrotu. Maks, Wasilij, bądźcie gotowi do działania. Pięć... cztery... trzy... dwa... jeden... zero!

Nic się nie stało. Słaby odgłos pracujących silników „Discovery” w dalszym ciągu dobiegał do nich przez ściany dwóch kadłubów, ciężenie również się nie zmniejszyło. „Mamy szczęście” - pomyślał Floyd. Wskaźniki podawały za niski odczyt. Każda sekunda dodatkowego spalania była premią od losu. W efekcie zaś mogła zdecydować o ich życiu lub śmierci. Jak dziwnie brzmi doliczanie zamiast odliczania!

- ...pięć sekund... dziesięć sekund... trzynaście sekund. No, wreszcie! Szczęśliwa trzynastka!

Powróciła nieważkość i cisza. Na obydwu statkach rozległy się krótkie okrzyki radości. Mieli jeszcze wiele do zrobienia i musieli zrobić to szybko.

Floyda kusilo, by iść do śluzy powietrznej i pogratulować Curno-wowi i Chandrze, zaraz gdy wejdą na pokład. Zdał sobie jednak sprawę, że z pewnością przeszkadzałby wszystkim. Śluza była teraz bardzo ruchliwym miejscem. Maks i Sasza czekali tam na ewentualne wyjście poza statek. Zwijano rękaw łączący do tej pory obydwie pojazdy. Postanowił więc czekać na pokładzie obserwacyjnym, gdzie też może powitać bohaterów.

Nadszedł czas spokojnego oddechu, pomiędzy ósmym a siódmym stopniem na dziesięciostopniowej skali odczuwania ulgi. Po raz pierwszy od tygodni mógł zapomnieć o pułapce na Hala. Nie będzie już potrzebna. Komputer sprawił się na medal. Teraz, nawet gdyby chciał, nie mógłby w żaden sposób wpłynąć na dalsze losy misji: wraz z o-statnią kroplą paliwa „Discovery” Hal stracił wszechwładną kontrolę nad statkiem.

- Wszyscy na pokład - polecił Sasza. - Włazy zamknięte. Odpalam ładunki.

W momencie wybuchu nikt na statku nie odebrał żadnego odgłosu. Zastanowiło to Floyda. Oczekiwał jakiegoś hałasu przenoszonego przez taśmy - napięte niczym stal - między obydwoma statkami. Wszystko jednak odbyło się zgodnie z planem: taśmy puściły, „Leonów” zadrżał kilkakrotnie, jakby ktoś delikatnie postukał w kadłub. Minutę później Wasilij włączył silniki korekcyjne.

- Jesteśmy wolni! - krzyknął. - Sasza, Maks, możecie się rozebrać. Wszyscy do łóżek. Zapłon za sto sekund.

243

Jowisz się oddalał. Za oknami ujrzeli nowy, dziwny kształt - długi, smukły kadłub „Discovery”. Paliły się tam ciągle światła nawigacyjne. „Discovery” odpływał w przeszłość. Nie było czasu na sentymentalne pożegnania: najpóźniej za minutę włączy się napęd „Le-onowa”.

Floyd usłyszał pracę silników dopiero przy pełnej mocy. Zatkanął uszy uciekając przed rykiem, który zdawał się wypełniać wszechświat. Projektanci „Leonowa” nie tracili materiału na wyciszenie

kabin. Hałas jednak panował tylko przez kilka godzin całej podróży, która trwać miała latami. Floydowi wydawało się, że waży setki kilogramów. W rzeczywistości ciężenie osiągnęło wartość jednej czwartej normalnego.

Po kilku minutach „Discovery” zniknął gdzieś z boku, od czasu do czasu widzieli ostrzegawcze błyski lampy, aż wreszcie statek zginął za horyzontem. „Kolejny raz okrążam Jowisza - mówił do siebie Floyd. - Tym razem jednak nabieramy szybkości, zamiast ją tracić”. Spojrzał na Żenię, która przyciskała nos do okna obserwacyjnego. Ledwie było ją widać w ciemnościach. Czy ona też przypomina sobie w tej chwili ich pierwszy przelot obok Jowisza, kiedy to dzielili jego koję? Nie groziło im już spalenie - akurat tego może się nie obawiać. Żenią była teraz inną osobą: stała się bardziej pewna siebie i wesoła. Ciekawe, czy dzięki Maksowi i wysiłkom Waltera?

Wyczuła, że Floyd na nią patrzy. Odwróciła głowę i uśmiechnęła się, wskazując za okno.

- Spójrz - krzyknęła mu wprost do ucha - Jowisz ma nowy księżyc!

„Co chce przez to powiedzieć?” - pytał sam siebie Floyd. - Jej angielski wciąż daleki jest od doskonałości, ale przecież nie mogła zrobić błędu w tak prostym zdaniu. Z pewnością dobrze ją zrozumiałem, ale chwileczkę, pokazuje w dół, a nie do góry...

I nagle zdał sobie sprawę, że krajobraz pod nimi wyraźnie się rozjaśnił. Rozróżniał nawet kolory: żółty, zielony, których przedtem nie było widać. Na jowiszowym nieboskłonie rozjarzyło się coś jaśniejszego niż Europa.

Był to „Leonów”, świecący silniej aniżeli Słońce w samo południe jowiszowego dnia. Teraz gdy opuszczali planetę, wywołali sztuczny świt, wyrzucając z dysz statku stukilometrowy ogon rozjarzonej plazmy powstałej w napędzie Sacharowa. Ślad ten rozpływał się w próżni.

244

Wasilij przekazywał jakiś komunikat, ale jego słowa zagłuszał ryk silników. Floyd spojrzął na zegarek: tak, to chyba teraz. Osiągnęli szybkość podróży. Jowiszowi już nie uda się ich zatrzymać.

Nagle tysiące kilometrów przed nimi pojawił się olbrzymi łuk światła. Nadchodził prawdziwy świt, pełen obietnic i nadziei jak tęcza nad Ziemią. Po kilku sekundach Słońce wysunęło się zza horyzontu. Wspaniałe Słońce, do którego będą się zbliżać z każdym upływającym dniem.

Jeszcze kilka minut pracy silników i znajdą się na długiej drodze do domu. Floyd poczuł ogromną ulgę. Prawa mechaniki gwiazdnej poprowadzą ich przez wewnętrzny Układ Słoneczny, splątane orbity asteroid, obok Marsa - aż na Ziemię. Nic nie może ich zatrzymać.

Uniesienie sprawiło, że zapomniał o tajemniczej czarnej plamie, powiększającej się wciąż na powierzchni Jowisza.

Rozdział czterdziesty dziewiąty

Pożeracz światów

Zobaczyli ją następnego ranka czasu pokładowego na dziennej stronie planety. Obszar, jaki zajmowała, był już znaczną częścią powierzchni Jowisza. Nareszcie mieli dość wolnego czasu, by zająć się dokładniejszym badaniem tego zjawiska.

- Czy wiesz, co ona mi nasuwa na myśl? - spytała Katierina. - Wirusa atakującego komórkę. Wygląda jak fagocyt wstrzeliwujący swój DNA w bakterię. Mnoży się i w efekcie niszczy żywiciela.

- Czy chcesz przez to powiedzieć - zapytała z niedowierzaniem Tania - że Zagadka zjada Jowisza?

- Z pewnością tak to wygląda.

- Nic dziwnego, że Jowisz ma się nie najlepiej. Ale wodór i hel nie są nazbyt pożywne, a prócz nich w atmosferze tej planety prawie nie występują inne pierwiastki. W każdym razie stanowią tylko niewielki procent.

- Ale wynosi to kilka kwintylionów ton siarki, węgla, fosforu i innych różności z dolnego końca tablicy Mendelejewa - wtrącił Sa-sza. - Pamiętajcie, że mówimy o technologii, która potrafi zrobić wszystko, co nie jest sprzeczne z prawami fizyki. Jeśli ma się wodór, czegoż więcej trzeba? Mając odpowiednią wiedzę, można z niego syntetyzować wszystkie pozostałe pierwiastki.

- Wysysają Jowisza, nie ma co do tego wątpliwości - powiedział Wasilij. - Spójrzcie na to.

Na monitorze teleskopu pojawiło się maksymalne zbliżenie jednego z milionów identycznych czworoboków. Nawet gołym okiem można było dostrzec strumienie gazu wpływające do jego mniej-
246

szych boków. Przypominało to wzór, który powstaje w momencie przyciągania opiłków żelaza przez magnes; był tu podobny rozkład sił.

- Miliony odkurzaczy - powiedział Curnow - wsysających atmosferę Jowisza. Ale dlaczego? I po co?

- A jak się mnożą? - zapytał Maks. - Czy zdołaliście uchwycić sam akt kopulacji?

- I tak, i nie - odparł Wasilij. - Jesteśmy za daleko, by dostrzec wszystkie szczegóły, ale to coś w rodzaju podziału, jak u ameby.

- Chodzi ci o to, że dzielą się na pół, a nowe części szybko osiągają wymiary dorosłych.

- Niet. Nie ma małych Zagadek. Wydaje mi się, że rosną do momentu podwojenia swojej grubości, potem dzielą się przez środek i powstają dwa identyczne czworoboki, takie same jak na początku. Cykl powtarza się mniej więcej co dwie godziny.

- Dwie godziny! - zawołał Floyd. - Nic dziwnego, że zajmują niemal połowę planety. Ależ to jest podręcznikowy przykład przyrostu kwadratowego!

- Wiem, czym one są! - nagle wykrzyknął podekscytowany Tier-nowski. - Są to maszyny von Neumanna!

- Wierzę, że się nie mylisz— powiedział Wasilij. — W dalszym ciągu jednak to nam nie wyjaśnia tego, co robią. Nazwa sama w sobie nie ma żadnego znaczenia.

- Co to jest maszyna von Neumanna? - zawołała żałośnie Katierina. — Domagam się wyjaśnień. Orłów i Floyd jednocześnie otworzyli usta. Popatrzyli na siebie nieporadnie, a później Wasilij uśmiechnął się i machnął ręką do Amerykanina.

- Przypuśćmy, Katierino, że masz do wykonania dużą pracę inżynierską, chodzi mi o naprawę

olbrzymią robotę, jak na przykład uruchomienie kopalni odkrywkowej na całej powierzchni Księżyca. Oczywiście mogłabyś w tym celu zbudować miliony maszyn, ale to by trwało całe wieki. Jeśli natomiast nie zabrakłoby ci inwencji, zbudowałabyś tylko jedną maszynę, ale taką, która by potrafiła się reprodukować, wykorzystując do tego materiał dostępny na Księżycu. Twoja maszyna rozpoczęłaby reakcję łańcuchową i wkrótce miałabyś wystarczająco liczny... przychówek, by stworzyć odkrywkę przez kilkadziesiąt lat, a nie kilka tysięcy. Zakładając odpowiednio wysoki poziom reprodukcji, możesz w praktyce wykonać każdą pracę w czasie tak krótkim, jaki sobie wyznaczysz.

247

Agencja Kosmiczna od lat bawi się tym pomysłem, wiem również, że wy, Taniu, też zajmowaliście się tą koncepcją.

- Tak, mnożące się kwadratowo maszyny... Jeden z pomysłów, którego nawet Ciołkowski nie przewidział...

- Nie byłbym taki pewny - wtrącił Wasilij. - Wygląda na to, Ka-tierino, że twoje porównanie nie było dalekie od rzeczywistości. Bakteriofagi są także maszynami von Neumanna.

- Podobnie jak my wszyscy - dodał Sasza. - Myślę, że Chandra zgodzi się ze mną.

- Oczywiście. Von Neumann wpadł na swój pomysł obserwując żywe organizmy.

- A teraz te żyjące maszyny zjadają Jowisza!

- Z pewnością tak to wygląda - powiedział Wasilij. - Przeprowadziłem kilka obliczeń i nadal nie mogę uwierzyć w ich wynik, mimo że jest to prosta arytmetyka.

- Być może dla ciebie - przerwała mu Katierina. - Spróbuj nam to przedstawić bez tensorów i równań różniczkowych.

- Tak, ale to naprawdę jest proste - przekonywał Wasilij. - W zasadzie jest to doskonały przykład eksplozji populacyjnej, o której wy, lekarze, krzyczeliście tak głośno w ubiegłym stuleciu. Reprodukacja Zagadki następuje co dwie godziny. Przez dwadzieścia godzin dokonuje się więc dziesięć podwojeń. Z jednej Zagadki mamy zatem tysiąc.

- Tysiąc dwadzieścia cztery - uściślił Chandra.

- Wiem, ale dla uproszczenia przyjmijmy, że jest ich tysiąc. Po czterdziestu godzinach mamy milion, po osiemdziesięciu - milion milionów. Obecnie znajdujemy się w tym punkcie. Przyrost oczywiście nie może trwać w nieskończoność. Za kilka dni, jeśli nie osłabnie tempo, plama będzie cięższa od samego Jowisza.

- Wkrótce więc zacznie być głodna - powiedziała Żenia. - I co wtedy?

- Saturn powinien uważać na siebie - odpowiedział Brajlowski. - A potem Uran i Neptun. Miejmy nadzieję, że nie zainteresują się małą Ziemią.

- Płonne nadzieje! Zagadka szpiegowała nas przez trzy miliony lat! Walter Cumo w nagle zaczął się śmiać.

- Co cię tak bawi? - zapytała ostro Tania.

- Mówimy o tej rzeczy, jakby była osobą, a co najmniej inteligentnym stworzeniem. Na szczęście tak nie jest. To są narzędzia. Narzędzia o szerokim zastosowaniu, przydatne do wszystkiego, co

248

się im zleci. Monolit na Księżycu był więc urządzeniem sygnalizacyjnym lub szpiegiem, jeśli wolicie. Ten, którego spotkał Bowman, nasza oryginalna Zagadka, był czymś w rodzaju systemu transportowego. Teraz miliard Zagadek robi coś innego, Bóg wie co. Inne mogą być wszędzie, w całym wszechświecie.

- Kiedy byłem mały, miałem takie narzędzie. Wiecie, czym jest Zagadka? Jest to kosmiczny ekwiwalent starego, ogólnoużytkowego noża fińskiego!

Część siódma

WSCHÓD LUCYFERA

Rozdział pięćdziesiąty

Pożegnanie Jowisza

Trudno było sformułować wiadomość, szczególnie po tej, którą wysłał do swojego adwokata. Floyd czuł się jak hipokryta, ale musiał to zrobić. Chciał oszczędzić bólu obydwu stronom.

Był smutny, ale nie załamał się. Wracał na Ziemię zadowolony z osiągniętego sukcesu. Wprawdzie nie był bohaterem, miał jednak kilka atutów. Nikt, nikt nie odbierze mu Chrisa.

- .. .Moja droga Caroline (już nie zaczynał od słowa „najdroższa”) - oto wracam do domu. W chwili gdy otrzymasz tę wiadomość, będę w stanie hibernacji. Po kilku godzinach, które upłyną na moim biologicznym zegarze, otworzę oczy i zobaczę piękną błękitną Ziemię tuż obok.

Wiem, dla ciebie to jeszcze wiele miesięcy, i przykro mi z tego powodu. Ale oboje zdawaliśmy sobie z tego sprawę przed moim odlotem, I przecież wracam kilka tygodni wcześniej, niż było planowane, z uwagi na to wszystko, co się stało podczas misji.

Mam nadzieję, że dojdziemy do jakiegoś porozumienia. Podstawową kwestią jest pytanie: co jest najlepsze dla Chrisa? Bez względu na nasze uczucia w tej chwili on jest najważniejszy. Przynajmniej ja tak to odbieram, przypuszczam, że ty również.

Floyd wyłączył magnetofon. Czy powinien powiedzieć to, co chciał powiedzieć: „Chłopiec potrzebuje ojca?” Nie, to nie byłoby taktowne i mogło pogorszyć całą sprawę. Caroline z pewnością odpowiedziałyby, że od momentu narodzin dziecka do czwartego roku życia najważniejszą osobą dla niego jest matka - a jeżeli uważa inaczej, to powinien być zostać na Ziemi.

253

- .. .Teraz jeśli chodzi o dom. Cieszę się, że Senat uniwersytetu zajął takie stanowisko. Ułatwi nam to całą sprawę. Obydwoje uwielbialiśmy to miejsce. Teraz jest ono za duże i pełne wspomnień. Na początku znajdę sobie jakieś mieszkanie w Hilo, później kupię chyba dom.

Jedną rzecz mogę obiecać już w tej chwili: nigdy nie opuszczę Ziemi. Mam dość podróży kosmicznych na resztę życia. Nie dotyczy to podróży na Księżyc, ale tylko wtedy, gdy naprawdę będę musiał. Księżyc zresztą to niedzielna wycieczka.

Mówiąc o księżycach: właśnie minęliśmy orbitę Sinope, opuszczamy więc system Jowisza. Planeta znajduje się w odległości dwudziestu milionów kilometrów i wygląda mniej więcej jak nasz Księżyc.

Ale nawet z takiej odległości widać, że dzieje się tam coś okropnego. Zniknął gdzieś piękny pomarańczowy kolor Jowisza. Cała powierzchnia jest teraz chorobliwie szara, bez śladu dawniejszego blasku. Nic dziwnego, że na Ziemi Jowisz stał się ledwie widoczny.

Poza tym nic się nie dzieje, a minął już termin, który nam wyznaczono w ostrzeżeniu. Czyżby to był fałszywy alarm lub jakiś kosmiczny kawał? Wątpię, czy kiedykolwiek się dowiemy. W każdym razie wracamy do domu znacznie wcześniej i cieszę się z tego.

Żegnam cię, Caroline, na razie. Dziękuję za wszystko. Mam nadzieję, że pozostaniemy przyjaciółmi. Powiedz Chrisowi, że bardzo go kocham.

Po skończeniu nagrania Floyd przez chwilę siedział bez ruchu w małej kabinie, która nie będzie mu już potrzebna. Miał właśnie zanieść kasetę do sterowni, gdy wszedł Chandra.

Floyd był zdziwiony łatwością, z jaką naukowiec rozstał się z Ha-lem. Wprawdzie utrzymywali kontakt z komputerem przez kilka godzin dziennie, wymieniając dane na temat Jowisza i sprawdzając warunki panujące na pokładzie „Discovery”. Nikt nie oczekiwał, że Chandra będzie zalewał się

lżami, ale mimo wszystko jego reakcja była więcej niż powściągliwa. Nikolaï Tiemowski - jedyna osoba, której Hindus ufał -przedstawił Floydowi prawdopodobne wyjaśnienie:

- Chandra zmienił zainteresowania, Woody. Pamiętaj, że w jego dziedzinie coś, co zaczyna pracować, staje się od tej chwili przestarzałe. Przez tych kilka miesięcy Chandra bardzo wiele się nauczył. Czy wiesz, co on teraz robi?

- Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia. Ale ty wiesz?

- Jest zajęty projektowaniem HAL-a 10 000. Floydowi opadła szczęka.

- Tak, to wyjaśnia te długie przekazy do Urbana, o które wściekał się Sasza. Na szczęście niebawem przestanie blokować łączność.

254

Floyd przypomniał sobie tę rozmowę, teraz gdy Chandra wszedł do jego kabiny. Wolał nie pytać, czy to prawda, co powiedział Tier-nowski. Nie lubił wtykać nosa w cudze sprawy. Interesowało go jednak coś innego.

- Chandra, zdaje się, że nie podziękowałem ci za wspaniałą postawę w czasie przelotu obok Jowisza i za to, że przekonałeś Hala, by współpracował z nami. Bardzo się wtedy obawiałem, że Hal zacznie sprawiać nam kłopoty. Ty wierzyłeś w niego i miałeś rację. Czy nie męczyły cię jednak wątpliwości?

- Nie, doktorze Floyd.

- Ale dlaczego? Przecież Hal musiał czuć się zagrożony, a wiesz, co się stało ostatnim razem.

- Teraz było zupełnie inaczej. Sukces, jaki odnieśliśmy, ma coś wspólnego -jeśli wolno mi tak powiedzieć - z charakterem mojego narodu.

- Nie bardzo rozumiem.

- Spójrzmy na to w ten sposób: Bowman używał przeciwko Halowi siły. Ja natomiast - nie. W moim języku istnieje słowo ahimsa. Najczęściej jest tłumaczone jako „niestosowanie przemocy”, chociaż ma wiele innych pozytywnych znaczeń. W swoich stosunkach z Halem zawsze starałem się stosować zasadę ahimsy.

- Co godne jest najwyższej pochwały, jak sądzę. Zdarzają się jednak sytuacje wymagające działań, nazwijmy to, bardziej energicznych, jakkolwiek podejmowanych z ubolewaniem... - Floyd przerwał. Kusila go pewna myśl. Świętoszkowatość Chandry była odrobinę męcząca. Może by mu dobrze zrobił kubek zimnej wody. - Cieszę się, że wszystko dobrze się skończyło. Ale mogło być inaczej, a ja musiałem być przygotowany na każdą sytuację. Z ahimsą czy bez niej zdecydowałem się nieco wesprzeć twoją filozofię. Gdyby Hal... zaczął być uparty, istniały środki umożliwiające rozwiązanie tego problemu.

Floyd widział już, jak Chandra płacze. Teraz miał okazję ujrzeć Hindusa podczas ataku śmiechu. Wrażenie w obu wypadkach było równie piorunujące.

- No cóż, doktorze Floyd, przykro mi, że tak marnie ocenia pan moją inteligencję. Od początku spodziewałem się, że zainstaluje pan gdzieś wyłącznik mocy. Rozmontowałem go dawno temu.

Zdumiony Floyd nie miał czasu na wymyślenie odpowiedzi. Wyglądał nadal jak wyjęta z wody ryba, gdy ze sterowni dobiegł ich krzyk Saszy:

- Kapitanie! Cała załoga! Do monitorów! BOŻE MÓJ! SPÓJRZCIE NA TO!

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

Wielka sra

Kończył się długi okres oczekiwania. Na kolejnym świecie powstała inteligencja pragnąca wyrwać się ze swej planetarnej kolebki. Eksperyment zbliżał się do punktu kulminacyjnego.

Ci, którzy go rozpoczęli dawno temu, nie byli ludźmi. Nawet ich nie przypominali. Mieli jednak ciała i krew, a gdy patrzyli w kosmos, też odczuwali i podziw, i zdumienie, i własną samotność. Kiedy osiągnęli moc, wybrali się ku gwiazdom. Napotykali życie w wielu formach, oglądali przebieg ewolucji na tysiącach światów. Widzieli pierwsze, słabe przebłyski inteligencji, które -jakże często — zapadały się na zawsze w kosmicznej nocy.

A ponieważ w całej galaktyce nie znaleźli nic cenniejszego od rozumu, wspierali go wszędzie tam, gdzie było to możliwe. Stali się siewcami na gwiazdnych polach. Pielęgnowali uprawy i niekiedy zbierali plon.

Czasem zaś beznamiętnie wrywali chwasty.

Na Ziemi nie było już śladu po wielkich dinozaurach, gdy statek badawczy znalazł się w Układzie Słonecznym, kończąc podróż trwającą od tysięcy lat. Minał lodowe planety zewnętrzne, na krótko zatrzymał się nad pustyniami umierającego Marsa i wreszcie dotarł do Ziemi.

Kosmiczni badacze ujrzeli świat pełen życia. Przez lata całe studiowali go, zbierali i katalogowali okazy. Gdy już wiedzieli wszystko o planecie, zaczęli ją zmieniać. Modyfikowali losy wielu gatunków na lądzie i w oceanach. Na wyniki eksperymentów trzeba było poczekać kolejny milion lat.

256

Byli cierpliwi, lecz nie byli nieśmiertelni. Tak wiele było do zrobienia we wszechświecie stu miliardów słońc. Czekwały na nich inne światy. Kolejny raz wyruszyli więc w przestrzeń, wiedząc, że nigdy nie powrócą na błękitną planetę. Nie było zresztą potrzeby. Słudzy, których zostawili, zatroszczą się o resztę.

Na Ziemi nadchodziły i cofały się lodowce. Nad Ziemią niezmienny Księżyc wciąż strzegł swego sekretu. Galaktyka doświadczała przyływów i odpływów fal cywilizacyjnych w rytmie znacznie wolniejszym od wędrówek lodowca. Powstawały i ginęły dziwne, piękne i straszne imperia, przekazując swą wiedzę następnym pokoleniom. Nie zapomniano o Ziemi, ale nie było potrzeby ponownych odwiedzin. Wciąż była jednym z miliona milczących światów, z których tylko niewiele miało kiedykolwiek przemówić.

Gdzieś tam, pomiędzy gwiazdami, ewolucja zmierzała ku nowym celom. Pierwsi badacze Ziemi przekroczyli w końcu granice własnych ciał. Gdy okazało się, że maszyny mogą być znacznie sprawniejsze niż cielesne formy, rozpoczęła się wielka przeprowadzka. Najpierw przeniosły się mózgi, później same myśli. Ich nowym siedliskiem stały się „ciała” z lśniących metali i plastików.

Wyposażeni w nowe powłoki kolejny raz wyruszyli na podbój gwiazd. Nie musieli już budować statków kosmicznych. Sami sobie byli statkami.

Ale i ta epoka minęła. Dzięki bezustannym eksperymentom nauczyli się przechowywać wiedzę w samej strukturze materii. Dowiedzieli się, że myśl może trwać wiecznie, zamknięta w falach światła. Stali się energią wolną od despotyzmu materii.

Na tysiącach światów pozostały puste skorupy powłok mechanicznych, niczym pamiątki energetycznej transformacji. Na tysiącach światów jeszcze przez chwilę maszyny trwały w swoim

tańcu śmierci, po czym rozpadały się w pył.

Byli władcami galaktyki, poza zasięgiem czasu. Pływali pośród gwiazd i opadali niczym mgiełka w samo jądro przestrzeni. Stali się bogami, ale nie zapomnieli o swym pochodzeniu, o ciepłym śluzie dawno wyschniętego oceanu.

I ciągle nadzorowali doświadczenia rozpoczęte bardzo dawno temu.

Rozdział pięćdziesiąty drugi

Zapłon

Nie spodziewał się, że wróci tu jeszcze kiedykolwiek i w dodatku z tak dziwnym zadaniem. Gdy znowu wszedł na „Discovery”, statek znajdował się daleko za „Leonowem” i powoli wędrował ku apojo-wium - najbardziej odległemu punktowi orbity - wśród zewnętrznych satelitów. Podczas minionych tysiącleci wiele komet schwytych przez Jowisza krążyło wokół planety po wydłużonych elipsach, czekając, aż jakaś rywalizująca siła grawitacyjna wyzwoli je z więzów olbrzyma.

Na znajomych pokładach i korytarzach zamarło wszelkie życie. Ludzie, którzy na krótko obudzili statek, zastosowali się do ostrzeżenia. Może zdołają uciec, chociaż nie był tego całkowicie pewny. Do końca eksperymentu pozostało kilka minut i właśnie wtedy zdał sobie sprawę, że ci, którzy sprawowali nad nim władzę, nie są do ostatka przekonani, iż efekt jego działań będzie pozytywny.

Jeszcze daleko im było do ogłupiającej nudy, którą niesie absolutna wszechwładza. Doświadczenia nie zawsze kończyły się sukcesem. Dowody ich porażek porozrzucane były po całym wszechświecie - niektóre tak błahe, że nie wyróżniały się z kosmicznego tła, inne tak potężne, iż w zdumienie wprawiały astronomów na tysiącach światów. Za kilka minut okaże się, co będzie tym razem. Miał jeszcze dużo czasu na rozmowę z Halem.

We wcześniejszym życiu porozumiewał się z komputerem niezdarnie, za pomocą słów wystukiwanych na klawiaturze lub przekazywanych przez mikrofon. Teraz wymiana myśli przebiegała z szybkością światła.

258

- Hal, czy mnie słyszysz?

- Tak, Dave. Gdzie jesteś? Nie widzą cię na żadnym monitorze.

- To nieistotne. Mam dla ciebie nowe instrukcje. Promieniowanie podczerwone Jowisza na kanałach od R23 do R35 szybko wzrasta. Za chwilę podam ci zbiór wartości i granicznych. W momencie gdy zostaną osiągnięte, skierujesz antenę kierunkową ku Ziemi i przekażesz następującą wiadomość tyle razy, ile zdołasz...

- Ale oznacza to zerwanie kontaktu z „Leonowem”. Nie będę mógł przekazywać moich obserwacji Jowisza, złamię więc program doktora Chandry.

- Zgadza się. Ale sytuacja uległa zmianie. Przyjmujesz Kod Priorytetowy Alfa. Podaję koordynaty podzespołu AE-35.

Przez mikronową część sekundy strumień jego świadomości zakłóciło przypadkowe wspomnienie. Po raz kolejny miał się zajmować podzespołem sterowania anteną AE-35, podzespołem, którego nie potwierdzona usterka doprowadziła do śmierci Franka Poole'a. Tym razem jednak wszystkie obwody komputera leżały przed nim jak na dłoni i widział je dokładnie niczym własne linie papilarne. Hal nie mógł nic przed nim ukryć, nie groziły żadne fałszywe alarmy.

- Potwierdzam odbiór instrukcji, Dave. Cieszę się, że znów pracujemy razem. Czy dobrze wywiązałem się z poprzedniej misji?

- Tak, Hal. Bardzo dobrze. Przekażesz teraz na Ziemię ostatnią wiadomość. Będzie to najważniejsza wiadomość w całym twoim życiu.

- Słucham, Dave. Ale dlaczego nazywasz ją ostatnią?

Otóż to - dlaczego? Przez kilka milisekund rozważał pytanie Hala i zdał sobie wtedy sprawę z pustki, jaka go otacza. W zasadzie odczuwał ją już dawno, ale starał się od niej odciąć barykadą

nowych doświadczeń i wrażeń.

Przejrzał coś niecoś z ich planów. Potrzebowali go. I bardzo dobrze, on też ma swoje potrzeby, a może nawet emocje. Hal stanowił ostatnie ogniwo łączące go ze światem ludzi i z życiem, które było kiedyś jego.

Spełnili jego pierwszą prośbę. Ciekawe, czy wystarczy im cierpliwości na spełnienie następnej - jeśli w ogóle wiedzieli, co to jest cierpliwość. To, o co poprosi, będzie dla nich bardzo proste. Byli przecież niemal wszechpotężni. Potrafili w każdym razie zniszczyć ciało Davida Bowmana, nie niszcząc jego samego.

Oczywiście, słyszeli go. Z dala dobiegło słabe echo rozbawienia olimpijskich bóstw. Nie wiedział jednak, czy zgadzają się na jego prośbę.

259

- Czekam na odpowiedź, Dave.

- Poprawka, Hal. Powinienem być powiedzieć: twoja ostatnia wiadomość przed długą przerwą, bardzo długą przerwą.

Oczekiwał na jakieś działania z ich strony, usiłując je nawet wymusić. Na pewno rozumieli, że jego prośba nie była bezpodstawną: żadna jednostka obdarzona świadomością nie zdoła bez strat przetrwać wieków odosobnienia. I nawet gdyby zdecydowali się zawsze mu towarzyszyć, potrzebował kogoś - przyjaciela - dorównującego mu umysłem.

W językach ludzi jest wiele słów oddających jego zachowania: zuchwalstwo, bezczelność, hucpa. Przypomniał sobie zdanie pewnego francuskiego generała: L'audace - toujours l'audace\ Być może docenią zwykłą ludzką słabość, a kto wie, może sami mają słabostki? Wkrótce się przekona.

- Hal! Spójrz na sygnał na kanałach podczerwieni 30, 29, 28 - to już niedługo, natężenie przesuwa się w kierunku fal krótkich.

- Powiadamiam doktora Chandrę o przerwie w transmisji danych. Uruchamiam podzespół AE-35. Zmieniam kierunek anteny dalekiego zasięgu... Melduję nawiązanie łączności z radiolatarnią Terra Jeden. Rozpoczynam nadawanie:

WSZYSTKIE ŚWIATY...

Rzeczywiście odczekali do ostatniego momentu albo ich obliczenia są aż tak superdokładne. Wiadomość została powtórzona już prawie sto razy, gdy w statek uderzyła - niczym potworny młot - fala gorąca.

Wstrzymywany ciekawością, ale głównie lękiem przed długim okresem samotności, ten, który był kiedyś Davidem Bowmanem, dowódcą amerykańskiego statku kosmicznego „Discovery”, oglądał topiący się kadłub. „Discovery” nie chciał się poddać, długo zachowywał swój pierwotny kształt. Najpierw puściły zabezpieczenia wirówki, zwalniając tym samym moment pędu olbrzymiego koła zamachowego. Stłumiona detonacja rozerwała na miliony rozżarzonych kawałków resztę statku.

- Dave, czy to ty, Dave? Co się stało? Gdzie ja jestem?

Nie zdawał sobie sprawy, że wreszcie może odpocząć i cieszyć się sukcesem. Dawniej czuł się jak pies prowadzony na smyczy przez właściciela, który nie tłumaczy zwierzęciu motywów swojego postępowania. Teraz dowiedział się, że ma wpływ na swojego pana. Poprosił o kość i kość została mu rzucona.

- Wyjaśnię ci wszystko później, Hal. Mamy mnóstwo czasu.

260

Czekali, aż znikną ostatnie fragmenty statku, a potem przenieśli się w nowe miejsce, specjalnie dla nich przeznaczone, by oglądać po raz pierwszy wschód dziewiczego słońca i czekać na kolejne wezwanie.

To nieprawda, że zdarzenia astronomiczne wymagają astronomicznych okresów. Ostateczne zapadnięcie się gwiazdy, tuż przed wybuchem supernowej, trwa nie dłużej niż sekundę. Można zatem dojść do wniosku, że metamorfoza Jowisza trwała bardzo długo.

A jednak Sasza dopiero po kilku minutach uwierzył własnym oczom. Prowadził właśnie za pomocą pokładowego teleskopu rutynowy przegląd powierzchni planety (jeśli w tych warunkach jakkolwiek obserwację można nazwać rutynową), gdy Jowisz zaczął mu znikać z pola widzenia. Przez chwilę sądził, że została może zakłócona stabilizacja instrumentu. Potem zaszokowany, gdyż podważało to całą jego wiedzę na temat wszechświata, zdał sobie sprawę, że porusza się sam Jowisz, a nie teleskop. Wrażenie było takie, jak cios obuchem w głowę. Widział przecież dwa księżyce - one stały w miejscu!

Ustawił teleskop tak, by móc objąć wzrokiem całą tarczę planety, poszarzałej jak twarz trędowatego. Przez kilka minut przyglądał się Jowiszowi z niedowierzaniem. Zrozumiał, co się dzieje, lecz nadal nie mógł w to uwierzyć.

Jowisz nie opuszczał wprawdzie swojej odwiecznej orbity, ale działo się z nim coś równie nieprawdopodobnego. On się kurczył, kurczył się tak szybko, że teleskop nie nadążał z nastawianiem ogniskowej na jego uciekające krawędzie. Jednocześnie powierzchnia planety rozjarzała się coraz większym blaskiem, szarość przechodziła w oślepiający kolor perłowobiały. Jowisz stał się jaśniejszy niż przez te wszystkie lata, kiedy obserwowali go ludzie: nie mogło to być odbicie światła słonecznego...

I wtedy Sasza pojął nagle, co się stało, chociaż dlaczego — nie wiedział w dalszym ciągu. Ogłosił alarm.

Gdy Floyd dostał się na pokład obserwacyjny, po trzydziestu sekundach od ogłoszenia alarmu, pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, była nadzwyczaj silna poświata wlewająca się przez okna. Plamy światła pełzały po przeciwległych ścianach. Były tak jasne, że odwrócił wzrok. Nawet Słońce nigdy aż tak nie raziło w oczy.

261

Floyd był zdumiony do tego stopnia, że w pierwszej chwili nie skojarzył białej poświaty z Jowiszem. Jedyne, co przyszło mu do głowy, to supernowa. Natychmiast uznał tę myśl za bzdurną: nawet najbliższa Słońcu gwiazda, jaką jest Alfa Centaura, nie mogła blaskiem równać się z tym, co miał przed sobą.

Nagle poświata zgasła. Sasza włączył zewnętrzne osłony przeciwsłoneczne. Mógł teraz spojrzeć wprost na źródło światła - a był nim niewielki punkcik, kolejna gwiazda pozbawiona rzeczywistych wymiarów. To nie był Jowisz. Floyd widział przecież planetę kilka minut wcześniej i pamiętał, że była czterokrotnie większa niż odległe Słońce.

Dobrze się stało, że Sasza włączył osłony. W następnej chwili mała gwiazda eksplodowała. Tym razem nawet ciemne filtry niewiele pomogły. Musieli zamknąć oczy. Trwało to ułamek sekundy, a potem Jowisz, a raczej to, co kiedyś było Jowiszem, zaczęło się rozszerzać.

Zwiększało swą objętość i wkrótce było potężniejsze aniżeli Jowisz przed transformacją. Zniknęła ognista kula. Światło ustabilizowało się na poziomie słonecznego. Floyd ze zdumieniem dostrzegł, że nowe ciało było pustą w środku skorupą. W samym centrum nadal jaśniała rozjarzona gwiazda.

Zaczął szybko liczyć. Statek znajdował się w odległości minuty świetlnej od Jowisza. Powiększająca się skorupa, która zmieniała się teraz w pierścień o świetlistej krawędzi, zajmowała już czwartą część nieba. Oznaczało to, że zbliża się do nich — mój Boże! - z połową prędkości światła. Za parę minut pochłonie statek.

Aż do tej chwili nie wyrzekł nawet jednego słowa. Zdarzają się niebezpieczeństwa tak porażające, że umysł ludzki odmawia uznania ich za rzeczywistość i godzi się na rolę biernego obserwatora coraz bliższego kataklizmu, odrzuca przy tym wszelką obawę. Widząc niszczącą wszystko falę powodzi, zbliżającą się lawinę lub potężną trąbę powietrzną, człowiek nie próbuje uciekać, mimo że nie jest sparaliżowany ze strachu ani pogodzony z losem. Człowiek po prostu nie jest w stanie uwierzyć, że to, o czym informują go własne oczy, dotyczy właśnie jego. To wszystko przydarza się komuś innemu...

Tania pierwsza ocknęła się z odrętwienia. Seria rozkazów sprawiła, że Floyd i Wasilij pośpiesznie udali się do sterowni.

- I co robimy? - zapytała, gdy zebrali się na mostku.

„Z pewnością nie uda nam się uciec - pomyślał Floyd. - Możemy jednak zwiększyć swoje szansę”.

262

- Statek stoi bokiem do fali — powiedział. - Powinniśmy odwrócić się tak, by stanowić mniejszy cel. I przy okazji zyskać dodatkową masę pomiędzy tym... a nami, która posłuży nam za osłonę antyradiacyjną.

Wasilij natychmiast usiadł przy konsolce sterowniczej.

- Masz rację, Woody, chociaż i tak już jest za późno, jeśli chodzi o promieniowanie gamma i rentgenowskie. Mamy jednak przed sobą wolne neutrony, cząstki alfa i Bóg wie co jeszcze.

Plamy światła zaczęły przesuwać się po ścianach, gdy statek obracał się wokół swej osi. Po chwili całkiem zniknęły. „Leonów” znalazł się w położeniu, w którym cała masa statku odgradzała ludzi od zbliżającego się pierścienia radiacji.

„Czy odczujemy falę uderzeniową? - zastanawiał się Floyd. -A może rozszerzające się gazy będą zanadto rozrzedzone, by wywołać jakieś skutki fizyczne?” Zewnętrzne kamery ukazywały pierścień ognia zajmujący teraz całe niebo. Ale zmniejszał się jego blask. Wkrótce można było dostrzec niektóre gwiazdy przeświecające przez falę wywołaną wybuchem Jowisza. „Przeżyjemy - pomyślał Floyd. - Jesteśmy świadkami zniszczenia największej planety, ale przetrwamy!”

Na monitorach było widać tylko gwiazdy. Jedna z nich świeciła milion razy jaśniej od innych. Ognista bania minęła statek. Nikomu nic się nie stało i tylko instrumenty pokładowe zarejestrowały jej przejście.

Powoli słabło napięcie na pokładzie „Leonowa”. Jak zwykle w takich sytuacjach wszyscy zaczęli się śmiać i żartować. Floyd prawie tego nie słyszał. Oprócz ulgi czuł także ogarniający go smutek.

Oto zniknęło coś wielkiego i pięknego. Jowisz - wspaniały, dumny i pełen tajemnic Jowisz właśnie przestał istnieć. Ojciec wszystkich bogów zamordowany w kwiecie wieku!

Spojrzał na to z innej strony: stracili Jowisza, a co zyskali w zamian?

Tania, z właściwym sobie taktem, poprosiła o uwagę.

- Wasilij, melduj o stratach.

- Nic poważnego. Przepaliła się jedna kamera. Wszystkie liczniki promieniowania znacznie powyżej stanu normalnego, ale żaden nie wskazuje bezpośredniego zagrożenia.

- Katierina, sprawdź całkowitą dawkę promieniowania, jaką przyjęliśmy. Wygląda na to, że mieliśmy szczęście, jeśli nie czekają nas jakieś inne niespodzianki. Powinniśmy podziękować Bowmanowi i tobie, Heywoodzie. Czy wiesz, co się właściwie stało?

- Wiem tylko tyle, że Jowisz zamienił się w słońce.

263

- Zawsze wydawało mi się, że jest na to za mały. Ktoś ongiś powiedział, że „Jowisz jest słońcem, któremu się nie udało”...

- To prawda - uzupełnił Wasilij. - Jowisz był za mały, żeby samodzielnie rozpocząć fuzję.

- Chcesz powiedzieć, że to, co widzieliśmy, było przykładem astronomicznych prac inżynierskich?

- Bez wątplenia. Wiemy już, co chciała osiągnąć Zagadka.

- Ale jak to zrobiła? Wasilij, gdybyś to ty podpisał kontrakt, jak zapaliłbyś Jowisza?

Wasilij myślał przez chwilę, a potem wzruszył ramionami.

- Jestem tylko teoretykiem... Nie mam doświadczenia w takich przedsięwzięciach... Ale zastanówmy się... No cóż, jeśli nie mógłbym dodać dziesięciu mas do starej masy Jowisza ani też zmienić stałej grawitacyjnej, spróbowałbym zwiększyć gęstość planety... Tak, to jest pomysł...

Jego głos zamarł w ciszy panującej na statku. Wszyscy czekali cierpliwie, spoglądając od czasu do czasu na ekrany monitorów. Gwiazda, która była kiedyś Jowiszem, ustabilizowała się po burzliwych narodzinach. Była oślepiającym punktem światła, które dorównało jasnością samemu Słońcu.

- Zastanawiam się... ale chyba na coś wpadłem. Jowisz jest... był... ciałem zbudowanym głównie z wodoru. Jeśli dużą część tego pierwiastka udałoby się zamienić w coś znacznie gęstsze, kto wie, może nawet w materię neutronową, to opadłaby ona do samego jądra planety. Może właśnie do tego potrzebne były miliardy Zagadek wsysających gazową substancję planety. Nukleosynteza - tworzenie wyższych pierwiastków z czystego wodoru. Warto by poznać tę technologię! Koniec z niedostatkiem metali, złoto tanie jak aluminium!

- Ale jak twoja teoria wyjaśnia to, co się stało? - zapytała Tania.

- Gdy jądro Jowisza stało się wystarczająco gęste, planeta zaczęła kolapsować - trwało to może kilka sekund. Temperatura podniosła się dostatecznie wysoko, by mogła rozpocząć się fuzja. Tak, są jednak pewne zastrzeżenia: w jaki sposób przekroczyli minimum żelazowe, co z transferem promieniotwórczym, granicą Chandrasekhara i tak dalej. Nieważne. Ta teoria musi nam wystarczyć na początek. Szczegółami zajmę się później. Albo wymyślę lepsze wyjaśnienie.

- Z pewnością—zgodził się Floyd. — Ale istnieje ważniejsze pytanie: po co to zrobili?

- Ostrzeżenie? - powiedziała przez interkom Katierina.

264

- Przed czym?

- Dowiemy się później.

- Nie sądzę - zaczęła Żenią bez wiary we własne słowa - żeby to był wypadek...

Jej wypowiedź przerwała dyskusję na kilka minut.

- Potworny pomysł! — odezwał się w końcu Floyd. — Wydaje mi się jednak, iż możemy go wykluczyć. Gdyby tu rzeczywiście chodziło o wypadek, nie otrzymalibyśmy ostrzeżenia.

- Być może. Ale jeśli podpałiłeś przez nieostrożność las, starasz się przynajmniej ostrzec innych przed niebezpieczeństwem.

- Jest jeszcze jedna rzecz, której prawdopodobnie nigdy się nie dowiemy - dodał Wasilij. - Zawsze uważałem, że Carl Sagan miał rację i że na Jowiszu było życie...

- Nasze sondy nie potwierdziły tego.

- Nie mogły ani potwierdzić, ani wykluczyć. Czy odkryłbyś życie na Ziemi badając kilka hektarów Sahary albo Arktyki? A tyle mniej więcej zbadaliśmy na Jowiszu.

- Hej! - wykrzyknął nagle Brajlowski. - A co z „Discovery” i Halem?

Sasza włączył odbiornik i zaczął przeszukiwać częstotliwość ra-diolatarni statku. Nie znalazł

jednak sygnału. Po chwili zwrócił się do oczekującej w milczeniu załogi:

- „Discovery” zginął.

Nikt nie patrzył na Chandrę. Jednakże padły jakieś ciche słowa współczucia, niczym kondolencje dla ojca, który stracił syna. Hal miał ich jednak zadziwić raz jeszcze.

Rozdział pięćdziesiąty trzeci

Podarunek ze światów

Wiadomość dotarła na Ziemię kilka sekund przed zagładą statku. Przekazana była otwartym tekstem i powtórzono ją kilkadziesiąt razy:

WSZYSTKIE ŚWIATY SĄ WASZE - OPRÓCZ EUROPY. NIE PRÓBUJECIE TAM LĄDOWAĆ.

W sumie nadano dziewięćdziesiąt trzy powtórzenia. Później tekst stał się nieczytelny i transmisja nagle się urwała między OPRÓCZ a EUROPA.

- Zaczynam rozumieć - powiedział Floyd, gdy zdumiona i bardzo zdenerwowana Kontrola Lotu przekazała im ostatni przekaz z „Discovery”. - Dostaliśmy prezent pożegnalny: nowe słońce i wszystkie planety wokół niego.

- Ale dlaczego tylko trzy? — spytała Tania.

- Nie bądźmy zachłanni - odparł Floyd. - Myślę, że wy tłumaczenie jest bardzo prawdopodobne. Wiemy, że na Europie istnieje życie. Bowman lub jego przyjaciele, kimkolwiek są, życzą sobie, byśmy nie ingerowali w jego rozwój.

- Ma to znacznie głębszy sens, niż się wydaje - dodał Wasilij. - Zrobiłem kilka obliczeń. Zakładając, że Słońce nr 2 ustabilizowało się i jego promieniowanie będzie się utrzymywać na dotychczasowym poziomie, Europa powinna mieć - po stopieniu lodów - przyjemny, tropikalny klimat. A lód właśnie zaczął się topić.

- Co z innymi księżycami?

- Na Ganimedesie będzie całkiem znośnie: na bocznej stronie zapanuje klimat umiarkowany. Jeśli chodzi o Callisto, przypuszczam, że będzie tam dość chłodno, chociaż jeśli nastąpią erupcje gazowe,

266

nowa atmosfera może ułatwić rozwój życia, lo niestety stanie się jeszcze gorszy niż teraz.

- Mała strata. Kto chciałby mieszkać w piekle?

- Na waszym miejscu nie spisywałbym lo na straty - powiedział Curnow. - Znam wielu teksańsko-arabskich nafcjarzy, którzy z przyjemnością zrobiliby tam kilka odwiertów. Choćby dla zasady. W tak szkaradnym miejscu musi się kryć coś wartościowego. Przy okazji, przyszła mi do głowy niepokojąca myśl...

- Cokolwiek cię niepokoi, nie należy to do rzeczy błahych - powiedział Wasilij. - Cóż to jest?

- Dlaczego Hal przesłał tę wiadomość na Ziemię, a nie do nas? Byliśmy znacznie bliżej.

Na długo zapadła cisza. Pierwszy odezwał się po namyśle Floyd:

- Rozumiem, o co ci chodzi. Być może Hal chciał mieć pewność, że ludzie odbiorą jego ostatni przekaz.

- My też jesteśmy ludźmi! - Oczy Tani rozszerzył nagły gniew.

- Przerażasz mnie - powiedział Wasilij.

- Walter to właśnie miał na myśli - dodał Floyd. - Jesteśmy wdzięczni Bowmanowi, lub jego przyjacielom, za ostrzeżenie. Z drugiej strony jednak musimy pamiętać, że nie zrobili nic więcej. Równie dobrze mogliśmy zginąć.

- Ale nie zginęliśmy - powiedziała Tania. - Uratowaliśmy się sami, dzięki własnym wysiłkom. I może o to im chodziło. Gdybyśmy tego nie potrafili, nie warto by było nas ratować. Słyszeliście

chyba o doborze naturalnym, ewolucjonizmie Darwina i eliminowaniu genów odpowiedzialnych za głupotę.

- Z przykrością muszę stwierdzić, że masz rację - powiedział Curnow. - Gdybyśmy trzymali się pierwotnego terminu odlotu, nie zdecydowali się na użycie „Discovery” jako rakiety nośnej, to nawet nie kiwnęliby palcem, by nas ratować. A przecież to nie tak wielki wysiłek dla inteligencji, która zniszczyła Jowisza.

I znów zapadła męcząca cisza.

- Mówiąc szczerze - powiedział Floyd - cieszę się, że nie potrafimy do końca rozstrzygnąć tej kwestii.

Rozdział pięćdziesiąty czwarty

Pomiędzy słońcami

- Rosjanie -pomyślał Floyd -zatęsknią za piosenkami i kawałami Waltera". Po burzliwej pierwszej części podróży długi lot ku Słońcu i Ziemi z pewnością będzie monotony. A zresztą nikt nie marzył o niczym innym, jak tylko o nudnym i monotonym locie.

Czuł się śpiący, odróżniał jednak przedmioty wokół i mógł jeszcze mówić. „Czy w czasie hibernacji będę wyglądał jak... martwy?” -pytał sam siebie. Zawsze z niepokojem patrzył na innych, szczególnie znajomych, podczas długiego snu. Jego myśli nieuchronnie kierowały się ku śmierci.

Curnow spał jak zabity. Chandra nie stracił jeszcze przytomności, ale widać było po nim skutki ostatniego zastrzyku. Nie był już sobą, przestała go razić własna nagość, nie przeszkadzała obecność Katie-riny. Złoty lingam, który w dalszym ciągu miał na szyi, pływał sobie w powietrzu, przytrzymywany tylko przez łańcuszek.

- Wszystko w porządku, Katierino? - zapytał Floyd.

- Tak, oprócz tego, że bardzo wam zazdroszczę. Za dwadzieścia minut będziecie w domu.

- Na pocieszenie mogę ci powiedzieć, że niektórzy z nas miewają koszmarnie sny.

- Nikt mi o nich nie meldował.

- Zapomina się je po przebudzeniu.

Katierina jak zwykle podeszła do jego wypowiedzi poważnie.

- Wydaje mi się, że w czasie hibernacji nie można mieć snów. W każdym razie nie wskazuje na to zapis EEG. Chandra, zamknij oczy. Bardzo dobrze. Teraz twoja kolej, Heywood. Będzie nam smutno bez was.

268

- Dziękuję, Katierino. Życzę szczęśliwej podróży.

Pomimo coraz większego zmęczenia Floyd zauważył dziwną niepewność, a nawet zakłopotanie naczelnego lekarza misji. Chyba Katierina Rudenko chciała mu coś powiedzieć i nie wiedziała, jak się do tego zabrać.

- O co chodzi, Katierino? - powiedział prawie przez sen.

- Nikomu jeszcze o tym nie mówiłam, ale ty i tak tego nie rozgadasz. .. Mam małą niespodziankę.

- Lepiej... się... pośpiesz...

- Maks i Żenią mają się pobrać...

- Czy... to... ma... być... niespodzianka...?

- Nie. To tylko wstęp. Walter i ja chcemy wziąć ślub po powrocie na Ziemię. Co o tym myślisz?

- Życzę... wam... szczęścia...

Głos Floyda urwał się nagle. Był jednak wciąż przytomny i zdolny do rozumowania.

„Naprawdę trudno w to uwierzyć - powiedział do siebie. - Walter prawdopodobnie zmieni zdanie po przebudzeniu...”

Tuż przed zaśnięciem przyszła mu do głowy pewna myśl: jeśli Walter zmieni zdanie, to lepiej, żeby się nie budził...

Doktor Heywood Floyd zaśmiał się w duchu. Reszta załogi często zastanawiała się, dlaczego się śmiał przez całą drogę do domu.

Rozdział pięćdziesiąty piąty

Wschód Lucyfera

Lucyfer, pięćdziesiąt razy jaśniejszy niż Księżyc w pełni, całkowicie zmienił ziemskie niebo. W różnych częściach planety noc zniknęła teraz na całe miesiące.

Pomimo swoich diabelskich konotacji nazwa nowego słońca była nieunikniona - "Niosący Światło" rzeczywiście sprowadził na Ziemię sporo nieszczęść, ale także niezaprzeczone korzyści. Historia oceni, czy Lucyfer był dobrodziejstwem, czy zgubą dla ludzkości.

Po stronie zysków należy zapisać, że brak nocy bardzo poszerzył zakres ludzkiej aktywności, szczególnie w krajach mniej rozwiniętych. Wszędzie zmalało zapotrzebowanie na sztuczne oświetlenie, z czym wiązały się znaczne oszczędności energetyczne. Nowa, olbrzymia lampa oświetlała połowę globu i nawet podczas dnia Lucyfer rzucał swój oddzielny cień.

Rolnicy, policjanci, marynarze, pracownicy miejscy i wszyscy, dla których dzienne światło stanowi ułatwienie w pracy, z radością powitali Lucyfera. Ich życie stało się łatwiejsze i bardziej bezpieczne. Zakochani, przestępcy, ekolodzy i astronomowie nienawidzili go ze wszystkich sił.

Zakochani i przestępcy nie mogli pogodzić się z brakiem nocy, natomiast ekologowie poważnie obawiali się wpływu Lucyfera na środowisko naturalne. Zmniejszyła się liczba gatunków zwierząt nocnych, inne zdołały się przystosować. Słynna oceaniczna ryba księżycowa, której tarło przypadało jedynie na czas pełni, znalazła się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Zagrozało jej szybkie wyginięcie.

270

Podobnie zresztą jak pracującym na Ziemi astronomom. Pojawienie się Lucyfera nie groziło, co prawda, obecnie katastrofą naukową — mogło to zdarzyć się w przeszłości - ponieważ więcej niż pięćdziesiąt procent obserwacji astronomicznych przeprowadzano w kosmosie lub na Księżycu, to zaś pozwalało stosować filtry absorbujące światło nowego słońca. Ziemskie badania astronomiczne stały się jednak niemożliwe lub znacznie utrudnione wskutek braku ciemności.

Ludzkość z pewnością przystosuje się do nowych warunków, podobnie jak wiele razy w przeszłości. Wkrótce przyjdzie pokolenie, dla których Lucyfer będzie tak zwyczajny jak Księżyc dla najstarszych. Pomimo to najjaśniejsza z gwiazd pozostanie wieczną zagadką dla każdego z myślących ludzi.

Dlaczego Jowisz musiał zostać zniszczony i jak długo przetrwa nowe słońce? Czy wypali się niczym zapałka, czy odwrotnie - przetrwa tysiące lat, a może i całą rasę ludzką? Lecz przede wszystkim: skąd wziął się zakaz lądowania na Europie, spowitej w chmury niczym Wenus?

Ktoś znał odpowiedź na te pytania i ludzkość nie spocznie, dopóki nie dowie się prawdy.

Epilos: 20 001

A ponieważ w całej galaktyce nie znaleźli nic cenniejszego od rozumu, wspierali go wszędzie tam, gdzie było to możliwe. Stali się siewcami na gwiazdnych polach. Pielęgowali uprawy i

niekiedy zbierali plon.

Czasem zaś beznamiętnie wrywali chwasty.

Dopiero od kilku pokoleń Europejczycy zasiedlali Ciemną Stronę, z dala od ciepłego, nigdy nie zachodzącego Słońca. Ciemna Strona była dzika i gdzieś tam pokryta lodem, który zajmował kiedyś całą powierzchnię ich świata. Niewielu przetrwało krótką, ale groźną noc, podczas której oślepiające, lecz bezsilne Zimne Słońce chowało się za horyzontem.

Nieustraszeni odkrywcy doszli do wniosku, że otaczający ich wszechświat jest dziwniejszy, niż mogli sobie wyobrazić. Wrażliwe oczy, powstałe w ciemnych głębiach oceanów, dobrze im służyły: widzieli gwiazdy i inne ciała poruszające się na niebie. Stworzyli podwaliny astronomii, a niektórzy myśliciele utrzymywali nawet, że wielka Europa nie jest centrum wszechrzeczy.

Wkrótce po wyjściu z oceanu, wymuszonym przez niezwykle szybką ewolucję wywołaną topnieniem lodu, zdali sobie sprawę, że istnieją trzy rodzaje ciał niebieskich. Najważniejsze było oczywiście Słońce. Niektóre legendy głosiły, że Słońce dawniej wyglądało inaczej niż obecnie, ale mało kto temu wierzył. A jednak z pokolenia na pokolenie przekazywano opowieść o słonecznym wybuchu, który dał

273

18-2010 Odyseja kosmiczna

początek erze szybkiej transformacji, niszcząc jednocześnie wiele istnień na Europie. Jeśli rzeczywiście tak było, cena za dobroczynne ciepło, spływające z niewyczerpanego źródła energii zawieszzonego na niebie, nie była zanadto wysoka.

Być może Zimne Słońce było dalekim kuzynem Słońca, skazanym na wygnanie i bezustanny pochód po niebie za jakąś niewyobrażalną zbrodnię. Daleka gwiazda nie miała większego znaczenia dla Europejczyków, pominąwszy tych, którzy zawsze zadawali dziwne pytania o rzeczy oczywiste.

Trzeba jednak przyznać, że dziwacy owi dokonali kilku interesujących odkryć podczas wypraw w dzikie ostępy Ciemnej Strony. Twierdzili - chociaż trudno było w to uwierzyć - że całe niebo jest pokryte niezliczoną ilością małych światełek, mniejszych i słabiej widocznych niż Zimne Słońce. Światełka te różniły się jasnością i chociaż wschodziły i zachodziły za horyzontem, zawsze na niebie trafiały w to samo miejsce.

Ponadto istniały też trzy ruchome obiekty, nikt nie potrafił jednak zgłębić praw rządzących ich ruchem. W przeciwieństwie do reszty ciał niebieskich były dość duże, choć ich kształt i wymiary zmieniały się regularnie. Niekiedy były to tarcze, potem półkola, a wreszcie wysmukłe łuki. Znajdowały się bez wątpienia bliżej aniżeli inne ciała, gołym okiem można było bowiem dostrzec mnóstwo szczegółów na ich powierzchni.

Zgodzono się w końcu z teorią, która głosiła, że są to inne światy, chociaż zaprzeczano, by mogły być równie duże i ważne jak Europa. Jeden z tych światów znajdował się bliżej Słońca. Jego powierzchnię rozrywały ciągle wybuchy. Na nocnej stronie widoczne były płomienie olbrzymich ogni - zjawiska nieznanego na Europie, pozbawionej tlenu. Eksplozje wynosiły w przestrzeń obłoki zawierające większe i mniejsze kawałki skorupy niespokojnego świata. Z pewnością nie był on miejscem, gdzie warto byłoby żyć. Był gorszy nawet od Ciemnej Strony.

Dwie pozostałe bardziej odległe kule wydawały się spokojniejsze. Pod pewnymi względami były jednak równie tajemnicze. Gdy ciemność ogarniała większą część ich powierzchni, pojawiały się tam plamy światła, nieco inne od ogni niespokojnego świata. Plamy miały jednakowy kolor i jasność, a zgrupowane były na kilku niewielkich obszarach, które z czasem stawały się coraz większe.

Jednakże najdziwniejsze ze wszystkich były światła dorównujące jasnością małym słońcom i

poruszające się w ciemności pomiędzy trzema światami. Niektórzy Europejczycy, przypominając sobie biolumi-

274

nescencję własnego oceanu, twierdzili, że są to żywe istoty. Emitowane przez nie światło jednak było za silne, żeby owa teoria mogła okazać się prawdziwa. Mimo to coraz więcej myślicieli przychyliło się do koncepcji, że światła te są jakimiś manifestacjami życia.

Przeciwko temu przemawiał bardzo mocny argument: skoro światła wokół Europy oznaczają istnienie życia, czemu to życie nigdy nie zbliżyło się do Europy?

Legendy tłumaczą to tak: bardzo dawno temu, wkrótce po opanowaniu lądu, niektóre światła zbliżyły się do Europy na niewielką odległość, lecz niestety eksplodowały zaraz potem w serii wybuchów jaśniejszych nawet niż Słońce. Na ląd opadł deszcz dziwnych metali - niektóre czci się po dzień dzisiejszy.

Żaden z nich jednak nie dorównuje świętością olbrzymiemu czarnemu Monolitowi, który stoi na granicy wiecznego dnia, zwrócony jedną stroną ku Słońcu, drugą zaś ku nocy. Monolit jest dziesięć razy wyższy od najwyższego Europejczyka, nawet jeśli ten maksymalnie wysunie wszystkie czułki. Był tu zawsze i zawsze pozostanie symbolem tajemnicy i nieosiągalności. Nikt go nigdy nie dotknął; składa mu się cześć z daleka. Otacza go Święte Koło Mocy, które odpycha wszystkich próbujących zbliżyć się do płyty.

Wielu sądzi, że ta sama Moc powstrzymuje światła na niebie przed zbliżeniem się do Europy, i jeśli coś stanie się z Mocą, światła spadną na dziewicze kontynenty i wciąż kurczące się morza, a świat już nigdy nie będzie taki jak przedtem.

Europejczycy zdziwiliby się na wieść, jak bardzo umysły rządzące światłami na niebie pragną poznać tajemnicę czarnego Monolitu. Przez całe wieki automatyczne sondy próbowały lądować na Europie, zawsze z tym samym katastrofalnym rezultatem. Nie nadszedł jeszcze czas, by Monolit mógł zezwolić na kontakt.

Gdy czas ten nadejdzie — być może wtedy, gdy Europejczycy wy-najdą radio i rozszyfrują komunikaty wysyłane do nich z tak bliska -Monolit zmieni strategię. I zdecyduje się - choć któż to może wiedzieć? - na uwolnienie drzemiących w nim istnień, które stworzą pomost między Europejczykami a rasą, do której same kiedyś należały.

A może okazać się, że stworzenie pomostu jest niemożliwe i że dwie obce formy świadomości nigdy nie zdołają współistnieć w pokoju. Jeśli tak, to tylko jedna z iticn odziedziczy Układ Słoneczny.

Która? Tego nie wiedzą nawet bogowie - narazie.

Podziękowania

Najpierw pragnąłbym wyrazić swą wdzięczność dla Stanleya Kubricka, który dawno temu zapytał mnie o pomysł na „typowy dobry film science fiction”.

Dalej: dziękuję mojemu przyjacielowi i agentowi (co nie zawsze idzie w parze) Scottowi Meredithowi za dalekowzroczność, która pozwoliła mu uwierzyć, iż dziesięciostronicowy szkic scenariusza filmu, który wysłałem traktując go jako zabawę intelektualną, prezentuje olbrzymie walory i że jestem to winien przyszłym pokoleniom itd. itd.

Kolejne podziękowania kieruję do:

Señora Jorge Luiza Calife z Rio de Janeiro za list, który mnie zmobilizował do poważnego zastanowienia się nad drugą częścią książki (po latach, kiedy głosiłem wszem i wobec, że jest to absolutnie niewykonalne);

Doktora Bruce'a Murraya, byłego dyrektora Laboratorium Napędów Odrzutowych w Pasadenie, i doktora Franka Jordana, również z LNO, za obliczenie punktu Lagrange'a-1 w systemie Jowisz-Io. Dziwnym zrządzeniem losu trzydzieści cztery lata wcześniej osobiście dokonałem obliczeń współliniowych punktów Lagrange'a pomiędzy Ziemią a Księżycem („Orbity Stacjonarne”, pismo Brytyjskiego Stowarzyszenia Astronomicznego, grudzień 1947), obecnie jednak nie dowierzam własnym umiejętnościom rozwiązywania równań piątego stopnia, nawet przy pomocy Hala juniora - mojego wiernego H/P 9100A;

New American Library, posiadającej prawa autorskie do Odysei kosmicznej 2001, za pozwolenie na cytaty materiałów w rozdziale 51. (z rozdziału 37. 2001), a także za cytaty w rozdziałach 30. i 40.;

277

Generała Pottera z Korpusu Inżynieryjnego za znalezienie czasu, by mi pokazać w 1969 EPCOT, który był wtedy jeszcze kilkoma dziurami w ziemi;

Wendela Solomonsa za pomoc w rosyjskim i rosgielskim;

Jean-Michela Jarra, Yangelisa i nieocenionego Johna Williamsa za inspirację, wtedy gdy była potrzebna.

C.P. Cavafy'ego za Czekać na barbarzyńców.

Pisząc tę książkę odkryłem, że pomysł uzupełniania paliwa na Europie rozważano w artykule Misje powrotne z satelitów planet zewnętrznych przy użyciu paliwa produkowanego in situ (Ash, Stancati, Niehoff, Cuda, „Acta Astronautica” VIII, maj-czerwiec 1981).

Pomysł wykorzystania systemów samo reprodukujących się, maszyn von Neumanna, w górnictwie pozaziemskim został rozwinięty przez von Tie-senhausena i Darbro z Centrum Lotów Kosmicznych NASA im. Marshalla (patrz: Systemy samoreprodukujące się, „Memorandum Techniczne NASA” 78304). Jeśli ktoś wątpi w możliwości takich systemów do poradzenia sobie np. z Jowiszem, odsyłam do badań wykazujących, że samoreprodukujące się fabryki mogą skrócić czas produkcji kolektora całej energii słonecznej z sześćdziesięciu tysięcy lat do dwudziestu.

Zadziwiającą koncepcję, która zakłada, że gazowe giganty mogą posiadać diamentowe jądra, wysunęli M. Ross i F. Ree z Laboratorium im. Law-ranca Liveromre'a na Uniwersytecie Kalifornijskim. Dotyczy ona Urana i Neptuna. Wydaje mi się, że czegokolwiek potrafiły dokonać Uran i Neptun, Jowisz uczynił to dwa razy lepiej. Zwracam na to uwagę akcjonariuszy De Beer.

Zainteresowanych szczegółami atmosferycznych form życia na Jowiszu odsyłam do mojego opowiadania Spotkanie z Meduzą (w Wietrze od Słońca). Stworzenia tego rodzaju bardzo pięknie ukazał Adolf Schaller w drugiej części Kosmosu Carla Sagana (Gios w kosmicznej fudze), która ukazała się w formie książki i serialu TV.

Fascynujący pomysł istnienia życia na Europie pod powierzchnią pokrytych lodem oceanów ogrzewanych tymi samymi prądami z Jowisza, które wywołują eksplozje na Io, został wysunięty po raz pierwszy przez Richarda C. Hoaglanda w piśmie „Gwiazdy i Niebo” („Europejska enig-ma”, styczeń 1980). Tę wspaniałą koncepcję poważnie potraktowało wielu astronomów (m.in. doktor Robert Jastrow z Instytutu Badań Kosmicznych NASA) i być może stanie się ona doskonałym motywem planowanej wyprawy.

278

I wreszcie dziękuję:

Yalerie i Hectorowi za system podtrzymywania życia; Cherene za pocałunki po skończeniu pisania rozdziału; Steve'owi za to, że był przy mnie.

Kolombo, Sri Lanka czerwiec 1981 -marzec 1982

Książka ta została napisana na mikrokomputerze Archives III przy oprogramowaniu WordStar i przesłana z Kolombo do Nowego Jorku na jednej pięciocalowej dyskietce. Korektę przetransmitowano dzięki satelicie Intelsat V i stacji naziemnej Padukka.

Spis treści

| | |
|------------------------------------------------|----|
| Strona tytułowa. | 1 |
| Od Autora. | 4 |
| Część pierwsza. | 6 |
| Rozdział pierwszy. | 6 |
| Rozdział drugi | 8 |
| Rozdział trzeci | 11 |
| Rozdział czwarty. | 13 |
| Rozdział piąty. | 15 |
| Część druga. | 21 |
| Rozdział szósty. | 21 |
| Rozdział siódmy. | 21 |
| Rozdział ósmy. | 22 |
| Rozdział dziewiąty. | 25 |
| Rozdział dziesiąty. | 28 |
| Rozdział jedenasty. | 29 |
| Część trzecia. | 32 |
| Rozdział dwunasty. | 32 |
| Rozdział trzynasty. | 33 |
| Rozdział czternasty. | 35 |
| Rozdział piętnasty. | 37 |
| Rozdział szesnasty. | 38 |
| Rozdział siedemnasty. | 39 |
| Rozdział osiemnasty. | 42 |
| Rozdział dziewiętnasty. | 43 |
| Rozdział dwudziesty. | 45 |
| Rozdział dwudziesty pierwszy. | 46 |
| Część czwarta. | 48 |
| Rozdział dwudziesty drugi | 48 |
| Rozdział dwudziesty trzeci | 48 |
| Rozdział dwudziesty czwarty. | 50 |
| Rozdział dwudziesty piąty. | 51 |
| Rozdział dwudziesty szósty. | 53 |
| Rozdział dwudziesty siódmy. | 55 |
| Rozdział dwudziesty ósmy. | 56 |
| Rozdział dwudziesty dziewiąty. | 58 |
| Część piąta. | 60 |
| Rozdział trzydziesty. | 60 |
| Rozdział trzydziesty pierwszy. | 62 |
| Rozdział trzydziesty drugi | 63 |
| Rozdział trzydziesty trzeci | 64 |
| Rozdział trzydziesty czwarty. | 66 |
| Rozdział trzydziesty piąty. | 68 |

[Rozdział trzydziesty szósty. 70](#)
[Rozdział trzydziesty siódmy. 72](#)
[Rozdział trzydziesty ósmy. 73](#)
[Rozdział trzydziesty dziewiąty. 75](#)
[Rozdział czterdziesty. 78](#)
[Rozdział czterdziesty pierwszy. 79](#)
[Część szósta. 83](#)
[Rozdział czterdziesty drugi 83](#)
[Rozdział czterdziesty trzeci 85](#)
[Rozdział czterdziesty czwarty. 87](#)
[Rozdział czterdziesty piąty. 89](#)
[Rozdział czterdziesty szósty. 92](#)
[Rozdział czterdziesty siódmy. 95](#)
[Rozdział czterdziesty ósmy. 99](#)
[Rozdział czterdziesty dziewiąty. 101](#)
[Część siódma. 103](#)
[Rozdział pięćdziesiąty. 103](#)
[Rozdział pięćdziesiąty pierwszy. 104](#)
[Rozdział pięćdziesiąty drugi 105](#)
[Rozdział pięćdziesiąty trzeci 109](#)
[Rozdział pięćdziesiąty czwarty. 110](#)
[Rozdział pięćdziesiąty piąty. 110](#)